

POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT

TRZECI ODCINEK CYKLU



PIERWSZE CIOSY W BITWIE O WARSZAWĘ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 19 (284) 2018
7–13 maja
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

MAREK PYZA I MARCIN WIKŁO UJAWNIAJĄ

TAK CBA ŁAPIE „SWOICH”

DOTARLIŚMY DO DOKUMENTÓW DOTYCZĄCYCH FINANSOWYCH SKANDALI. TO DOWODY, ŻE TAKŻE PRZESTĘPCY PRZYKLEJAJĄCY SIĘ DO OBECNEJ WŁADZY SĄ BEZWZGLĘDNIE ŚCIGANI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

AŻ 381 NAGRÓD!

KONKURS

plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA

VI edycja konkursu w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę Niepodległości

Konkurs plastyczny dla dzieci w wieku: **5-9 lat** • **10-16 lat**

1. Wykonaj pracę plastyczną swoją ulubioną techniką na temat „Polska, moja Ojczyzna". Możesz skorzystać z pomocy rodziców.
2. Dołącz **2 kupony konkursowe** z tygodnika „Sieci" (oba mogą pochodzić z tego samego wydania). Obok drukujemy drugi kupon, kolejne ukażą się 14 i 21 maja 2018 r. Kupony wypełniają rodzice lub opiekunowie.
3. Wyślij pracę z dopiskiem „konkurs plastyczny" na adres redakcji: FRATRIA Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa. **Termin dostarczenia prac: 25 maja 2018 r.**
4. Sprawdź, co wygrałeś! **Listę nagrodzonych opublikujemy 4 czerwca 2018 r.** w tygodniku „Sieci" i na www.wsieciprawdy.pl.

REGULAMIN I PEŁNA LISTA NAGRÓD NA **www.wsieciprawdy.pl**

PARTNERZY GŁÓWNI:

PGE Polska Grupa Energetyczna

PZU

GRUPA LUXMED

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PARTNERZY:

ATAS

KOMPAS

GRANNA

wydawnictwo FRONDA

Prószyński i S-ka

PARTNERZY INSTYTUCJONALNI:

FUNDACJA NIEPODLEGŁOŚCI

Centrum Bajki w Pacanowie

ENERGY LANDIA

FARMA ILUZJI PARK EDUKACJI I ROZRYWKI

HULAKULA ROZRYWKOWE CENTRUM MIASTA

PARK ROZRYWKI JULINEK

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ





WYGRAJ JEDNĄ Z **381** NIESAMOWITYCH NAGRÓD:



2 wakacyjne obozy o wartości 2 000 zł każdy od Biura Turystyki Aktywnej KOMPAS



2 zagraniczne wyjazdy językowe o wartości 2 500 zł każdy od firmy ATAS

84 vouchery rodzinne do miejsc rozrywki: Hulakula, Park Rozrywki Julinek, Farma Iluzji, Energylandia, Centrum Bajki w Pacanowie o wartości 130-450 zł każdy





52 zestawy gier dla całej rodziny o wartości 140-210 zł każdy od Granny





45 zestawów książek od Wydawnictwa Fronda o wartości 45-125 zł każdy



45 zestawów książek od wydawnictwa Prószyński i S-ka o wartości 65 zł każdy



100 zestawów komiks + płyta o wartości 50 zł każdy od Fundacji Niepodległości

18 zestawów komiksów o wartości 135 zł każdy od Instytutu Pamięci Narodowej



33 gry o wartości 45-54 zł każda



SIECI KUPON KONKURSOWY **NR 2**

imię i nazwisko rodzica/opiekuna . . . . . .

imię i nazwisko dziecka . . . . . .

data urodzenia i wiek dziecka . . . . . .

dokładny adres zamieszkania . . . . . .

. . . . . .

e-mail rodzica/opiekuna . . . . . .

telefon rodzica/opiekuna . . . . . .

Akceptuję regulamin konkursu.

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych oraz umieszczenie ich w informatycznej bazie danych Fratria Sp. z o.o. w rozumieniu ustawy z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach prowadzenia konkursu, wyłaniania zwycięzców i przyznawania, wydawania, odbioru i rozliczania nagród.

☐ * Wyrażam zgodę na umieszczenie moich danych osobowych w bazie danych Fratria Sp. z o.o., która będzie ich administratorem, na ich przekazywanie osobom trzecim, a także na ich przetwarzanie zgodnie z ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (Dz.U. 2016 r., poz. 922) w celach marketingowych. Oświadczam, że zostałam/em poinformowana/y o prawie wglądu do swoich danych i możliwości żądania uzupełnienia, uaktualnienia, sprostowania oraz czasowego lub stałego wstrzymania ich przetwarzania lub ich usunięcia.

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis rodzica lub opiekuna . . . . . .

eprasa.pl 24723fda50

SIECI spis treści



57 Katyń: niebezpieczny trop *Jolanta Gajda-Zadworna*



45--56 Polacy, którzy zmienili świat *Dodatek edukacyjny (odc. III)*



75 Na co komu tron? *Aleksandra Rybińska*

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

9 **LEMINGOSIS WEEKENDIS**
Krzysztof Feusette

12 **KPINY I WYGŁUPY**
Jan Pietrzak

15 **TAKIE PRAWO**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **PILNOWANIE DOBREJ ZMIANY**
Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

28 **JEDYNY, KTÓRY MOŻE**
Piotr Skwieciński

32 **WOJNA O POKÓJ**
Stanisław Janecki

34 **Z JAROSŁAWEM SZARKIEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

40 **OKNO NA ŚWIAT ARABSKI**
Grzegorz Górny

42 **SMARTFONOM POWIEDZMY: NIE!**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

57 **KATYŃ: NIEBEZPIECZNY TROP**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **Z PIOTREM SZKOPIAKIEM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

61 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

62 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

64 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

66 **OPEROWE OSCARY DLA POLAKÓW**
Adam Ciesielski

OPINIE

68 **PLAN SOROSA**
Konrad Kołodziejski

70 **SALTO MORTALE**
Stanisław Janecki

ŚWIAT

72 **WOJENNY BLEF TRUMPA**
Jan Rokita

75 **NA CO KOMU TRON?**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

78 **TRZECIA PRAWDA ROSTOWSKIEGO**
Janusz Szewczak

NATURA DLA LUDZI

82 **TAJEMNICA ZIELONEGO PTAKA**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

84 **MOJE SMAKI: MAIA SOBCZAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

85 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

87 **UKRAIŃSKIE ABERRACJE**
Piotr Skwieciński

88 **DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska

89 **UNIA DWÓCH JAKOŚCI**
Dariusz Karłowicz

90 **PRZYMIARKA DO KONSTYTUCJI**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **EGALITARYZM NASZ CODZIENNY**
Aleksander Nalaskowski

93 **WYSPA GROZY**
Wiktor Świetlik

94 **HIPSTER NIEZŁOMNY**
Robert Mazurek

95 **FELIETON**
Katarzyna Łaniewska

98 **NIEUMIEJĘTNOŚĆ DIALOGU**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

12/0418/F, 22/0418/F, 29/0418/F, 30/0418/F, 33/0418/F,

eprasa.pl 24723fda50

Potrzebne wsparcie!

A więc to już prawie rok – w czerwcu 2017 r. telewizja wPolsce.pl, tworzona także przez zespoły tygodnika „Sieci” i portali wPolityce.pl oraz wGospodarce.pl, wyemitowała pierwszy, jeszcze tylko dwugodzinny i jeszcze tylko w internecie, program. Nie zmarnowaliśmy tych miesięcy, był to czas ciężkiej pracy. Dziś redakcja kierowana przez Agatę Rowińską nadaje kilkanaście godzin dziennie na żywo, w tym transmisje, magazyny autorskie, serwisy informacyjne. Wszystko musimy robić skromnie, bo środki w porównaniu z potęgami medialnymi są niewielkie. Wierzymy jednak głęboko, że tak trzeba, bo instytucji medialnych trwale usadowionych po stronie patriotycznej jest nadal dramatycznie mało.

Obecnie telewizja wPolsce.pl nadaje program w internecie, na wPolsce.pl, wPolityce.pl i YouTube. Budujemy też uparcie zasięg kablowo-satelitarny. Stacja jest obecna na platformie Cyfrowy Polsat, na kanale 196., oraz w wielu sieciach kablowych. I tu właśnie prośba o pomoc: sprawdźcie, państwo, czy w waszej sieci kablowej jest nasz kanał. Jeżeli tak – dajcie nam szansę, powiedzcie znajomym. Jeżeli nie, poproście operatora, by włączył nas do oferty. Program jest dostępny dla operatorów kablowych za darmo. Wszystkie informacje można znaleźć na stronie wPolsce.pl. Za każdą pomoc dziękujemy!

Michał Karnowski

Wytrzymać presję

Wspominając po ćwierć wieku kręcenie „Listy Schindlera” w Polsce, reżyser Steven Spielberg przypomniał sobie ciekawe zdarzenie. Otóż do przebranego w mundur SS aktora miała podejść Polka i stwierdzić, że „bardzo kochała ten mundur” i „bardzo by chciała, by oni wrócili i znowu nas wszystkich chronili”.

Jakie było prawdopodobieństwo takiej sytuacji w Polsce wczesnych lat 90. (i dziś także)? Oczywiście bliskie zeru. Każdy, kto choć trochę zna Polskę, musi uznać, że albo było to jakieś kuriozalne zdarzenie z udziałem osoby niezrównoważonej, albo pomyłka w tłumaczeniu, albo że jest to zwykłe kłamstwo. Tym straszniejsze, że ma ono służyć udowodnieniu tezy o rzekomej sympatii Polaków do munduru SS. Trudno o większy fałsz.

W Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku prezentowane są wspomnieniowe rysunki polskich dzieci z 1946 r. Uczniowie IV, V klasy rysowali publiczne egzekucje, rozstrzeliwania, pracę pod okiem strażników z pejczami, transporty więźniów. To było powszechne polskie doświadczenie.

Mierzymy się z czymś potwornym. Z czymś, co wygląda jak część rozpisanej na role operacji przeciwko naszemu dobremu imieniu. Siła ataku jest tak potężna, że nawet najbardziej profesjonalny wysiłek naszego państwa nie wystarczy. Ale też dziś nie zwycięstwo jest stawką. Dzisiaj chodzi o przechowanie prawdy. Ordynarność słów, które padają pod naszym adresem, sugeruje bowiem, że celem jest złamanie Polaków, zmuszenie nas do przyjęcia cudzej opowieści jako własnej. Jeśli tę presję wytrzymamy, nadzieja nie umrze.

Jacek Karnowski



Fot. Julia Szewczyk

eprasa.pl 24723fda50

Z życia koalicji



Sprawa nie jest przesądzona, ale z uporem godnym lepszej, ba, jakiejkolwiek sprawy, *Prezydent Doktor* brnie w pomysł, by zorganizować referendum konstytucyjne. Opozycja z tego kpi, PiS plebiscytu nie chce, nawet prezydenccy doradcy mówią: „Andrzej, odpuść, skończy się kompromitacją", ale nic. On niezłomnie trwa przy swoim. No cóż, myśmy już dawno zauważyli, że Andrzej wprost uwielbia robić z siebie Bronka.

Jedyną trwałą rzeczą przy tym całym referendum jest nominacja ministerialna dla Pawła Muchy. Pan sekretarz stanu dwoi się i troi, by przekonać, że to wszystko ma jakikolwiek sens. Piszemy, że to sprawa trwała, bo minister Mucha nie jest już tylko pełnomocnikiem do absurdalnego referendum, ale i zastępcą szefowej kancelarii. A teraz ciekawostka. Otóż pan Mucha sekretarzowanie w Kancelarii Prezydenta łączy z...byciem radnym sejmiku zachodniopomorskiego! Tak, tak! Pełnomocnik, zastępca, radny – doba tego człowieka musi trwać z 72 godziny.

I tylko złośliwcy w kancelarii mogą chichotać, że Mucha po prostu chce inkasować te ponad 2 tys. diety radnego dodatkowo. Wypraszamy sobie, takimi kategoriami nikt w obozie dobrej zmiany się nie posługuje!

Jeszcze drobiazg – radną tego samego sejmiku (oczywiście też z PiS) jest... szefowa Kancelarii Prezydenta, czyli przełożona Muchy, Halina Szymańska. A głupi Kolargol zostawił dietę radnego w Krakowie. To jeszcze nic, przecież Duda mógłby nadal być europosłem – 40 patoli miesięcznie piechotą nie chodzi.

No więc PiS oficjalnie potwierdziło, że mieliśmy rację, i ogłosiło kandydatów na prezydentów miast. Najzabawniejsze, że kandydaci z miejsca usłyszeli, że „na razie żadnych pieniędzy nie dostaną, bo przecież nie ma kampanii". Mogą sobie więc pochodzić po mieście i się pouśmiechać. I tak może być do końca, bo nikt w PiS nie wierzy, że wygrają gdziekolwiek w dużym mieście.

Z zainteresowaniem śledzić będziemy głównie wyścigi we Wrocławiu i Gdańsku, bo tam kandydaci PiS jako jedyni sprawiają wrażenie, jakby chcieli wygrać. Co prawda Kacpra Płażyńskiego usłyszeliśmy w radiu i nam entuzjazm do niego nieco osłabł. Facet ma jednak charyzmę po ojcu, który fajnym i uczciwym facetem był, ale tłumów to on nie porywał. Choć z drugiej strony młody Wałęsa po ojcu ma intelekt.

O kandydatce wrocławskiej pisać nam się średnio chce, bo jak ktoś ma na imię Mirosława, to już nazwisko powinno być jakoś tak jak Kot, Pies, Koń, w sumie, żeby krótko, a nie te serpentyny, co ma ona. Ale robi dobre wrażenie, choć Kaczafi z nieufnością przyjął to, że już jakiś czas temu skończyła trzydziestkę i ma dorosłego syna.

À propos Prezesa, to tabloidy doniosły, że do domu przywieziono mu kule. To my w takim razie dwie uwagi mamy – po pierwsze, powrotu do zdrowia, serio! A po drugie, drogie lemingi, może i Kaczor na nogi nie domaga, ale łeb ma nie od parady. No i to złowrogi Kaczafi zaraz was zje.

Taka scenka: nasz cokolwiek kojarzony z polityką znajomy w stroju organizacyjnym (garnitur, krawat etc.) wchodzi do sklepu monopolowego przy ul. Wiejskiej, vis-à-vis Sejmu. Kupuje bourbona i słyszy: „Torba zwykła czy nie?". „A jaka jest niezwykła?" – dopytuje, bo zdurniał. „Nieprzezroczysta, bo posłowie sobie nie życzą, żeby było widać, co kupują".



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 24723fda90

Z życia opozycji



Kazimierz Michał Ujazdowski obiecał wrocławianom, że jeśli zostanie prezydentem ich miasta, to Wrocław będzie „demokratyczną republiką, a nie monarchią z pretensjami". O kurczę, jemu się wydaje, że jest bohaterem traktatu Machiavellego albo Matyi, a nie Doktorem Oetkerem. Przebudzenie może być bolesne.

Ale są i bardziej konkretne deklaracje świeżo upieczonego kandydata PO na prezydenta Wrocławia. Kazimierz Michał ogłosił np., że to Jarosław Kaczyński jest winien wszystkiemu. No tu trudno się nie zgodzić. To Kaczor i nikt inny zrobił z Ujazdowskiego eurodeputowanego. A to gorzej niż zbrodnia, gorzej niż błąd, to po prostu groteskowe.

Przy okazji przypomniało nam się, jak Doktor Oetker był jeszcze dzielnym eurodeputowanym PiS i w Brukseli zagadnęła go eksasystentka Marka Migalskiego. „Ze zdrajcami nie rozmawiam" – warknął Ujazdowski i wyniośle odpłynął po budyniowemu.

W każdym razie kandydatura Ujazdowskiego wciąż budzi kontrowersje w samej Platformie. I to tak wielkie, że nad startem w wyborach poważnie zastanawia się Jacek Zdrojewski, który już był prezydentem Wrocławia i gdyby zechciał, zostałby nim ponownie z palcem w nosie. Ale oznaczałoby to konflikt z Grzegorzem Schetyną, więc jest się nad czym zastanawiać. Spór z No Mercy Schetyną to coś, na co stać tylko największych twardzieli. A Zdrojewski chyba do nich nie należy.

Rozbawił nas Rafał Trzaskowski, który chyba musiał się wystraszyć Jakiego, bo nagle zaczął wygadywać wyniosłe głupoty raczej w poetyce Kidawy-Błońskiej niż własne. Wytknął Jakiemu pozawarszawskie pochodzenie, co zważywszy na to, że sam jest posłem z Krakowa, jawi się dość ekstrawagancko. A poza tym stygmatyzowanie imigrantów jest bardzo niełądne. Mamy nadzieję, że zajmie się tym „Gazeta Wyborcza".

Podobno Andrzej Celiński rozmyśla nad tym, by kandydować na prezydenta Warszawy. Nie bardzo już kojarzymy, czy Celiński jest teraz w jakiejś partii. Szczerze mówiąc, nie kojarzymy innej jego działalności niż dziwne wpisy na Facebooku tworzone późnym wieczorem. Ale oczywiście jesteśmy za tym, żeby startował. Miałby szanse na rekord Guinnessa w kategorii „najmniej otrzymanych głosów w historii".



Grzechu Schetyna chce montować koalicję od Nowackiej po Ujazdowskiego. Może wejść do niej każdy, byle był demokratą. Jest już nawet gotowa nazwa dla takiej formacji. Unia Demokratyczna. I jest gotowa pieśń wyborcza UD z 1991 r.: „Jestem za pogodą dobrych ludzi. Jestem za tym ptakiem, co mnie budzi". Bardzo dobry prom dla tej formacji.



Z okazji 1 maja w mediach pojawili się masowo politycy kojarzeni z lewicą. M.in. ***Aleksander Kwaśniewski***, który co prawda nie powiedział nic intrygującego, ale swym jestestwem przypomniał, że od wielu miesięcy nie pojawił się żaden godny wzmianki mem o byłym prezydencie i wódce czy innym rodzaju alkoholu. Jeśli rząd PiS nie rozwiąże tego palącego problemu, to planujemy protest głodowy. Albo nawet abstynencki.



TYGODNIA Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Andrzej Stawarczyński, Julita Szewczyk, Fratria

eprasa.pl 24723fda50

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

W Warszawie ***bój o prezydenturę***. Kandydat PO Rafał Trzaskowski potwierdził, że ma sporo z Komorowskiego (niewielki zapał do pracy i samozachwyt), ale – jak przystało na kandydata także Nowoczesnej – ujawnił, iż sporo łączy go z Petru (błąd językowy za błędem). Sporo łączy go także z innymi ludźmi: Nitrasem czy Protasiewiczem. Niestety są to sprawy, o których można mówić dopiero po 23.00.

Patryk Jaki gryzie trawę i jedno już osiągnął: ekipa Trzaskowskiego zaczęła się bać. Ale wygrać w Warszawie nie będzie łatwo, bo media III RP nie tylko walczą o życie, lecz również ćwiczą przed kampanią parlamentarną. Najmniejsza wpadka kandydata prawicy wisi na portalach po dwa, trzy dni, „Wyborcza" promuje wulgarne memy ze słowem na „ch" w środku, a „Fakty" biją pałką nabitą gwoździami ostrzejszymi niż dwa lata temu. To samo czeka PiS w roku 2019.

Media Springerowskie ***świętują triumf nad Beatą Szydło***, twierdząc, że ją zniszczyły. „Po awanturze z nagrodami straciła zaufanie Polaków" – twierdzi „Fakt" i codziennie donosi o dalszych klęskach byłej szefowej rządu. Nienawiść nie jest skrywana, a jej źródła są czytelne: chodzi o zniszczenie polityka, który ma dobry kontakt ze zwykłymi Polakami. Ale mamy złą wiadomość: na spotkania z Szydło walą tłumy, a atmosfera jak na Wembley. Polacy nie są tacy głupi, jak myślą niektórzy Niemcy.

Tymczasem na Nowogrodzkiej uważnie obserwują Ministerstwo Energii. Kilka razy błysnęły nawet pioruny. Bo wyraźnie powiedziano, że ma być przejęcie Lotosu przez Orlen. Ministerstwo też to powiedziało, ale potem jakby samo zwątpiło. Na naszego nosa lepiej z finalizacją transakcji trochę się pośpieszyć.

Najważniejszy obecnie Adam wraz ze swoim szefem wybrali się za ocean. Przynieśli chyba pecha, bo gdy bawili w Stanach, Kongres przegłosował niesławną ustawę 447. A przecież Adam miał opanować odcinek zamorski, skorzystać z pielęgnowanych przez lata kontaktów, pokazać, że potrafi też robić, a nie tylko mówić. Skończyło się tak, że grupa ekspedycyjna na miejscu musiała zapewniać, iż ustawa to w zasadzie nic strasznego. Wyszło głupio. Nie pierwszy raz.

Na ***prezydenckiej majówce*** w tym roku było wyjątkowo miło i sympatycznie: piękna pogoda, smaczne jedzenie, szampan do toastu za Rzeczpospolitą. Dobrą atmosferę wzmacniało to, że nie pojawił się ani jeden przedstawiciel opozycji. To zapewne w ramach zasypywania podziałów i troski o jedność narodową. Ale niewykluczone, że platformersi po prostu nie lubią celebrować naszych świąt narodowych i gdy nie muszą, to wolą czmychnąć gdzieś za granicę. W końcu zapewne nie tylko Gawłowski ma przytulne gniazdko w Chorwacji.

„Jeżeli komukolwiek trzeba pomóc, to tym ludziom, opiekunom tych ludzi" – stwierdził, komentując protest opiekunów osób niepełnosprawnych, ***Leszek Balcerowicz***. Człowiek, który w imię zwykłego doktrynerstwa lekką ręką skazywał całe miasta i wsie na nędzną wegetację lub emigrację, poucza najbardziej prospołeczny rząd wolnej Polski. Poucza aż poza granicę śmieszności, mówiąc: „Oni są pozbawieni empatii, współczucia albo inteligencji emocjonalnej". Skoro tyle tego jest w Balcerowiczu, to dlaczego skutki lat 90. w wielu miejscach przypominały skutki wojny?

Niektórzy protestujący coraz śmielej pokazują, skąd przychodzą i kim są. Pani Iwona Hartwich na dość hojną ofertę rządu odpowiedziała tak: „Mamy taką propozycję, aby premier Kaczyński zamiast wynagrodzenia otrzymywał np. 10 kg karmy dla kota i do tego jeszcze podpaski". Z takim językiem i z taką wyobraźnią pani Hartwich spokojnie mogłaby albo pisać do Urbanowego „Nie", albo kandydować z list Palikota, albo jedno i drugie.

Słynnemu reżyserowi ***Stevenowi Spielbergowi*** zebrało się na wspominki z okazji 25-lecia nakręcenia „Listy Schindlera". Jak twierdzi, gdy ubrany w mundur SS aktor Ralph Fiennes przechadzał się po naszym kraju, pewna Polka podeszła do niego i opowiedziała, „jak bardzo kochała ten mundur i jak bardzo by chciała, by oni wrócili i znowu nas wszystkich chronili". To nie pierwsze potwierdzenie tezy, że świat rządzony przez aktorów i reżyserów byłby piekłem.

Niektórym, jak słychać, ***wszystko się już w głowach pomieszało***. I nie są to mieszkańcy domów wariatów, ale ludzie, którzy poprzez swoje filmy uczą cały świat historii XX w. To jest taki poziom kłamstwa, przemocy, bezczelności i pogardy (także wobec ofiar), że i 10 IPN-ów czy PFN-ów nic tu nie poradzi. To szaleństwo trzeba przeczekać, broniąc prawdy tam, gdzie można. I broniąc siebie samych przed pogardą wobec takich ludzi jak Spielberg.

Sygnalista



eprasa.pl 24723fda50

Lemingosis weekendis



KRZYSZTOF FEUSETTE

Sobota. Uf. Dojechaliśmy. Trzęsło tak, że się Mojej całe latte na klatę wylało. Te polskie drogi to jest przecież dziura na dziurze. VAT-owską załatali, a tych nie potrafią. Gdzie te czasy, gdy człowiek mknął po autostradzie wolny jak orzeł Bronisława. Wśród tych nasypów szczawiu, wśród tych wysp zielonych, szeroko nad Niesiołem krętym w „bulu" rozciągnionych – jak żeśmy z Moją rymowali wtedy codziennie. Mirabelki to się same do gęby wturliwały. A dziś? Ruszył ten ciemny naród, ogłupiony za pińcet plus, na majówkę. Mówię do Mojej: „Tylko żebyś sobie czasem Władysławowa nie wymyśliła, bo parawan to będziesz sobie w smażalni rozstawiała". Więc jedziemy na dziko, hotel pięciogwiazdkowy, codziennie bankiet dla singli i inne atrakcje. Moja chciała iść, ale jej wytłumaczyłem, że w takim hałasie i tak sobie o polityce nie porozmawiamy. No to włączyliśmy „Szkło kontaktowe" i bawiliśmy się w dzwonienie. Zasnęła na Sianeckim. Nic nowego.

Niedziela. Twarda pobudka. Mohery piętro niżej TVP Info włączyły. Moja mówi: „Chodź na śniadanie, bo za chwilę to niczego nie przełknę". Tylko żeśmy z pokoju wyszli, idzie facet z naprzeciwka z orłem w koronie na koszulce. „Co nic nie mówisz?" – pyta Moja prowokacyjnie. A co mam mówić? Myślałem, że do pięciogwiazdkowych „wyprawkowi" nie jeżdżą. Zjedliśmy na mieście, chociaż w kiosku „Wyborczej" nie było. „Wykupili?" – Moja pyta z nadzieją, że jednak ktoś w okolicy walczy z antysemityzmem. „Nie, mało biorę" – mówi kioskarz. Na wszelki wypadek odczekaliśmy do zmroku, aż się ludzie z kościoła nie rozejdą.

Poniedziałek. Grillujemy od rana. Miejscówkę sobie za lasem wyczailiśmy, właściciel swój człowiek, od razu żeśmy na Gawłowskiego przeszli, że nagonka i że Ziobro siepaczy ze smyczy spuścił. Mojej apetyt wrócił, żyć, nie umierać. No, ale potem się wydało, że gospodarze 500+ pobierają. Jak tych sankcji nie będzie, to chyba zwariuję.

Wtorek. No i jestem chory. Moja mówi, że to szok weekendowy, a ja jej tłumaczę, że się duszę jak Agnieszka Holland. Jak ona to pięknie powiedziała? Że to tak, jakby w zamkniętym pomieszczeniu ktoś bez przerwy puszczał bąki... Moja stwierdziła, że to nie ona, a potem się obraziła. Wcześnie, od 6.00, kiblowałem pod spożywczym, żeby zobaczyć, co Czuchnowski z Wrońskim napisali, a tu 8.30 i baba idzie jakaś z torebeczką. „Proszę pani – pytam – o której tutaj sklepy otwierają?!". „Dziś nie otwierają" – mówi, „bo jest święto pracy, a u nas się w święto pracy nie pracuje". Pisowskie państwo.

Środa. Od rana w internecie. TVN, „Wyborcza", naTemat, „Newsweek", Onet, Wirtualna Polska... Fajną grę sobie z Moją wymyśliliśmy: kto znajdzie coś dobrego o PiS albo Kaczorze, ten ma śniadanie do łóżka. O 18.00 już tak zgłodnieliśmy, że wyszliśmy na miasto. Ledwie Moja trzy kroki zrobiła, a już się osuwa. Ale nie z niedożywienia, tylko z przerażenia. Wszędzie flagi. Dosłownie wszędzie. I to nie te piękne unijne, że jak człowiek spojrzy, to wszystkie gwiazdki widzi, tylko te straszne biało-czerwone. „Wojna?" – pyta Moja, jak już się ocknęła. „Jaka wojna? Dzień Flagi dzisiaj" – odpowiadam. „To czemu nie różowe?" – dyszy półprzytomna. Aż mi się łza w oku zakręciła na samo wspomnienie, jak nasz Bronisław kochany barwy narodowe zmieniał. No i ten ptak na kupie czekolady. Wzięliśmy po mufinie i taksówką do hotelu, bo telewizja jakaś przy rynku się kręciła. W łóżku Moja mówi: „A jak to TVN-y były? Mogliśmy się po pisiorach przejechać za te flagi". Oj tam, nie dziś, to jutro.

Czwartek. Cisza i spokój. Wszystko wyłączone, zatyczki do uszu i klapki na oczach. To znaczy opaski specjalne do zasypiania, żeby nie musieć tego wszystkiego oglądać. Rocznica Konstytucji 3 maja. Ja nie wiem, czy ona w końcu jeszcze obowiązuje? Petru mówi co innego, reszta co innego. Ubraliśmy koszulki z napisem „Konstytucja". „Chodź, coś z balkonu zawołamy" – mówi Moja po trzecim drinku. Ale opaski nie zdjęła i tak we framugę przywaliła, że znowu leży. Lekarza w hotelu oczywiście zero. To znaczy był, ale jak go zapytałem, czy pisowca też by cucił, tylko się w głowę popukał. Do rana się zagoi, a faszyście nie będziemy płacić.

Piątek. Noc w plecy. O 3.00 Moja zaczęła przez sen mamrotać: „Rafałku... Rafałku", a ja Rafałek nawet na drugie nie mam. „Co jest?" – pytam spokojnie, więc tylko łydki mi chodzą. „Co to za Rafałek? Znam go?". „Znasz!" – krzyczy. I w ryk. Dopiero przy obiedzie się wygadała, że Trzaskowski jej się śnił w stroju gajowego, jak za Rabiejem biegał z dwururką.

Sobota. W sumie to nie wiem, po co żeśmy wyjechali. Chciał człowiek trochę odpocząć od tej władzy, ale jak, skoro tutaj nawet marszu żadnego nie było. Tyle że na gofrach pośmialiśmy się trochę z Rafalskiej. Ja to bym nawet na jakąś fundację dla niepełnosprawnych wpłacił, ale Moja mówi, że jak zaczniemy każdemu wpłacać, to ona tych kangurów nigdy nie zobaczy. A przecież obiecałem.

Niedziela. Nareszcie koniec, wyjeżdżamy. Pakowanko nieźle poszło, zwłaszcza że prawie się nie rozpakowaliśmy, bo to pecha przynosi. Ostatnio, jak tylko żeśmy ciuchy na półkach zaczęli układać, trzy miesiące później pisiory wybory wygrały. Moja twierdzi, że teraz trzeba wierzyć w samorządowe, a dalej to pójdzie z górki. Ale ja już nikomu nie ufam. Moja mówi, że to choroba. A ja jej na to, że psychiatra mi dokładnie to samo o Niej mówił, jak mu powiedziałem, że słyszę ją bez przerwy, ale widzieć to jeszcze nie widziałem. Całą drogę się śmiała.

eprasa.pl 24723fda50

Niemcy

Nowe pokolenie, nowe akcenty

W niemieckiej SPD wybuchł ostry spór o politykę wobec Rosji. Na celowniku towarzyszy znalazł się szef MSZ Heiko Maas, który odważył się wątpić w słuszność doktryny „zmiany przez zbliżenie", ukutej na przełomie lat 60. i 70. XX w. przez Willy'ego Brandta i twardo podtrzymywanej przez socjaldemokratów. „Zmiana przez zbliżenie" to nic innego niż naiwna wiara w to, że dzięki dialogowi z Kremlem Niemcy mogą wpływać na politykę Rosji i tym samym wspierać proces jej modernizacji i demokratyzacji. „Naiwna", modernizacji i demokracji bowiem w Rosji jak nie było, tak nie ma. Próba reaktywowania przez obecnego prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera Ostpolitik po 2005 r. jako partnerstwa oferującego modernizację w zamian za reformy okazała się wręcz całkowitą klapą. A mimo to towarzysze twardo trzymali się mitu budowy „pokojowej Europy" wraz z Rosją i „nigdy przeciwko niej".

Maas także powinien należeć do frakcji „rozumiejących Rosję" w SPD. W końcu wychował go Oskar Lafontaine, założyciel skrajnie lewicowej partii Die Linke, który nie kryje, że woli Putina od Trumpa. No, ale 51-letni Maas wywodzi się z innego pokolenia lewicy, niemającego historycznych związków z Ostpolitik. Z tego od tęczy, praw człowieka, mowy nienawiści i genderu. A to nie jest najmocniejszą stroną Putina. W konsekwencji Maas podczas niedawnego spotkania G7 w Toronto wykluczył powrót Moskwy do grona czołowych uprzemysłowionych mocarstw świata i nawoływał do „większego realizmu" w stosunkach z Moskwą. Socjaldemokrata ostro krytykował Kreml zarówno w kwestii ataku chemicznego w Syrii, jak i zamachu na Siergieja Skripala. Wcześniej w przemówieniu w stolicy Irlandii Dublinie wezwał Zachód do jedności wobec Rosji. „Chodzi o ton by [Rosji] jasno powiedzieć, z czym się nie zgadzamy" – zaznaczył. W wywiadzie z tygodnikiem „Der Spiegel" zaś zarzucił Rosji, że „definiuje samą siebie coraz bardziej poprzez wrogość do Zachodu".


Heiko Maas

Na reakcję towarzyszy nie trzeba było długo czekać. Na posiedzeniu prezydium SPD (na którym Maas był nieobecny) zarzucili mu „zaniedbywanie kontaktów z Moskwą". Jak podkreślił premier Dolnej Saksonii Stephan Weil, w SPD zawsze panowała zgoda co do tego, że „stawiamy na porozumienie z Rosją". Przy okazji oberwał też sekretarz stanu w MSZ Michael Roth, który miał czelność napisać na łamach „Die Welt", że „bipolarny świat Bahra i Brandta już nie istnieje" i należy przemyśleć „politykę wschodnią Niemiec". Koniec kompromisów i współpracy z Rosją. „Niemcy nie mogą się wyłamać z unijnego frontu. To byłoby bardzo niebezpieczne" – dodał Roth.

Tak za sprawą młodszego pokolenia realistów w SPD zapanował nowy, ostrzejszy ton wobec Rosji. Jak długo się utrzyma? Tego nie wiadomo. Jedno jest jednak pewne: towarzysze rozumiejący Rosję, z Gabrielem i Steinmeierem na czele, nie poddadzą się bez walki.

Aleksandra Rybińska

Rosja

„Kolaboranci z Keniga"

W Rosji skandalik: w anglojęzycznym komunikacie na pokładzie samolotu Aeroflotu Kaliningrad nazwano Königsbergiem. Na własne uszy usłyszał to Witalij Trietiakow, dziekan wydziału dziennikarstwa moskiewskiego uniwersytetu. Usłyszał to, wracając z dawnej stolicy Prus z konferencji zatytułowanej... „Wojna pamięci jako instrument rewizji porządku światowego". Cóż robić, bywają i takie przypadki.

Gdy o tym usłyszałem, przypomniała mi się pewna historia sprzed paru lat.

Otóż w apogeum fali demonstracji opozycyjnych 2012 r. rosyjska państwowa telewizja opublikowała zapis podsłuchu spotkania pewnego Gruzina (Tbilisi było wtedy głównym wrogiem Moskwy) z jednym z liderów moskiewskiej opozycji. Gruzin, przedstawiany jako reprezentant tamtejszych służb, dostarczających kasę rosyjskim demokratom, namawiał Rosjanina, aby antyputinowcy próbowali przechwycić władzę właśnie w Kaliningradzie. Bo po pierwsze, to miasto specyficzne i bardziej niż reszta Rosji podzielające ich wrażliwość, a po drugie – oddzielone od „Wielkiej Ziemi" przez państwa NATO, więc gdyby tam opozycja objęła rządy, to Kreml miałby zasadniczą trudność przy próbie zbrojnego przywrócenia porządku.

Temu rozumowaniu trudno cokolwiek zarzucić, tak jak trudno nie dostrzec specyfiki Kaliningradu, którego mieszkańcom zdarza się nazywać swoje miasto familiarnie „Kenigiem". W Kaliningradzie funkcjonują całe sieci handlowe używające tego słowa (albo wręcz słowa „Königsberg") jako elementu nazwy własnej. Odbywają się „kenigowe" masowe imprezy społeczne. Dziennikarz nacjonalistycznej agencji Regnum pieni się w związku z tym ze złości i pisze, że kaliningradczycy przejawiają wobec patriotyzmu „kolaborancką obojętność".

Nie-Rosjanie powinni się powstrzymać od udziału w tych wewnątrzrosyjskich emocjonalnych sporach. Warto jednak, żeby zdawali sobie sprawę z ich istnienia. I z faktu, że jest taki specyficzny fragment rosyjskiego terytorium, który w większej mierze niż reszta kraju nie tylko geograficznie, lecz i kulturowo, a w pewnej mierze – również politycznie – ciąży ku Zachodowi. Zachodnia strategia powinna to uwzględniać, jeśli kiedykolwiek coś może mieć szanse z tej sytuacji wyniknąć.

Piotr Skwieciński

Fot. Michalidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 24723fda50

Armenia

Młoda generacja przeciw oligarchii

Armenia to jedno z dwóch – obok Kirgistanu – państw posowieckich, w których obowiązuje parlamentarno-gabinetowy system rządów. Wszystkie pozostałe republiki opierają się bowiem na silnej władzy prezydenta. To efekt rozpadu ZSRR, gdy dawni sekretarze partyjni, chcąc utrzymać władzę, porzucili komunizm i sięgając po hasła narodowej emancypacji, zamienili się w prezydentów.

Nie inaczej było w Armenii. Wprawdzie pierwszy prezydent kraju Lewon Ter-Petrosjan nie pełnił wcześniej funkcji sekretarza partii komunistycznej – był bowiem deputowanym do miejscowej Rady Najwyższej – ale i on zrobił karierę polityczną na fali narodowego uniesienia, która w przeddzień upadku komunizmu ogarnęła Związek Sowiecki.

Odwilż za Kaukazem oznaczała odmrożenie wielu starych konfliktów, w tym sporu o Górski Karabach – zamieszkany przez Ormian obszar na terytorium sąsiedniego Azerbejdżanu. Wojna między Ormianami i Azerami wybuchła, gdy istniał jeszcze ZSRR, i zakończyła się w 1994 r. zawarciem kruchego zawieszenia broni. Ryzyko wznowienia konfliktu, wzmocnione obawą przed Turcją, stało się przez kolejne lata głównym argumentem za utrzymywaniem silnej władzy prezydenckiej w Armenii. Skupienie rządów w jednym ręku miało – jak przekonywano – zapewnić bezpieczeństwo państwu. Tym samym powodem tłumaczono utrzymywanie bliskich relacji – w tym militarnych – z Rosją. Nic dziwnego, że po ustąpieniu Ter-Petrosjana w 1998 r., kolejni prezydenci: Robert Koczarjan i Serż Sarkisjan, uczynili z konfliktu o Górski Karabach fundament swojej władzy. Tym bardziej że obaj pochodzili ze spornego regionu.

W konstytucji Armenii znajduje się jednak zapis ograniczający kadencje prezydenta do dwóch. To standardowy zapis w większości konstytucji b. republik sowieckich. W Rosji, gdzie w mocy jest identyczne zastrzeżenie, Władimir Putin zdołał je obejść, zamieniając się na cztery lata urzędem z premierem Miedwiediewem. Jednak rządzący od 2008 r. Armenią Serż Sarkisjan wybrał inny wariant. Otóż trzy lata temu dokonano zmian w konstytucji, które oddawały większość dotychczasowych kompetencji prezydenta w ręce premiera. Zmiany zaczęły obowiązywać w 2018 r., a więc dokładnie w chwili, gdy Sarkisjan kończył swoją ostatnią kadencję na urzędzie prezydenta. Oczywiste było więc, że zamierza on utrzymać swoją władzę, tym razem jako premier. Był zresztą jedynym kandydatem do tego urzędu w zdominowanym przez partię prezydencką parlamencie.

Na przeszkodzie stanęła mu jednak zmiana pokoleniowa w Armenii. Gwałtowne manifestacje, głównie młodzieży, zmusiły Sarkisjana do dymisji. Dla młodej generacji wychowanej w zupełnie innych warunkach niż poprzednia, zagrożenie azerskie nie stanowi już wystarczającego powodu do rządów starej oligarchii. Demonstranci chcą zmian.

Erozja systemu posowieckiego w Armenii budzi zaniepokojenie w Rosji, choć oficjalnie Moskwa unika komentarzy. Jednak gdyby sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli, zawsze pozostaje w zanadrzu uruchomienie konfliktu w Górskim Karabachu.

Konrad Kołodziejski

Czechy

Król Midas wkracza nad Wisłę

Nowym właścicielem Radia Zet zostali Czesi. Francuski koncern Lagardere sprzedał właśnie swoje stacje radiowe w Polsce (m.in. Zetkę, Antyradio, Chillizet i Meloradio) holdingowi Czech Media Invest zza naszej południowej granicy. Głównym jego udziałowcem jest jeden z najmłodszych miliarderów w Europie Środkowej – Daniel Křetínský, którego majątek szacuje się na 2,6 mld dol.

42-letni biznesmen nazywany jest nad Wełtawą królem Midasem, ponieważ wszystko, czego dotknie, zamienia w złoto. Przejmuje np. upadające zakłady, by uczynić z nich przynoszące zysk przedsiębiorstwa. W krótkim tekście nie sposób wyliczyć wszystkich projektów gospodarczych, w które jest zaangażowany. Jego specjalnością pozostają bankowość, energetyka, budownictwo, turystyka i media.

Křetínský jest graczem globalnym, prowadzi interesy nie tylko na naszym kontynencie, lecz także na półkuli zachodniej. Posiada większość udziałów w największej firmie energetycznej i największym przedsiębiorstwie turystycznym w Europie Środkowej. Kontroluje np. 40 proc. rynku węgla brunatnego w Niemczech. Równie ekspansywny jest w branży medialnej. To on w największym stopniu przyczynił się do wypchnięcia niemieckiego kapitału z czeskiego rynku prasowego, kupując tytuły należące do koncernu Axel Springer. Dziś jest posiadaczem m.in. tabloidu „Blesk", dziennika „Sport" i magazynu „Aha!". Wisienkę na jego torcie stanowi klub piłkarski Sparta Praga.

Co jakiś czas pojawiają się zarzuty o zbyt ścisłe kontakty biznesmena z politykami, zwłaszcza prawicowej ODS, ale nigdy nie przybrały one formy konkretnego oskarżenia.

Od kilku lat Křetínský inwestuje także w Polsce. W 2010 r. kupił przeznaczoną do likwidacji kopalnię Silesia w Czechowicach-Dziedzicach, która pod czeskim zarządem zamiast strat zaczęła przynosić zyski. Nabył też większość udziałów w ośrodku narciarskim Czyrna-Solisko w Szczyrku. Teraz wchodzi na nasz rynek medialny. Zdaniem praskich publicystów wynika to z faktu, że postrzega on Polskę jako kraj o największym potencjale w regionie.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 24723fda50

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kpiny i wygłupy

Donald Tusk otrzymał nagrodę Polonicus za promowanie Polski w Europie... Wydarzenie z gatunku humoru abstrakcyjnego. Nagrodę przyznała niemiecka organizacja udająca polonijny instytut, w istocie pan Wiesio, który ma chody i kontakty wspierane przez niemieckie fundusze. O tym, jak niemieckie pieniądze promują Polskę, dowiadujemy się co chwila z napastliwych artykułów na temat polskiego antysemityzmu, rasizmu, faszyzmu, nacjonalizmu... i tym podobnych dyżurnych kłamstw. Ale Donek czuje się zaszczycony. Przez wiele lat zbierał niemieckie nagrody od szefowej Angeli, należy mu się coś polskiego w nazwie. Szykuje powrót do „District Warschau" i natrętnie o sobie przypomina. Powiedział przy tej okazji: „Nie pozwólcie lunatykom doprowadzić narodów do nieszczęścia". Wygłupia się gość niemiłosiernie.



Jan Pietrzak

Jego kolega z Brukseli Juncker, też wielki kpiarz, planuje odczyt o sławnym ekonomiście Marksie, na rocznicowej wystawie. Ujawnił przy okazji, że Putin jest jego przyjacielem. Juncker jest formalnie chrześcijańskim demokratą, co brzmi jak kpina, ale takie są ideowe standardy eurobiurokratów. Niewykluczone, że w związku z mijającą kadencją kroi sobie posadę u Putina, na podobieństwo Schrödera. Przy jakiejś rurze albo jako wykładowca marksizmu na uniwersytecie Łomonosowa.

Wracając do niejakiego Tuska, pewnie kombinuje nad wariantem B. W tle medialnych wygłupów toczy się bowiem wyścig z czasem, czy prędzej go spotka „cela+", czy ochroni jakikolwiek immunitet. Wątpliwe jest to, by jego była partia zdołała wygrać któreś wybory. Groteskowy Schetyna oświadczył, że nie ujawni programu Platformy, bo równałoby się to samobójstwu. Ciekawa zachęta dla wyborców, boki zrywać! Gdy nie uda się Tuskowi powrót nad Wisłę, kto wie, czy i on nie wyląduje na żołdzie Putina. Mógłby zastąpić Anodinę na jej prestiżowym stanowisku. Takie są żartobliwe prognozy nieodpowiedzialnego humorysty. Przepraszam, jeżeli nie wszystkich śmieszą. Mnie wygłupy Tusków, Junckerów też nie śmieszą...



Zawalczyć o życie

Z aktorem Fabianem Kocięckim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Niedawno oglądaliśmy pana w telewizyjnej premierze „Pana Jowialskiego". Kinowy „Sobibór" pokazuje skrajnie inny świat.

Fabian Kocięcki: Wspaniałe w aktorstwie jest to, że na przestrzeni kilku miesięcy, m.in. jako Ludmir, mogłem włożyć kostium skrojony słowami hrabiego Fredry i dopasowany przez reżysera Artura Żmijewskiego, na deskach Teatru Narodowego występuję gościnnie w „Kordianie", a na dużym ekranie zagrałem Chaima Engela.

W czołówce tego nie widać, ale pana postać jest jedną z wiodących.

Udział w tej produkcji był niezwykłym doświadczeniem. Aktorskim i życiowym. Zetknąłem się z nowym dla mnie podejściem do pracy przy filmie, z kamerą. Podążyłem też za tematem, który mnie od lat nurtował: eksterminacji, Holokaustu. Sobibór to obóz koncentracyjny zorganizowany przez Niemców na Lubelszczyźnie, by sprawnie przeprowadzać Akcję „Reinhardt".

Opowiada o nim – m.in. z udziałem Christophera Lamberta jako szefa obozu Karla Frenzela – rosyjski reżyser Konstantin Chabienski.

Zagrał też w filmie główną postać: Aleksandra Peczerskiego, pułkownika radzieckiej armii, który w październiku 1943 r. zorganizował udaną ucieczkę kilkuset więźniów.

W rosyjskiej narracji Sobibór zaczyna dziś odgrywać nową rolę.

Ale film pokazuje przede wszystkim to, jak w ekstremalnych okolicznościach grupa nieznanych sobie wcześniej ludzi próbuje zawalczyć o życie. Razem.

Fot. Piętka Mieszko/AKPA

Autopromocja

eprasa.pl 24723fda50

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

150 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę „Historia USA" o wartości 99,90 zł otrzymasz gratis!





Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 24723fda50

OGNIEM NA WPROST

Żelazne konie w Europie



Niedawno 50 członków Kongresu USA z obu partii, demokratów i republikanów, wysłało list do Departamentu Stanu, w którym wezwali administrację Donalda Trumpa do potępienia „sponsorowanego przez państwa: Polskę i Ukrainę, antysemityzmu i ksenofobii". W walczącej na śmierć i życie z antysemityzmem i odpryskami nazizmu Polsce – panika. Politycy z zapartym tchem oczekują werdyktu Trybunału Konstytucyjnego korygującego ustawę o IPN. A na Ukrainie wręcz przeciwnie. 28 kwietnia we Lwowie z wielką pompą przemaszerowali pogrobowcy Bandery et consortes. Tym razem z okazji 75. rocznicy utworzenia SS-Galizien (Hałyczyna), formacji znanej ze swojej sympatii dla naszych starszych braci w wierze, umiłowania demokracji oraz pokojowego współżycia między narodami. Marsz przeszedł ulicami miasta, po czym wrócił pod pomnik Bandery, gdzie odbył się koncert zespołu Komu Vnyz, którego hitem jest piosenka „Ptak o imieniu Nachtigall [słowik]". To nawiązanie do składającego się z Ukraińców batalionu SS o tej właśnie nazwie, który po zajęciu przez Niemców Lwowa wziął czynny udział w pogromie Żydów, by potem w Brygidkach dokonać powtórki, mordując z zimną krwią 30 prominentnych izraelitów. W międzyczasie pomogli Niemcom wykończyć lwowskich profesorów. Tym razem Polaków. Marsz Wyszywanek (od haftowanych koszul noszonych przez fanów UPA), bo tak ochrzczono obchody powstania formacji, przebiegł radośnie i bez zakłóceń wśród ciągłego hajlowania. Gratulujemy 50 członkom Kongresu USA wiedzy i wrażliwości przy zrównywaniu poziomu antysemityzmu w Polsce i na Ukrainie.

Europa obchodziła 1 maja – Święto Pracy. W rzeczywistości ten dzień polega dziś głównie na nicnierobieniu i tylko lewicowe, a w zasadzie bardziej już lewackie środowiska próbują gdzieniegdzie coś przekazać reszcie społeczeństwa. Tak było m.in. w Paryżu, gdzie zamaskowani anarchiści zdemolowali okolice mostu Austerlitz, tłukąc szyby w butikach i paląc jeden czy dwa samochody. Akurat tego dnia spacerowałem sobie wraz z tłumem turystów po dzielnicy Montmartre, a o pierwszomajowej zadymie dowiedziałem się z polskich portali. We Francji już od jakiegoś czasu trwa dyskusja o likwidacji Święta Pracy, ale ze względu na silną jeszcze lewicę rozmowa na razie utknęła w martwym punkcie. Co innego we Włoszech. Tam demonstracje komunistów wspierają obecnie czarni imigranci. Podczas niezbyt licznego pochodu w Genui stanowili oni co najmniej połowę uczestników. Organizator marszu – Lotta Comunista (Walka Komunistyczna) – jest z tego powodu bardzo dumny. „Jedność wszystkich proletariuszy bez względu na rasę, narodowość czy religię jest naszym ideałem – poinformował jeden z mówców. – Internacjonalizm komunistyczny jest drogą i rozwiązaniem". Dla „czerwonego" nie ma większego znaczenia, że większość czarnych uczestników demonstracji nie pali się do pracy i w zasadzie trudni się nieróbstwem, nie mówiąc już o tym, że na terenie Włoch przebywa nielegalnie. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

W Ellwangen (Badenia-Wirtembergia) policja dostała nakaz deportacji przybysza z Togo. Kiedy w obozie dla imigrantów pojawiły się dwa radiowozy celem odwiezienia delikwenta, z budynków zaczęli wychodzić współtowarzysze niedoli. Najpierw wybiegła grupa 50 czarnych, do której stopniowo dołączyło jeszcze 150. Tłumek poczuł siłę i zaatakował samochody stróżów prawa, waląc pięściami w dachy. Jak sformułował to dziennikarz niemieckiej bulwarówki „Bild", „aby zapobiec masowej eskalacji", policja wypuściła Togijczyka i dała nogę z miejsca zdarzenia. Na podjęcie drugiej próby zatrzymania kandydata do deportacji nie starczyło już woli ani odwagi. W końcu co za różnica? Jeden więcej czy jeden mniej? Spokój jest najważniejszy.

I się doczekaliśmy. 1. Pancerna Brygadowa Grupa Bojowa „Ironhorse" 1. Dywizji Kawalerii stacjonująca w Fort Hood w stanie Teksas zostanie przemieszczona do Europy. Podczas aktualnej rotacji na kontynent ma trafić 3,5–4 tys. żołnierzy wraz ze sprzętem. Będzie to 90 czołgów M1A2 SEP Abrams, około 140 bojowych wozów piechoty i BWR Bradley, a także dywizjon 18 haubic samobieżnych Paladin, wspieranych przez wiele innych systemów uzbrojenia. W ramach wzmocnienia dołączy do nich 1. Brygada Lotnictwa Kawalerii, która będzie stacjonować w Europie przez dziewięć miesięcy. Składa się głównie ze śmigłowców uderzeniowych. Wszystko to w ramach operacji Atlantic Resolve, której celem jest wzmocnienie wschodniej flanki NATO w obliczu agresywnych działań Rosji na Ukrainie oraz przeprowadzenie rokrocznych manewrów Anaconda '18. Zawsze bezpieczniej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 24723fda50

Takie prawo



Marta Kaczyńska

Wedle etyki chrześcijańskiej życie ludzkie winno podlegać bezwzględnej ochronie. Etyka konsekwencjalistyczna właściwa dla nurtu indywidualistycznego i areligijnego uznaje przede wszystkim prymat jakości życia człowieka. Miarą wartości życia jest jego jakość. To człowiek dokonuje jego oceny. Kryteriami są m.in. długość życia, świadomość, zdolność komunikowania się z otoczeniem, zdolność odczuwania przyjemności, stopień bólu i cierpienia. Wedle tak przyjętej logiki życie, które pozbawione jest którejś z wymienionych cech, staje się bezsensowne i niegodne, a ewentualna decyzja o jego podtrzymaniu dyktowana jest miarą jego użyteczności.

Aktem prawnym, na który powołuje się opinia publiczna relewantna dla cywilizacji europejskiej, a w szczególności bazuje na niej międzynarodowe sądownictwo, jest Konwencja o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Orzecznictwo Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który wyrokuje w oparciu o postanowienia tej umowy, wyznacza trendy prawne w UE, kształtując wzorce postępowania krajowych instytucji i codzienność obywateli.

Wedle regulacji wydawanych w oparciu o Konwencję w szpitalach muszą istnieć regulaminy gwarantujące prawną ochronę życia pacjentów. Państwo ma również obowiązek stworzenia systemu sądowego pozwalającego ustalić przyczynę zgonu i ewentualną odpowiedzialność lekarzy. Orzecznictwo trybunału zdaje się jednak w pewnych sprawach odległe od przytoczonych zasad. Zdarzyło się tak m.in. w przypadku ciężarnej kobiety o nazwisku Vo, która zgłosiła się do szpitala w Lyonie na rutynowe badania kontrolne. W tym samym miejscu i czasie przebywała kobieta o identycznym nazwisku, u której miał zostać przeprowadzony zabieg usunięcia stałego środka antykoncepcyjnego. W wyniku pomyłki zabiegowi została poddana ciężarna, czego konsekwencją było pozbawienie życia 6-miesięcznego nienarodzonego dziecka. Sąd orzekający w sprawie o nieumyślne zabójstwo uznał, że do przestępstwa nie doszło, ponieważ płód nie jest osobą. Ofiara złożyła skargę do trybunału, która okazała się jednak nieskuteczna, albowiem sędziowie potwierdzili pogląd sądu krajowego, odmawiając prawa do ochrony życia na podstawie postanowienia zawartego w art. 2 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Obywatela. Wiadomo jednak, że dziecko urodzone trzy miesiące przed terminem ma spore szanse na przeżycie, a wiele takich wcześniaków wyrasta na zdrowych dorosłych. Wydaje się zatem oczywiste, że życie takich osób powinno podlegać ochronie wywodzonej z wspomnianego postanowienia.

Opisane zdarzenie może zostać uznane za skrajne, ale w kilku sprawach podobnych do głośnego przypadku niespełna dwuletniego Alfiego Evansa Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że pozostawanie w stanie określanym jako wegetatywny jest wystarczającym powodem do tego, by zaniechać starań podtrzymywania takiego życia, a wręcz wbrew rodzinie chorego doprowadzić do jego arbitralnego przerwania poprzez odłączenie od aparatury. W sprawie nieuleczalnie chorej, która chciała zalegalizować zawczasu przyśpieszenie jej śmierci z pomocą jej męża, ETPC orzekł, że gwarantowane przez konwencję prawo do życia nie oznacza prawa do śmierci. O zakończeniu ludzkiej egzystencji mogą więc zadecydować lekarze, ale już nie najbardziej zainteresowana tym osoba ani jej najbliżsi.

Wstrząsający przypadek ingerencji w podstawowe prawo człowieka, którym jest prawo do życia, skłania do refleksji nad konsekwencjami wdrażania idei, zgodnie z którymi aborcja powinna być uprawnieniem kobiet, eutanazja wygodnym rozwiązaniem problemu ludzi starych i schorowanych. W tak swoiście uporządkowanym świecie niedopuszczalna ma być jednak kara śmierci. Najwyższa wartość, którą jest życie, darowana ma być nawet zwyrodnialcom, ale nie osobom dotkniętym chorobą, nierzadko bezbronnym i pozbawionym możliwości wyrażenia swojej woli. To rzeczywistość niekonsekwencji i sprzeczności.

REKLAMA

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 17 kwietnia 2018 roku zmarł w Wersalu

ŚP

PPŁK STANISŁAW BOLESŁAW LIKIERNIK

PS. „MACHABEUSZ", „STACH"

urodzony 25 czerwca 1923 roku w Garwolinie. Od maja 1941 roku żołnierz Związku Walki Zbrojnej Warszawskiego Okręgu ZWZ.

Od grudnia 1942 roku kapral podchorąży Armii Krajowej w oddziale dywersyjno-bojowym „DB-17" Kedywu, następnie zastępca dowódcy 226. plutonu 9. Kompanii Dywersyjnej Obwodu AK Żoliborz. Od listopada 1943 roku służył w „Grupie Andrzeja", przekształconej w oddział Kedywu „Kolegium A".

W Powstaniu Warszawskim dowódca drużyny w Batalionie „Miotła", a od 12 sierpnia 1944 roku w Batalionie „Zośka" Zgrupowania AK „Radosław". 15 sierpnia 1944 roku mianowany na podporucznika. Trzykrotnie ranny w walkach na Woli, po raz czwarty na Czerniakowie.

Uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP, Krzyżem Walecznych oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

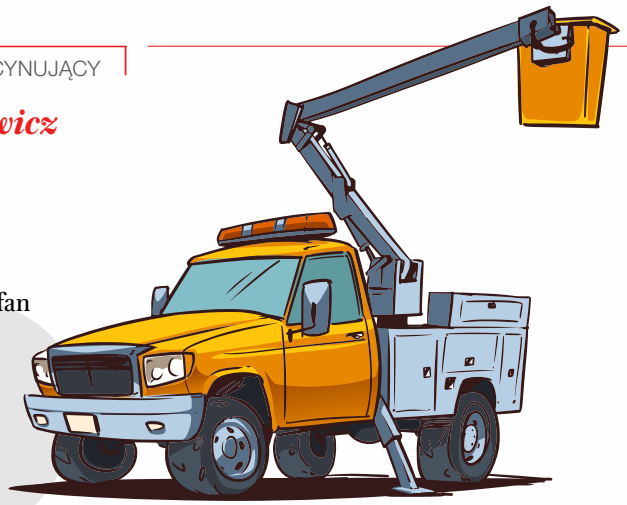
Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

31/0418/F

eprasa.pl 24723fda50

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Z góry



Pewien turecki kibic, fan Denizlisporu, dostał roczny zakaz stadionowy. Pomysłowy Turek wykombinował jednak, jak zakaz obejść, a może raczej jak nad zakazem przefrunąć. Wynajął dźwig i mecz oglądał z wysięgnika ozdobionego flagą drużyny. Z pomysłowości kibica wszyscy byli zadowoleni. Na pojedynczej trybunie nie mógł rozrabiać, widok miał lepszy niż pozostali, a drużyna, której kibicował, wygrała z Gaziantepsorem 5:0. Kto by pomyślał, że patrzenie na innych z góry może się opłacić.

61

tyle szóstek padło w 2017 r. w Lotto i Lotto Plus. Ich wartość wyniosła 318 053 792,80 zł

3 tys.

tyle zaginionych dzieci zostało zlokalizowanych w New Delhi cztery dni po tym, jak miejska policja wdrożyła testowe oprogramowanie do rozpoznawania twarzy przy wykorzystaniu tak zwanej platformy FRS.

409,4 mln zł

taki podatek zapłaciła fiskusowi firma Jeronimo Martins Polska w ubiegłym roku. Dane z tego roku poznamy w lipcu.



Dąb na kwarantannie

Drzewko zasadzone przed Białym Domem wspólnie przez prezydentów Francji i Stanów Zjednoczonych zniknęło – poinformowała agencja Reuters. To nie byle jakie drzewko, bo roślinka była darem dla Donalda Trumpa od Emmanuela Macrona i pochodziła z miejsca jednej z historycznych bitew I wojny światowej. „Europejski dąb pochodził z miejsca bitwy w lesie Belleau na północny wschód od Paryża, która odbyła się latem 1918 r. W bitwie tej zginęło niemal 2 tys. amerykańskich żołnierzy. Jak mówił podczas sadzenia drzewka Macron, miało ono przypominać o »więzach, które łączą« Francję i Stany Zjednoczone". Dlaczego dąb zaginął? Biuro prasowe prezydenta Francji poinformowało, że drzewko zostało poddane kwarantannie. Biały Dom obawiał się, że na sadzonce mogą być pasożyty, które zniszczą inne rośliny. Coś jakby trojańskie drzewko...

„Najlepszy przyjaciel" zakazany

Tego jeszcze nie było. Termin „najlepszy przyjaciel" znalazł się na cenzurowanym. Jak podaje Independent.co.uk, jedno z przedszkoli w Massachusetts zachęca dzieci, by nie używały terminu „najlepszy przyjaciel". Według dyrektorki placówki to określenie może sprawiać, że niektóre dzieci poczują się wykluczone. Sprawę nagłośniła zbulwersowana mama czterolatki, która postanowiła przenieść dziewczynkę do innego przedszkola, by ta miała normalne dzieciństwo. Ciekawe, kiedy jakaś mądra głowa zabroni zawierania małżeństw. Przecież wszyscy odrzuceni potencjalni małżonkowie i małżonki mogą się czuć wykluczeni.



eprasa.pl 24723fda50

Koniec z operacjami!

Szok, niedowierzanie. Tzw. żywy Ken, czyli Rodrigo Alves, ogłosił, że kończy z operacjami plastycznymi, bo nie pamięta już, jak wyglądał przed nimi. Faktycznie mógł zapomnieć, bo przeszedł ich już ok. 60, a zapłacił za nie 24 mln zł. „Na dziś koniec z operacjami. Będę sobie robić jedynie zabiegi anti-age w celu utrzymania efektów poprzednich zabiegów" – poinformował opinię publiczną Ken-Rodrigo. Czy po tej deklaracji świat wciąż będzie taki sam?



Czy naprawdę musimy pouczać Polaków w kwestii obrony wolności i samostanowienia? Nie. W obliczu historii minionego stulecia należy temu krajowi okazywać należny szacunek – **stwierdził przewodniczący parlamentu Niemiec Wolfgang Schäuble w wywiadzie dla czasopisma „Internationale Politik". No i wreszcie Niemcy zaczynają mówić z sensem.**

Na ratunek

Szwedzki superbohater Fantomen odwiedził Polskę, by rozgromić nacjonalistów tęczową flagą LGBT. Wszystko na kartach szwedzkiego komiksu, o którym informuje portal Antyradio.pl. Akcja dzieje się podczas warszawskiej parady równości, którą mają zakłócić polscy nacjonaliści z biało-czerwonymi flagami. Ich przywódcę superbohater uderza tęczową flagą, udaremniając dezorganizację parady. A gdzie był Fantomen, gdy Obywatele RP zakłócali smoleńskie miesięcznice? Siedział u fryzjera z farbą na włosach?



Fot. Andrzej Wiktor, Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com, Shutterstock (x2), instagram.com/rodrigoalvesuk, mat.prasowe

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Szacunek dla kosmity



Dominik Zdort

Pamiętna scena z filmu „Men in Black". „K" (Tommy Lee Jones) i „J" (Will Smith) siedzą na ławeczce. „K" wprowadza młodszego kolegę w tajniki swojej pracy. Mówi, że na ziemi żyje 1,5 tys. obcych, większość z nich na Manhattanie, starają się prowadzić normalne życie. „J" kiwa ze zrozumieniem głową i rzuca: „Taksówkarze?". „K" odpowiada": „Nie tak wielu, jak sądzisz".

W Polsce taksówkarze pewnie nie są tak powszechnie uważani za kosmitów, ale wielu użytkowników taksówek zapewne miałoby przynajmniej kilka anegdot do opowiedzenia o kierowcach, którzy zabierali klienta, wioząc na tylnym siedzeniu gromadkę swoich dzieci, czy zamęczali go opowieściami o własnym życiu. I wreszcie – którzy zmierzali do celu drogą tak dziwną, że trudno byłoby ją sobie wymyślić. Bo taką wskazała nawigacja.

Minęły czasy, gdy taksówkarze znali miasto jak własną kieszeń. Miałem jednak nadzieję, że zagrożeni konkurencją ze strony różnych półamatorskich „łebków", „przewozów" i „uberów" będą chcieli pokazać, że oni, jako profesjonaliści, gwarantują więcej i lepiej. Że przyklasną pomysłowi resortu infrastruktury, aby przywrócić egzaminy ze znajomości miasta dla kierowców.

Niestety pewna reprezentująca taksówkarzy organizacja określiła ten pomysł jako „archaiczne przepisy (egzamin z topografii miasta w dobie GPS)". No więc, droga organizacjo, przypomnę ci słynną historię o tureckim kierowcy ciężarówki, który zaufał nawigacji i dotarł na Trafalgar Square w Londynie zamiast na przylądek Trafalgar w Hiszpanii. Wystarczy, że omsknie się paluszek, a wskażemy inny cel jazdy niż ten, na którym nam zależało.

Nawigacja GPS (nie wspomnę już, że zawodna, gdy nad miastem wiszą grube chmury) to tylko narzędzie, z którego trzeba korzystać, ale bezmyślnie mu nie ufać. To tak, jakby w czasach kalkulatorów nie uczyć dzieci dodawania ani odejmowania, a w dobie internetu nie uczyć już niczego, bo przecież jest Wikipedia i wiele innych źródeł w sieci.

Na szczęście dzieci wciąż ćwiczą równania, a i wśród taksówkarzy mamy wyjątki. Pewien starej daty kierowca obruszył się, kiedy wskazałem mu, którą ulicą powinien pojechać. Bo przecież „zna to miasto od dzieciństwa i nie muszę go pouczać". Ta uwaga – pozornie niegrzeczna – spowodowała, że pan za kierownicą zdobył sobie u mnie sporą porcję szacunku.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 24723fda50

RZECZY POSPOLITE

W czerni i bieli



Tomasz ***Łysiak***

Il calcio (piłka nożna) ma we Włoszech status niemal religijny. Każdy Włoch w mniejszym lub większym stopniu interesuje się futbolem. No, z małymi wyjątkami. Raz spotkałem jednego, który powiedział, że w ogóle nie zwraca uwagi na to, co się dzieje na piłkarskich boiskach, ale podczas rozmowy wymienił wszystkie kluby z czołówki tabeli, a następnie wyraził swoje zdanie na temat tego, kto zdobędzie lo scudetto (tak nazywa się włoski tytuł mistrzowski, od niewielkiej tarczy – trofeum). Kilka dni temu w Wenecji szedłem brzegiem kanału. Po drugiej stronie rodzina z małymi dziećmi. Nagle mały, może sześcioletni chłopiec pokazał mnie palcem ojcu i krzyknął: „Papa! Popatrz, tamten idzie w bluzie Juventusu!". Uśmiechnąłem się i pomachałem ręką, odpowiadając: „Tak, tak! Juve!". Na to dzieciak wyciągnął rękę z kciukiem do dołu i zabuczał, a potem wrzasnął: „Juventini! Uciekajcie do Turynu!". Rodzice przechodzili właśnie w moją stronę przez mostek, lekko zakłopotani. Powiedzieli, że są z Neapolu. Ja na to, że Milik, Zieliński itd. Roześmialiśmy się, ale dzieciak twardo ze zmarszczonym czołem patrzył na mnie jak na strasznego potwora. Bo animozje Napoli–Juventus to nie tylko futbol. To znak pęknięcia kraju na dwie nienawidzące się części: północ i południe. Dwie różne kultury. Dwa sposoby myślenia, prowadzenia polityki czy zarabiania pieniędzy.

O calcio rozmawiają wszyscy – na placach, w kawiarniach i domach, w pociągu i na stacji benzynowej, a nawet w kościołach. Dyskutują w barach o futbolu – nad rozpostartą gazetą – profesorowie uniwersyteccy i robotnicy z budowy. Futbol łączy Włochów. Jest częścią włoskiej kultury – jak muzyka, opera, malarstwo czy architektura. U nas ciągle jest traktowany jako dziedzina, którą nie powinni się pasjonować ludzie dobrze wychowani. O, nawet mój tata, gdy słyszy o moim kibicowaniu Juventusowi, śmieje się i dogryza mi, że jestem „kibol". No trochę jestem. Ale po włosku. W dobrym, starym, klasycznym stylu. In bianconero – w czerni i bieli. Fino alla fine!

Teściowa z „Faktu"



Piotr ***Cywiński***

Mówią o nas bardzo źle" – zasępił się polskojęzyczny „Fakt": „Zła opinia o Polsce pod rządami Prawa i Sprawiedliwości przenika już nie tylko do wypowiedzi zachodnich polityków, opiniotwórczych gazet amerykańskich i brytyjskich, ale nawet do świata popkultury". Ów tabloid na niemieckiej licencji doniósł, że u nas „demokracja umiera" i szeregują nas razem z braćmi Madziarami obok Turcji i Nikaragui. W kwestii formalnej, zaszeregowała nas tak fikcyjna pani prezydent USA z serialu „Homeland", ale zarzuty są najprawdziwsze i tę „przykrą, gorzką ocenę sytuacji w Polsce cytują już anglojęzyczne konta na Twitterze". Niby jest Polska Fundacja Narodowa, która powinna dbać o nasze dobre imię poza granicami, ale ta nic nie robi – wytknął „Fakt", który dba i robi.

Zatroskanych wizerunkiem Polski w świecie mamy wielu, płci obojga. Weźmy słynną ponadnarodowo polską europosłankę Różę, Marię, Barbarę Gräfin (po polsku: hrabinę) von (z) Thun und (i) Hohenstein – czyż nie sławi i nie propaguje swej ojczyzny w świecie? Propaguje. I to jak! Albo niestrudzony w tym propagowaniu polsko-amerykański socjolog i historyk amator, odznaczony za wybitne osiągnięcia na tym polu przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej Jan Tomasz Gross...? Wszystkich sławiących nie wymienię, bo mamy ich, że ho, ho, a może nawet więcej. Gadają po kościołach, że Polska to matka, a o matce nie mówi się źle, ale to truizm, jak cały ten nasz ślepy katolicyzm bez zrozumienia dla współczesnego świata, i eufemizm, i w ogóle niedorzeczność, wszak wyżej wymienieni krzewią wiedzę o nas w świecie, a poza tym dzieci bywają różne w „tenkraju".

Są te z wyklętych, które perorują coś o niedzisiejszym, omszałym patriotyzmie, i są te światłe, działające w duchu hasła z banknotu stuzłotowego, zapewne tylko czasowo wycofanego z obiegu: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się". Te ostatnie są tym bardziej godne wyróżnienia, że to nie jakieś niedokształty, lecz obywatele ukształtowani, bywający na europejskich salonach i za oceanem nawet. Może ci ostatni komuś kojarzą się z kawałem o szczycie zatroskania: „Zepchnąć teściową ze schodów i spytać, gdzie mamusia się tak śpieszy", ale wie przecież każdy głupek, że najpierw trzeba kogoś zepchnąć, aby móc wykazać troskę i dać szansę, żeby wszedł...

eprasa.pl 24723fda50

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FELUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 111 370 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
NATASZA VIEWEGER – NATASZA.VIEWEGER@FRATRIA.PL
IWONA WIEJAK – IWONA.WIEJAK@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

FOT. NA OKŁADCE: STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR (x2), SHUTTERSTOCK (x6)

eprasa.pl 24723fda50



Fot. Piotr Matusewicz/East News

Pilnowanie dobrej zmiany



„Bartłomiej Misiewicz osobiście zaproponował, aby PGZ przejęła finansowanie organizacji koncertu i zapłaciła zaliczkę na rzecz stowarzyszenia w wysokości 40 proc. kosztów koncertu" – ustaliło CBA

Fot. Fratria

O odkrywanych przekrętach z czasów poprzednich rządów zwykle jest głośno. Gdy za przestępstwa korupcyjne zatrzymywani są ludzie związani ze zjednoczoną prawicą, milczą solidarnie i PiS, i PO. Władzy trudno przyznać, że dobra zmiana nie zawsze się udaje, ale opozycja ma jeszcze większy problem. Bo oto upada mit o prześladującej przeciwników policji politycznej. Dotarliśmy do dokumentów dotyczących finansowych machlojek w PGZ. Pokazują one, że przestępcy przyklejający się do obecnej ekipy nie mogą liczyć na łagodne traktowanie przez CBA



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Centralne Biuro Antykorupcyjne nigdy jeszcze nie było tak dobrze oceniane przez Polaków. Według sondażu przeprowadzonego przez IBRiS dla „Rzeczpospolitej" pracę CBA pozytywnie ocenia prawie 47 proc. badanych. To o 9 pkt procentowych więcej niż przed rokiem.

I to mimo nieustannej nagonki na Biuro ze strony polityków odsuniętych od władzy. Rzecznik PO Jan Grabiec nazwał je niedawno „policją polityczną na usługach rządzącej partii". Wtórował mu szef klubu Platformy Sławomir Neumann: „CBA jest tylko narzędziem politycznym w rękach PiS". Grzegorz Schetyna od dawna zapowiada, że jeśli PO wróci do władzy, CBA zostanie zlikwidowane.

JAK ŚCIGAJĄ „SWOICH"

Opozycja strzela kulą w płot. Przekonuje, że służba kierowana przez Ernesta Bejdę próbuje eliminować ich ludzi – szczególnie mocno ten przekaz był lansowany przy sprawie Stanisława Gawłowskiego, obecnie aresztowanego za zgodą sądu. Ale CBA poluje na łapówkarzy niezależnie od ich barw partyjnych i powiązań z ekipami politycznymi. Ściganie „swoich" jest w mediach zupełnie marginalizowane. A jest co opisywać. Przypadek Polskiej Grupy Zbrojeniowej, którym zajmiemy się szczegółowo, jest tylko jednym z wielu, ale świetnie pokazuje, jak wokół jednej z największych państwowych spółek stworzono układ biznesowo-towarzyski służący wysysaniu publicznych pieniędzy za pomocą pozornych umów, fikcyjnych szkoleń, zawyżanych faktur. Oplatająca holding sieć sięgała poziomu zarządu PGZ oraz gabinetu politycznego MON. To tylko jeden z wielu obszarów funkcjonowania Grupy, który obecnie bada Centralne Biuro Antykorupcyjne. Ten jest już dobrze udokumentowany.

Zanim jednak przyjrzymy się PGZ, spójrzmy na owoce pracy CBA wobec przestępstw popełnianych w latach 2015-2018 i dotyczących ludzi z nadania dobrej zmiany. Bo przecież nie ograniczają się one do jednego przypadku przyjmującego łapówki senatora Stanisława Koguta.

Lista jest długa: zatrzymania w Zakładach Chemicznych „Police" SA (jeden

eprasa.pl 24723fda50

z wątków dotyczy roku 2016 i strat spółki w wysokości ponad 2 mln zł); osiem osób zatrzymanych w ubiegłym roku w sprawie korupcji w spółce PIT-RADWAR; zatrzymanie przewodniczącego Rady Nadzorczej Azotów, pracownika Lotosu i kilku biznesmenów w dużej aferze wokół wielomilionowych przetargów, od których miały być pobierane łapówki rzędu kilkuprocentowych „prowizji"; zatrzymania w PKP i w BOR (afera związana z niekorzystnymi dla państwowej spółki kontraktami na szkolenia antyterrorystyczne); zatrzymania 11 osób w sprawie łapówek w spółce Tauron Ciepło SA.

Nie odbiło się szerokim echem zatrzymanie we wrześniu 2017 r. burmistrza Koła (członka PiS) jako szóstej osoby w aferze z ustawianymi przetargami. Za przyjmowanie łapówek na celowniku CBA znalazł się też były dyrektor kopalni Makoszowy, kolejny zatrzymany za przekręty w Spółce Restrukturyzacji Kopalń; były także zatrzymania (12 osób, m.in. na gorącym uczynku) w Elektrowni Szczecin w lutym 2017 r. – straty państwowej PGE liczono w tej sprawie w milionach.

Nie znamy jeszcze ostatecznych owoców kontroli CBA w Inspektoracie Uzbrojenia MON, w toku są postępowania lustrujące wydatki na PR, reklamę i doradztwo w Lotosie, Orlenie, KGHM, Azotach i PGZ. Ta ostatnia spółka ma gigantyczny budżet, ogromną strukturę (ponad 60 spółek), więc pojawiają się wielkie pokusy. Już w marcu 2016 r. zatrzymano w niej jednego z menedżerów ds. zamówień publicznych. To jednak nie zniechęciło innych oszustów.

Opisujemy historie, w których stawką było kilka milionów złotych, czyli margines miliardowych interesów prowadzonych przez państwowego giganta. Przestępcy myśleli zapewne, że ta mała – z pozoru – skala przekrętów nie przyciągnie niczyjej uwagi. Nic podobnego. Dotarliśmy do zawiadomienia o przestępstwie, jakie pod koniec 2017 r. (jeszcze przed zmianami w MON) CBA wysłało do prokuratury po kontroli w zbrojeniowej spółce. Opisuje ono kilku umów zawartych w lecie 2016 r. przez zarząd PGZ.

SZKOLENIA, KTÓRYCH NIE BYŁO

Pierwsza, z 20 czerwca 2016 r., dotyczy „świadczenia usług szkoleniowych" w zakresie CSR (corporate social responsiblity – społeczna odpowiedzialność biznesu) ze Stowarzyszeniem dla Dobra Rzeczpospolitej – Propter Bonum Reipublicae. Ze strony państwowej spółki podpisali ją wiceprezesi Radosław Obolewski i Maciej Lew-Mirski, za stowarzyszenie – jego prezes Piotr Balcerowski.

Jak ustaliło CBA, wniosek do zarządu PGZ (sporządzony przez dyrektora marketingu Roberta Kosterę) zawierał wiele nieprawdziwych informacji, a oferta stowarzyszenia „nie posiadała żadnych cech oferty handlowej". Trudno się dziwić – stowarzyszenie nie miało żadnego doświadczenia w tego typu działalności.

> CBA nie ma wątpliwości, że osoby decyzyjne w PGZ wiedziały, iż prawie 0,5 mln zł nie było przeznaczone na wskazane w umowie szkolenia

Sprawy dzieją się szybko. Tego samego dnia (20 czerwca) stowarzyszenie wystawia fakturę (za szkolenie) na 491 964,33 tys. zł brutto, a już następnego środki te przelewane są na jego konto, mimo że formalna akceptacja płatności została zatwierdzona w PGZ dopiero tydzień później. Większość tej kwoty (391 tys.) jeszcze 21 czerwca stowarzyszenie przelewa firmie PR Ten Team Sp. z o.o. Jeden z jej właścicieli, Grzegorz Kuć, jest wskazany w fakturze stowarzyszenia jako jej wystawca.

Jaki związek ze „szkoleniami" dla PGZ ma Ten Team? Żaden. Ale firma ta w tym samym czasie pojawia się w innej sprawie – koncertu, który miał być zorganizowany w Warszawie. CBA pisze: „Stowarzyszenie zostało wskazane przez Bartłomieja Misiewicza – ówczesnego Szefa Gabinetu Politycznego oraz rzecznika MON – przedstawicielom PGZ jako podmiot odpowiedzialny za organizację na pl. Piłsudskiego w Warszawie obchodów 40-lecia KOR. Misiewicz osobiście zaproponował, aby PGZ przejęła finansowanie organizacji koncertu i zapłaciła zaliczkę na rzecz stowarzyszenia w wysokości 40 proc. kosztów koncertu". Chodziło dokładnie o... 491 964,33 tys. zł. Co do grosza. To zadziwiająca zbieżność, ale nie jedyna w tej historii. Mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której PGZ z kim innym podpisuje umowę („pośrednik" bierze swoją dolę), a kto inny wykonuje zlecenie. Być może chodzi o ukrycie prawdziwego zleceniobiorcy, ktoś mógłby przecież zwrócić uwagę na to, że firma Ten Team zarobiła już prawie 300 tys. zł przy okazji organizacji szczytu NATO na Stadionie Narodowym.

Zabezpieczona w PGZ dokumentacja „szkoleniowa" zawiera notatkę z kilku czerwcowych rozmów pomiędzy przedstawicielami MON (Misiewicz i jedna z urzędniczek), Dowództwa Garnizonu Warszawa oraz PGZ (Kostera i Robert Szydłowski – dyrektor wykonawczy państwowej spółki). Wszystkie dotyczyły jednak nie szkoleń, ale koncertu. Jak się okaże, stowarzyszenie miało zlecić jego organizację firmie Ten Team.

CBA nie ma wątpliwości, że osoby decyzyjne w PGZ wiedziały, iż prawie 0,5 mln zł nie było przeznaczone na wskazane w umowie szkolenia. Potwierdziło się to w kolejnych miesiącach. Dopiero po tym, jak w październiku 2016 r. CBA zainteresowało się umową, prezes PGZ Arkadiusz Siwko polecił SdDR przedstawienie harmonogramu szkoleń. Otrzymał go w styczniu. Nic jednak z niego nie wynikało. „Pomimo tego, że umowa została zawarta 20 czerwca 2016 r., to do 26 kwietnia 2017 r., czyli ponad 10 miesięcy od jej podpisania i dokonania zapłaty, nie przeprowadzono żadnego szkolenia dla pracowników PGZ SA, co dodatkowo potwierdza pozorność tej umowy" – czytamy w zawiadomieniu o przestępstwie.

Czując na plecach oddech CBA, przedstawiciele PGZ i SdDR wyprodu-

54/0418/F

eprasa.pl 24723fda50

kowali dokumentację, która pogrąża ich jeszcze bardziej. Wynika bowiem z niej, że koszt godziny szkolenia jednego pracownika (głównie w zakresie ochrony danych osobowych) wynosił średnio aż 1,8 tys. zł! Nijak ma się to do stawek rynkowych – gdyby nawet przyjąć najwyższe i uznać, że PGZ tych szkoleń rzeczywiście potrzebowała, spółka mogłaby wydać 24 tys. zł, a nie 491 tys. zł.

LEWY KONCERT

Przejdźmy do umowy dotyczącej wspomnianego warszawskiego koncertu „Głos Wolności" oraz wystawy multimedialnej w Kielcach z okazji zrywu robotników w 1976 r. 7 lipca 2016 r. Robert Kostera przedstawił zarządowi wniosek w tej sprawie. Tyle że było już dawno po koncercie... Odbył się on bowiem 26 czerwca. Wniosek co prawda nosi datę 22 czerwca, ale jego treść wskazuje, że został antydatowany. Czytamy w nim bowiem o liczbie 400 osób, która „uczestniczyła" w koncercie, oraz o tym, że „najważniejszym elementem wydarzenia było uroczyste wręczenie medali...", a „część edukacyjną stanowił koncert gwiazd...".

Podkreślmy: zarząd PGZ zaakceptował wniosek 7 lipca, dwa tygodnie po koncercie, gdy wiedziano, że – wbrew jej zapisom – odbył się on nie na pl. Piłsudskiego, ale w hotelu Victoria, nie brało w nim udziału 1,4–2,4 tys. osób (jak planowano), lecz ledwie 400, a dodatkowo to PGZ poniosła cały koszt wynajęcia hotelowej sali (niemal 40 tys. zł). Mówimy o sporym wydarzeniu. Przemawiali na nim premier Beata Szydło, ministrowie Antoni Macierewicz i Piotr Naimski, a także szef „Solidarności" Piotr Duda.

Koszty koncertu (516 tys. zł) Rada Nadzorcza PGZ zaakceptowała dopiero 5 września (jednym z jej członków był wówczas powołany pięć dni wcześniej Bartłomiej Misiewicz), a umowę ze stowarzyszeniem podpisano 26 września – trzy miesiące po wydarzeniu.

W ramach tej samej umowy to samo SdDR miało zorganizować we wrześniu wystawę multimedialną w Kielcach. Za 221 tys. zł. „Protokół Należytego Wykonania Umowy" w zakresie wystawy podpisano w PGZ 10 września 2016 r., czyli... 16 dni przed podpisaniem samej umowy (w zakresie koncertu jeszcze wcześniej, bo w czerwcu). Problem w tym, że żadna wystawa się nie odbyła. „Jako dowód na realizację wystawy multimedialnej w Kielcach we wrześniu 2016 r. PGZ SA przedłożyła 13 czerwca 2017 r. funkcjonariuszom CBA dokumentację fotograficzną, której analiza wykazała, że wszystkie zdjęcia zostały wykonane w innym miejscu i w innym czasie, niż mająca się odbyć wystawa – fotografie przedstawiają przystanki multimedialne ustawione na terenie miasta Radom w czerwcu 2016 r.".

W dokumentach znajdujemy jeszcze jeden absurd. PGZ podpisała bowiem (23 czerwca) dodatkową umowę z SdDR na nadzór nad organizacją koncertu oraz wystawy. Niedrogo – za 21 tys. zł. CBA podsumowuje: „Doprowadzono do tak

REKLAMA

Niechciani generałowie

Rozmowa z Szymonem Nowakiem, autorem książki „Niechciani generałowie".

Opisuje Pan powojenne losy polskich oficerów walczących na froncie zachodnim.

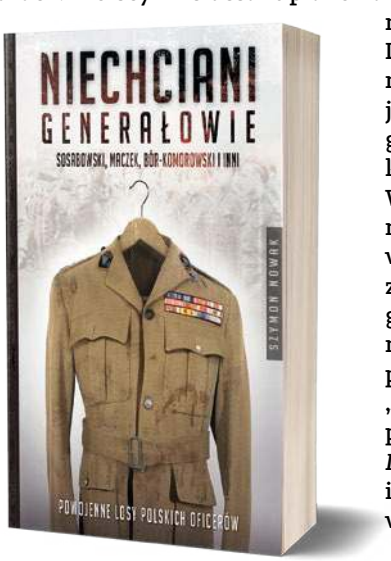
Tak - to polscy generałowie, bohaterowie i legendarni dowódcy. Po wojnie musieli schować oficerską dumę do kieszeni i skryć głęboko w szafie galowe mundury z szeregiem odznaczeń. Po zakończeniu działań zbrojnych dawny sojusznik - Wielka Brytania przestała życzliwie traktować wojennych uchodźców w mundurach. Polscy żołnierze nie byli już potrzebni, więc aby utrzymać rodziny kawalerowie orderu Virtuti Militari zostawali barmanami, tapicerami i nocnymi stróżami.

Polacy nie wzięli udziału w alianckiej paradzie zwycięstwa, jaka odbyła się po zakończeniu wojny.

Na londyńskiej paradzie zwycięstwa w 1946 roku, w której obok Anglików i Amerykanów maszerowali nawet sanitariusze z Fidżi i oddziały robocze z Seszeli, zabrakło Polaków. Niestety Rząd Jego Królewskiej Mości na dwa tygodnie przed defiladą rozwiązał Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie.

Kogo dokładnie postanowił Pan opisać?

Przedstawiam dziewięciu polskich oficerów - postacie najbardziej wyraziste. Józefa Unruga, dowódcę Polskiej Floty i Obrony Wybrzeża w 1939 roku, któremu po kapitulacji Kriegsmarine zaproponowała służbę w swoich szeregach. Odmówił. Po wojnie, aż do lat pięćdziesiątych, naprawiał silniki w kutrach rybackich w Maroku. Drugim opisanym oficerem jest gen. Stanisław Sosabowski - twórca i dowódca legendarnej polskiej brygady spadochronowej, szykowanej do desantu w okupowanej Polsce. Ostrzegał, że desant planowany pod Arnhem będzie zrzucony „o jeden most za daleko". W powojennym Londynie próbował sił w branży meblarskiej, a potem przez lata pracował jako magazynier. Kolejna postać to gen. Tadeusz Komorowski „Bór" - komendant Armii Krajowej. Były Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie utrzymywał się w Londynie z pracy tapicera. W książce zaprezentowana jest także postać gen. Stanisława Maczka - dowódcy największej przedwrześniowej polskiej jednostki pancernej. Dowódca „Czarnych diabłów" żeby utrzymać przykutą do wózka inwalidzkiego córkę Małgorzatę, podawał piwo jako barman i pilnował bramy klubu sportowego w Edynburgu.



eprasa.pl 24723fda50

nielogicznej sytuacji, że PGZ SA najpierw zleciła Stowarzyszeniu nadzór nad produkcją koncertu, którego Stowarzyszenie było producentem, a następnie po trzech miesiącach zawarła wstecznie umowę na samą produkcję, zatem zapłacono podmiotowi zewnętrznemu, aby nadzorował sam siebie".

Za koncert oraz wystawę PGZ przelała stowarzyszeniu 737 947,74 zł. Z tej kwoty 705 tys. trafiło dalej na konto Ten Team.

SIEĆ WOKÓŁ PGZ

W zawiadomieniu do prokuratury CBA wskazuje pięć osób, którym można udowodnić przestępstwo niedopełnienia obowiązków, nadużycia uprawnień (w celu osiągnięcia korzyści majątkowych dla różnych podmiotów) i narażenia państwowej spółki na duże straty. To Radosław Obolewski (wiceprezes PGZ), Robert Kostyra (dyrektor marketingu PGZ), Robert Szydłowski (dyrektor wykonawczy PGZ), Maciej Bogucki (kolejny dyrektor wykonawczy w PGZ) i Grzegorz Kuć (w dokumentach figurujący jako przedstawiciel Stowarzyszenia dla Dobra Rzeczpospolitej).

Kluczową postacią jest tu Radosław Obolewski, wiceprezes PGZ od grudnia 2015 r. do października 2016 r. Jednocześnie (od stycznia 2016 r. do czerwca 2017 r.) zasiadał w radzie nadzorczej PCO SA (dawniej Bumar Żołnierz), wchodzącej w skład Grupy PGZ. Wcześniejszej jego działalności biznesowej Krajowy Rejestr Sądowy nie odnotowuje. Prywatnie jest mężem Anny Obolewskiej, właścicielki apteki Aronia w Łomiankach, w której przed wejściem do polityki pracował Bartłomiej Misiewicz. Obolewski był też szefem Klubu „Gazety Polskiej" w podwarszawskim miasteczku.

Kuć to prezes i współwłaściciel (z Maciejem Cłapińskim) spółki Ten Team. Jest też w 1/4 współwłaścicielem firmy Get Set Sp. z o.o. Udziałami w tej ostatniej dzieli się z Cłapińskim i Stanisławem Oprządkiem. Ci dwaj to jednocześnie współwłaściciele firmy El Padre, do której jeszcze wrócimy.

Ale najpierw spójrzmy na jeszcze jeden cytat z zawiadomienia do prokuratury: „W toku kontroli uzyskano informacje o relacjach osobistych i spotkaniach pomiędzy osobami reprezentującymi podmioty biorące udział w organizacji i finansowaniu wydarzenia Pro Defense, tj. Członkiem Zarządu Expo Mazury Mirosławem Pietruchą, Członkiem Zarządu PGZ SA Radosławem Obolewskim oraz Bartłomiejem Misiewiczem".

Przyjrzyjmy się więc teraz bliżej współpracy ze spółką Expo Mazury.

PUCHNĄCA UMOWA

W przesłanym do prokuratury zawiadomieniu dokładnie opisano umowę PGZ/94/2016 z 30 marca 2016 r. dotyczącą udziału Polskiej Grupy Zbrojeniowej w ostródzkich targach Pro Defense w dniach 2–5 czerwca 2016 r. Pakiet sponsorski opiewał na ok. 1 mln zł, ale ciekawsza jest kwestia stoiska wystawienniczego Grupy PGZ.

> W tej sprawie jak w soczewce widać patologię i sposób działania pajęczyny, która oplotła PGZ i ssała z niej kasę na wiele sposobów

Obecność na takiej imprezie to oczywistość, a koszt budowy stoiska oszacowany przez Annę Florys, menedżera Biura Bezpieczeństwa PGZ, na 250 tys. zł pozwalał myśleć, że uda się to zrealizować za naprawdę niewielkie (jak na PGZ) pieniądze. Taki plan zaakceptował zarząd spółki. Zabudowa stoiska miała być zorganizowana „po kosztach", z pomocą logistyczną wojska i wykorzystaniem posiadanych przez koncern mebli oraz projektu stoiska z targów zbrojeniowych w Kielcach w 2015 r.

Tyle teorii, potem już projekt zaczął niezrozumiale „puchnąć". 18 maja 2016 r. zarząd PGZ w składzie Radosław Obolewski i Maciej Lew-Mirski wyraził zgodę na zawarcie aneksu nr 1 do umowy. W tym momencie była już mowa o 3 mln zł dla firmy Expo Mazury SA, która miała postawić na targach stoisko dla PGZ oraz innych spółek Grupy. W dokumentacji nie ma śladu po żadnej procedurze przetargowej, decyzja była arbitralna i jej podstaw należy szukać w udokumentowanych przez CBA relacjach osobistych wiceprezesa Obolewskiego z Mirosławem Pietruchą, członkiem zarządu Expo Mazury SA. Obolewskiemu musiało naprawdę bardzo zależeć na tym, by kasa trafiła do firmy znajomego, bo postanowił wyeliminować wszelkie „słabe punkty" układu. Na przykład odsunął od sprawy Annę Florys, która – jak piszemy wyżej – oszacowała możliwość zbudowania stoiska za kwotę ponad dziesięciokrotnie mniejszą, niż w rezultacie wypłacono firmie Expo Mazury SA.

W dokumentacji widać, że stoisko to całkowity rympał. Aneks dający miliony firmie znajomego wiceprezesa zawarto bez wyszczególnienia, za co tak naprawdę trzeba zapłacić i jakie elementy stoiska staną się później własnością PGZ. I nic dziwnego, bo – jak ustalono – po zapłaceniu kwoty 3 213 652,37 zł okazało się, że PGZ SA nie posiada żadnego (!) elementu zabudowy ani jej wyposażenia. Wypada jeszcze powiedzieć, skąd się wzięła tak kosmiczna kwota ponad 3 mln, skoro planowano stoisko za 250 tys. zł. PGZ brała wszystko po cenach o wiele wyższych niż rynkowe, z czego nie była w stanie się wytłumaczyć, gdy pytali o to funkcjonariusze CBA. „Wynagrodzenie agencji" – 435 tys. zł., „podłogi" – 267 tys. zł, „wzmocnienie wewnętrzne z formatowaniem" – 238 tys. zł, „półfabrykaty" – 80 tys. zł, „podłoga z wykładziną i folią" – 47 tys. zł. Mało? To spójrzmy jeszcze na sprzęt, który „musiał" być wypożyczony, choć cena jego zakupu byłaby niższa. „Projektor Optoma DLP 1020" – cena nowego 2 890 zł, za wynajem zapłacono 3 693 zł. „Monitor LED 40" – cena nowego 898 zł, wynajęto ich 16, płacąc za użyczenie każdego z nich po 2 841,30 zł, co dało kwotę 45

Autopromocja

eprasa.pl 24723fda50

460,80 zł. „Monitor LED 55” – cena nowego 1 598 zł, wynajem – 12 razy 3 267,50 zł, co daje 39 209,94 zł. Itd., itp.

Z RĘKI DO RĘKI

Pieniądze firmie Expo Mazury wypłacono na podstawie trzech faktur. I tu kolejna ciekawostka: dwie z nich – z 25 maja 2016 r. na ponad 2 mln zł brutto i 2 czerwca 2016 r. na prawie 700 tys. zł. brutto – zaakceptował do wypłaty Robert Szydłowski, dyrektor wykonawczy PGZ SA. Trzecia faktura, z 20 czerwca 2016 r. na 671 143,47 zł, nie została zaakceptowana do wypłaty przez nikogo, a jednak przelew poszedł.

To wcale nie koniec tej historii. PGZ zawarła umowę na budowę stoiska z firmą Expo Mazury, która oświadczyła – co było wymagane – że „jest podmiotem będącym w stanie samodzielnie i kompletnie zrealizować targi”. Ustalono jednak, że „faktycznym wykonawcą zabudowy stoiska PGZ SA na Pro Defense 2016 była firma El Padre Sp. z o.o.”. Taki jest też obieg pieniędzy w tym układzie. Kilka dni po wpłatach z PGZ pieniądze z Expo Mazury wędrowały do El Padre, były to jednak kwoty nieco mniejsze – z pierwszej faktury firma pana Pietruchy zostawiła sobie prawie 150 tys. zł, z drugiej i trzeciej – po niemal 50 tys. zł.

To nie pierwszy przypadek, gdy za sprawą decyzji jednego człowieka, Radosława Obolewskiego, pieniądze miały iść do konkretnej firmy. 20 czerwca 2016 r. na posiedzeniu zarządu złożył wniosek, by PGZ zaangażowała się w obchody 40-lecia strajków w Radomiu. Rekomendował „zawarcie umowy z firmą eventową El Padre Sp. z o.o. na realizację autorskiego projektu artystycznego tej spółki, obejmującego m.in. wykorzystanie multimedialnych przystanków na kwotę 495 781,39 zł [...]”. Wiaty firmy El Padre Obolewski forsował również w lipcu 2016 r. w Łomiankach, gdzie miał być emitowany film reklamowy o PGZ. Te pomysły nie przeszły, zarząd odrzucił je, wytykając brak szczegółowych ustaleń. Być może był już wyczulony na tego „partnera”. To tłumaczyłoby, dlaczego w Ostródzie zastosowano karkołomną konstrukcję umowy z podstawioną firmą Expo Mazury zamiast faktycznego wykonawcy, czyli El Padre.

Można zapytać, dlaczego tak drobiazgowo zajmujemy się jedną umową i jakimś stoiskiem. Bo właśnie w tej sprawie jak w soczewce widać patologię oraz sposób działania pajęczyny, która oplotła PGZ i ssała z niej kasę na wiele sposobów. Kolejnym ustaleniem CBA jest to, że umowa tak naprawdę dotyczyła dwóch stoisk – tego przygotowywanego dla PGZ i innych spółek Grupy oraz tzw. zabudowy komercyjnej, która kosztowała 73,8 tys. zł. Posłużmy się znów cytatem z zawiadomienia do prokuratury: „Z przekazanej przez PGZ SA dokumentacji zdjęciowej mającej stanowić dowód na realizację usługi przez Expo Mazury SA, zestawionej ze schematem zabudowy komercyjnej [...] wynika, że jedyną zabudową stoiska PGZ SA na hali wystawienniczej nr 5 była właśnie zabudowa komercyjna [...]”.

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

WIEŻA BAB

– ROZMAWIAMY Z KOBIETAMI O TYM, CO DLA NICH WAŻNE



PIĄTEK
o godz. 13.07

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl 247231da50



Fot. Fratria

A więc nie dość, że drogo i bez nadzoru, to PGZ za zabudowę stoiska na targi Pro Defense 2016 w Ostródzie zapłaciła dwukrotnie. CBA podkreśla również, że „sposób przeprowadzenia wyboru wykonawców, niespójność i brak dokumentacji, fakt natychmiastowego przetransportowania środków finansowych do innych podmiotów oraz ich wysokość, a także zidentyfikowane powiązania personalne [Radosław Obolewski, Mirosław Pietrucha, Bartłomiej Misiewicz – przyp. red.] mogą wskazywać na celowe niekorzystne rozporządzenie majątkiem PGZ SA [...] i wyrządzenie znacznej szkody majątkowej".

BARDZO DROGA LADA

Centralne Biuro Antykorupcyjne ma wiele dowodów na istnienie swoistej sieci firm, które oplotły PGZ. Dobrze to widać na przykładzie opisanego w zawiadomieniu do prokuratury przetargu na budowę stoiska (znów stoisko!) na kielecki Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego 2016. To bez wątpienia najważniejsza branżowa impreza w kraju, więc jasne jest, że PGZ pokazuje się tam cyklicznie. Dlaczego więc przynajmniej elementy stoiska nie mogą być te same co rok wcześniej? Być może odpowiedź jest banalna – mogłoby być zbyt tanio, a jest przecież sporo firm, które chcą się na tym pożywić.

W przypadku MSPO 2016 nie doszło już do wskazania firmy, która ma pracować dla PGZ. Teoretycznie zorganizowano przetarg i nawet swoje uwagi co do jego legalności miało Biuro Etyki i Postępowań Antykorupcyjnych PGZ, które nakazało powtórzenie postępowania. Efekt był taki, że w trzech turach wysłano zapytania ofertowe do 25 podmiotów, ale niech nikogo nie zmyli wielość firm, bo to tylko pozory. W zawiadomieniu czytamy: „[...] wszyscy wykonawcy, którzy zgłosili zainteresowanie, przedstawili ofertę lub mieli realizować zamówienie na budowę stoiska PGZ SA, byli ze sobą w jakiś sposób powiązani". Pojawiają się tutaj m.in. znane nam już Ten Team czy El Padre, a także ich podwykonawcy, którym te firmy udzielają rekomendacji. Co ciekawe, większość tych podmiotów ma siedzibę w Warszawie przy ul. Solec 81B/A-51, pod tym adresem zarejestrowanych jest 690 (słownie: sześćset dziewięćdziesiąt) firm, mamy więc do czynienia z klasycznym biurem wirtualnym.

Wszystko we własnym sosie, żadnych obcych ciał. Jak udało się dobrać takie towarzystwo? To proste. „[...] zbyt krótki termin na złożenie oferty uniemożliwiał wykonawcom przygotowanie i przedstawienie oferty na budowę stoiska MSPO". PGZ tak wyśrubowała wymagania, że nie zdążyła nawet firma Probudex, której właściciele kilka miesięcy wcześniej sukcesywnie informowali Biuro Marketingu PGZ SA o chęci wzięcia udziału w konkursie. W pierwszym rzucie nie wysłano do niej nawet zapytania ofertowego, a potem zabrakło już czasu.

W tych trudnych warunkach najlepszą ofertę zaproponowała – cóż za zaskoczenie! – firma Expo Mazury, która i tym razem musiała zatrudnić podwykonawcę. Padło na spółkę Messential, jedną z tych kilkuset, które zarejestrowano w Warszawie na Solcu. Umowa została ostatecznie zawarta 12 sierpnia 2016 r., a osobami odpowiedzialnymi za jej realizację ze strony PGZ byli pracownicy pionu Radosława Obolewskiego i Roberta Szydłowskiego. Wywiązali się ze swojego zadania, delikatnie mówiąc, średnio. W kosztorysie była konsekwentnie mowa o zakupie, a nie o wypożyczeniu elementów zabudowy stoiska, zatem po targach powinny one przejść na własność PGZ i trafić do magazynu z możliwością wykorzystania ich w kolejnych latach. Jednak 20 dni po zakończeniu imprezy, 29 września 2016 r., firma Expo Mazury przedstawiła oświadczenia informujące, że „meble oraz multimedia wykorzystywane do realizacji stoiska na MSPO Kielce 2016 r. były wypożyczone". Dalej w piśmie z CBA do prokuratury czytamy: „[...] jedynym elementem, jaki odebrany został przez PGZ SA i znajduje się w jej posiadaniu, spośród elementów o łącznej wartości nie mniejszej niż 4 867 036,20 zł, jest lada targowa z logo PGZ o wartości kosztorysowej 4 900 zł netto".

Autopromocja

eprasa.pl 24723fda50

CBA stwierdziło nieprawidłowości również w przypadkach kilku innych umów zawieranych przez PGZ. Nie są one ujęte w zawiadomieniu o przestępstwie, choć niekiedy wyglądają wyjątkowo kuriozalnie. Jak choćby w przypadku wynajęcia na rok loży VIP o nr 120 na pierwszym poziomie trybuny zachodniej Stadionu Narodowego w Warszawie. PGZ zapłaciła za to spółce PL2012+ niemal 244 770 zł. W zamian za to miała mieć możliwość wykorzystywania 42-metrowego pomieszczenia do spotkań biznesowych oraz skorzystania z pakietu 12 biletów na dziewięć wskazanych wydarzeń „widowiskowo-rozrywkowych" na stadionie (m.in. mecze piłkarzy z Danią i Armenią, koncert Rihanny czy zawody żużlowe). Zarząd oraz jego goście chętnie korzystali z loży na Narodowym w ramach tego pakietu imprez, ale do niczego więcej lokal im się nie przydał. W wyniku kontroli nie odnaleziono bowiem żadnego dowodu na skorzystanie przez PGZ z loży do celów biznesowych. Ćwierć miliona poszło na zabawę VIP-ów z PGZ.

WINNI POPRZEDNICY I CBA

Centralne Biuro Antykorupcyjne zażądało wyjaśnień od zarządu PGZ. Poznaliśmy treść odpowiedzi, jakiej na kilkudziesięciu stronach udzielił Maciej Lew-Mirski. Co ciekawe, nie ma w niej żadnych merytorycznych odniesień do zarzutów. Wiceprezes holdingu uparcie stara się za to wykazać, że funkcjonariusze przeprowadzili kontrolę z rażącym naruszeniem przepisów, co ma z automatu oznaczać nieważność zebranych w jej trakcie dowodów na nadużycia. Jednym z najpoważniejszych naruszeń przepisów przez CBA ma być trzykrotne przedłużanie czynności kontrolnych oraz nieprecyzyjne określenie, co tak naprawdę agenci mają sprawdzać. Trudno uznać to za polemikę z solidnie udokumentowanymi zarzutami, raczej widzimy tutaj proceduralną gierkę prawniczą, która ma unieważnić kontrolę bez rozstrzygania o winie.

Maciej Lew-Mirski pisze za to sporo o uczciwości, etyce i wartościach, jakimi kierują się pracownicy oraz władze PGZ. Dowodem na wprowadzenie międzynarodowych standardów ma być powołanie do życia na początku 2016 r. Biura ds. Etyki i Procedur Antykorupcyjnych. Wtedy przyjęto Kodeks Etyki Grupy PGZ i podsumowano, bardzo krytycznie, poprzednie zarządy. Stwierdzono m.in., że brak odpowiednich procedur otwierał furtkę do zatrudniania firm rodzinnych, a nepotyzm był zjawiskiem tak powszechnym, że nikogo nie dziwiły wręcz klany rodzinne i przyjacielskie zatrudnianie w spółkach. Przekładać się to też miało na koszty współpracy z kontrahentami, które często wielokrotnie przewyższały ceny rynkowe.

Przypomnijmy, żeby się nie pomyliło – to o poprzednikach. Maciej Lew-Mirski twierdzi, że przyjęty system działań przynosi skutki w postaci oszczędności oraz odbudowuje wizerunek Grupy. O „oszczędnościach" i „rynkowych" cenach już wspominaliśmy, natomiast nad poprawą wizerunku trzeba będzie jeszcze popracować. Teraz już na serio.

POLECAMY

TELEWIZJA W POLSCE PL

BARDZO WAŻNA SPRAWA

– GORĄCA DYSKUSJA, MERYTORYCZNE STARCIE ARGUMENTÓW



ŚRODA
o godz. 12.29

OGLĄDAJ TELEWIZJA W POLSCE PL W CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196

eprasa.pl 247231da50

Jedyny, który może



Patryk Jaki ma niewielką, lecz realną szansę na zwycięstwo w Warszawie. Ale mimo to PiS powinno się skoncentrować na zdobyciu sejmików wojewódzkich. Bo takie zwycięstwo można by potraktować jako wybór dokonany przez całą Polskę, a nie tylko przez nietypowe metropolie



PIOTR SKWIECIŃSKI

Początki kampanii wyborczej Patryka Jakiego wydają się wskazywać, że ma on szanse nawiązać wyrównaną walkę z kandydatem dominujących w stolicy liberałów. W tej sytuacji łatwo zapomnieć, że decyzja Jarosława Kaczyńskiego o postawieniu w warszawskim wyścigu właśnie na wiceministra sprawiedliwości nie była bynajmniej oczywista. Więcej – rodziła się długo.

I wiadomo dlaczego. Jaki to polityk związany ze Zbigniewem Ziobrą, czyli jednym z tych liderów formacji rządzącej (formalnie jej koalicjantem), którym prezes PiS będzie zawsze patrzył na ręce, dowierzał nie w pełni i pilnował, by zanadto nie urośli. Jaki jest bardzo mocnym przedstawicielem tej grupy. Gdyby wygrał, spotężniałaby ona zasadniczo. Oczywiście można się zabawić we wróżby i powiedzieć, że wtedy nieodwoływalny przez władze państwowe prezydent Warszawy usamodzielniłby się nie tylko od prezesa, lecz i od Ziobry, ale to przecież totolotek i nikt teraz nie przewidzi, jak w takich okolicznościach zachowałby się Jaki, więc Kaczyński miał pełne prawo dmuchać na zimne. Gdyby zaś Jaki przegrał, ale uzyskawszy dobry wynik w drugiej turze, nie do końca lubiana w „PiS zasadniczym" Solidarna Polska również zwiększyłaby swoje aktywa.

Poza tym Ziobro i środowisko Solidarnej Polski pozostaje w ostrym

eprasa.pl 24723fda50



konflikcie z premierem Morawieckim. Co prawda premier nie ma bezpośredniego przełożenia na partyjne decyzje podejmowane na Nowogrodzkiej, ale zarazem wiadomo, że spotężnienia swoich przeciwników by nie chciał. Też nie zwiększało to szans na nominację Jakiego.

A mimo to dostał tę nominację. Można uznać, iż dowodzi to, że prezes spisał Warszawę na straty. Że wie, iż zwycięstwo jest niemożliwe, a skoro tak, to lepiej zachować równowagę wewnątrzpartyjnych frakcji poprzez uniknięcie zbytecznego antagonizowania jednej z nich. To będzie mniejsze zło; większe nie zagrozi, bo przecież Jaki nie wygra. I tu można byłoby przypomnieć niegdysiejsze zesłanie Kazimierza Marcinkiewicza na pełniącego obowiązki prezydenta stolicy, z cichym założeniem centrali PiS, że wyborów to on nie wygra i że to w gruncie rzeczy dobrze.

„NIEMAL" ROBI RÓŻNICĘ

Ale można spojrzeć na to również inaczej. Sytuacja w Warszawie jest trudna, zwycięstwo wydaje się niemal niemożliwe. To „niemal" robi jednak wielką różnicę. A z wszystkich przymierzanych do udziału w tym starciu potencjalnych kandydatów jedynie Jaki ma w sobie dynamikę i potencjał pozwalające na nietraktowanie bitwy o Warszawę wyłącznie tak, jak generał Chłopicki traktował bitwę w Olszynce Grochowskiej – czyli że chodzi tylko o to, aby honorowo „setnie się wykropić" i z honorem przegrać. Tu chodzi o energię i wolę walki. O wrażenie nowości, czyli coś nieuchwytnego, czego czasem pozbawieni są rzeczywiści polityczni debiutanci, natomiast potrafią je wyczarować – wydawałoby się – już oswojeni polityczni gracze.

Jaki ma to wszystko. A dodatkowo ma większą od swych – do niedawna – konkurentów rozpoznawalność. Będącą, rzecz jasna, efektem batalii związanych ze stołeczną aferą reprywatyzacyjną. W trakcie tej afery, pozostając człowiekiem jednoznacznie prawicowych przekonań, parokrotnie zademonstrował umiejętność otwarcia się i współdziałania ze środowiskami od prawicy dalekimi, ale w konkretnych sprawach mającymi z PiS wspólne interesy oraz poglądy (rzadkie zjawisko w tej partii).

Przy czym te jego cechy będą zarazem tymi, w które będzie bić konkurencja. To już widać, choćby z wypowiedzi Rafała Trzaskowskiego, który komentując kandydaturę Jakiego, powiedział, iż „warszawiacy nie lubią polityków agresywnych i takich, którym się wydaje, że zjedli wszystkie rozumy, więc Patrykowi Jakiemu łatwo nie będzie". A tak pójdzie też w sprawę ustawy reprywatyzacyjnej, którą Jaki stworzył, a której forsowanie na skutek „wojny z Izraelem" zostało zawieszone. Umiejętne i szybkie wyjście z tej sytuacji przez PiS wydaje się bardzo ważne w kontekście wyborczych szans Jakiego.

Część pasywów Jakiego nadaje się przy tym do umiejętnego przekucia w aktywa. Na przykład to, że nie pochodzi z Warszawy, można przełożyć na brak zobowiązań wobec stołecznych grup interesu. Można próbować uczynić go kandydatem licznych w Warszawie „słoików", czyli przybyszy. To trudne, bo ci ostatni swoje cywilizacyjne kompleksy próbowali dotąd leczyć za pomocą utożsamienia się ze

eprasa.pl 24723fda50

stołecznymi antyprawicowymi elitami, ale można przynajmniej osłabić ten fenomen; owe elity dziś nie imponują już tak jak kiedyś. Wreszcie – atmosfera wojny z elitami może skłonić do głosowania jakąś część warszawiaków dotąd niegłosujących.

Konkludując: Patryk Jaki jest tym kandydatem PiS, o którym nie można powiedzieć, że jest skazany na klęskę. W Warszawie to znaczy bardzo dużo.

TO WCALE NIE JEST „LEMINGRAD"

Choć zarazem popełniają błąd ci, którzy postrzegają stolicę jako wyłącznie uosobienie i centralę „lemingów", by użyć tego nieco wychodzącego już z użytku słowa. To oczywiście prawda, ale są w Polsce znacznie bardziej liberalne i „lemingowe" metropolie, z Gdańskiem i Poznaniem na czele. Warszawa jest politycznie mniej jednoznaczna. I nie chodzi przy tym o to, że tutaj niegdyś wybory na prezydenta miasta dość pewnie wygrał Lech Kaczyński. To było dawno, od tego czasu wiele się zmieniło (choć trzeba odnotować, że w Poznaniu czy Gdańsku również i wtedy nic takiego nie nastąpiło i żaden Lech Kaczyński nie miałby tam szans nie tylko dziś, lecz również wtedy).

Ważniejsze jest coś innego. Otóż Warszawa jest największą (i tak naprawdę według światowych standardów jedyną) polską metropolią. Ma to bardzo wymierne skutki, bo związany z rozmiarem stopień jej komplikacji i wielowymiarowości zdecydowanie przekracza wszystkie inne miasta.

Chodzi o komplikację i wielowymiarowość w sensie innego (mniejszego niż wszędzie indziej) uzależnienia ludności od władz samorządowych, które w związku z tym w mniejszej niż gdzie indziej mierze potrafią stworzyć podtrzymujące je grupy interesu. W sensie istnienia w Warszawie znacznie większej liczby rozmaitych społecznych i biznesowych graczy niż gdzie indziej. I w sensie tego, że mieszkańcy Warszawy, podejmując wybory polityczne, mogą być motywowani czynnikami gdzie indziej nieobecnymi w ogóle albo też wpływającymi na znacznie mniejszy odsetek wyborców.

Zauważmy też, że opinie o Warszawie jako rzekomym „Lemingradzie", zweryfikowane empirycznie, okazują się mocno na wyrost. W 2014 r. średnio porywający Jacek Sasin zyskał w domniemanie najtrudniejszej dla PiS stolicy więcej głosów niż jakikolwiek kandydat tej partii w jakiejkolwiek (z wyjątkiem Wrocławia) innej polskiej metropolii. W porównaniu z innymi miastami odsetek głosów uzyskany w stolicy przez Sasina był często wręcz znacznie większy (a w takim Poznaniu nie było nawet PiS-owca w drugiej turze).

> Jaki ma w sobie dynamikę i potencjał pozwalające na nietraktowanie bitwy o Warszawę wyłącznie tak, jak gen. Chłopicki traktował bitwę w Olszynce Grochowskiej

Wszystkie te czynniki razem wzięte sprawiają, że – paradoksalnie – zwycięstwo ugrupowania rządzącego w stolicy jest wprawdzie mało prawdopodobne, ale nie wykluczone. A jeśli tak, to – jak już napisałem – decyzję Kaczyńskiego o wystawieniu Jakiego można ocenić inaczej. Można uznać, że dowodzi ona, iż mylą się ci analitycy, którzy uważają, że głównym, jeśli niejedynym, paradygmatem w jego myśleniu jest zachowanie jednoznacznej, osobistej kontroli nad partią. Odwrotnie – dla mało prawdopodobnego, lecz potencjalnie wielkiego zwycięstwa (bo wygrana w stolicy byłaby dla PiS wielką wiktorią w skali całego kraju, jednoznacznie pokazującą, iż prawicowość w tożsamościowej wersji nie tylko nie jest czynnikiem w naturalny sposób skazującym ugrupowanie na uwiąd, lecz wręcz nie jest sprzeczna z posiadaniem przez nie wielkich perspektyw) gotów jest zaryzykować możliwość wewnątrzpartyjnych perturbacji, nawet osłabienia własnej władzy nad stronnictwem.

…ALE POLSKA TO SEJMIKI

Powiedziawszy to, muszę stwierdzić, że szanse Prawa i Sprawiedliwości w wielkich metropoliach, mimo wszystko z Warszawą włącznie, są jednak niewielkie. O czym politycy tej partii doskonale wiedzą. Inaczej, z wszystkich możliwych, głównie kulturowych, powodów jest w reszcie kraju. W szczególności możliwe wydaje się zwycięstwo rozumiane jako przejęcie przez PiS większości sejmików wojewódzkich. A wybory sejmikowe, przez swoją partyjność i powszechność, można przekonująco przedstawić jako prefigurację parlamentarnych; bo w istocie w dużym stopniu są one taką prefiguracją. Innymi słowy: ewentualne tak pojęte zwycięstwo PiS w sejmikach można przekonująco przedstawić jako przejaw poglądów wszystkich Polaków – w odróżnieniu od specyficznych i będących w skali całego kraju w mniejszości mieszkańców metropolii.

Nawiasem mówiąc, pogłębiający się rozziew w politycznych wyborach metropolii i niemetropolii (nie używam słowa „prowincja", bo chodzi też o sporą część średnich miast) nie jest zjawiskiem wyłącznie polskim – staje się cechą nowej epoki w wielu krajach Zachodu. Polska niemetropolitalna, nawet nie wyzbywając się zakompleksienia wobec tegoż Zachodu, może się więc przestać wstydzić.

Możliwe więc byłoby swego rodzaju podzielenie się zwycięstwem. Bo opozycja liberalna, gdyby obsadziła stanowiska prezydentów wszystkich czy prawie wszystkich metropolii, rzecz jasna również ogłosiłaby, iż to znaczy, że Polska idzie za nią. Ważne, aby tej narracji móc i potrafić przeciwstawić własną, równie albo i bardziej przekonującą oraz logiczną.

Dlatego należałoby już teraz umiejętnie kreować wizję zwycięstwa jako zdobycia sejmików, a nie metropolii. Co skądinąd z realnym wspieraniem kandydatury Jakiego byłoby do pogodzenia trudne.

Ale przecież nie niemożliwe.

eprasa.pl 24723fda50



Wojna o pokój

Prezydent Andrzej Duda oraz Prawo i Sprawiedliwość godzą się na coś w rodzaju małżeństwa z rozsądku: bez miłości, ale i bez specjalnych awantur

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 24723fda50



STANISŁAW JANECKI

Istotę relacji między prezydentem a PiS oddaje kwestia opiniodawczego referendum konstytucyjnego. Prezydent zaskoczył nim partię 3 maja 2017 r., a potem w ważnych sprawach zrobił to jeszcze dwa razy: wetując ustawy o Sądzie Najwyższym oraz Krajowej Radzie Sadownictwa (24 lipca 2017 r.), a także tzw. ustawę degradacyjną (30 marca 2018 r.). PiS nie chce referendum, ale ze strony partii rządzącej nie ma jednoznacznego stanowiska na „nie". Są tylko głosy poszczególnych polityków, np. szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów Jacka Sasina, że rezygnacja z referendum „byłaby dobrym krokiem ze strony pana prezydenta".

Liderzy PiS źle odbierają nieprzewidziane przez nich ruchy Andrzeja Dudy, do opinii publicznej bowiem płynie komunikat, że coś się dzieje z winy tej partii, która nie słucha bądź ignoruje prezydenta, choć wydawało się, że nie ma już problemów między obu ośrodkami. A sami politycy partii rządzącej uważają, że prezydent ich zaskakuje tylko po to, żeby pokazać swoją odrębność i rolę konstytucyjnego superintendenta, czyli że gra na reelekcję kosztem PiS.

Liderzy PiS przewidują, że referendum urządzone mniej więcej w trzylecie rządzenia tej partii opozycja zamieni w plebiscyt i sąd nad tym ugrupowaniem oraz wyłonioną przez nie Radą Ministrów. A taki plebiscyt zyska nadzwyczajny zasięg zarówno z powodu referendum, jak i obchodów stulecia odzyskania niepodległości. Prezydent zdyskontuje obchody jako ich gospodarz, a poprzez referendum pokaże, jak jest otwarty na „głos ludu", natomiast PiS zostanie ustawione w roli chłopca do bicia. Z czego opozycja skwapliwie skorzysta.

Prezydent liczy na to, że referendum go wzmocni, gdyż jeszcze bardziej się uniezależni od PiS i rządu. Nawet przy niskiej frekwencji, choć nie tak niskiej jak w referendum z września 2015 r. Wtedy referendalnej broni użył Bronisław Komorowski. I przestrzelił. Na trzy pytania: o jednomandatowe okręgi wyborcze, finansowanie partii i rozstrzyganie wątpliwości w sprawie wykładni prawa podatkowego na korzyść podatnika oddało głosy zaledwie 7,8 proc. uprawnionych.

POD DYKTANDO KALENDARZA WYBORCZEGO

Stan relacji między prezydentem Andrzejem Dudą a Prawem i Sprawiedliwością wyznacza przede wszystkim kalendarz wyborczy. Wybory prezydenckie są najpóźniej (najpewniej w maju 2020 r.), więc zarówno głowa państwa, jak i PiS mogą się wzajemnie szachować aż do ogłoszenia wyników wyborów parlamentarnych (najpewniej pod koniec października bądź na początku listopada 2019 r.). Jeśli PiS je wygra, będzie miało znacznie silniejszą pozycję wobec prezydenta i większe pole manewru w kampanii prezydenckiej, łącznie z możliwością poparcia innego kandydata niż Andrzej Duda, choć jest to wciąż traktowane jako „ostateczna ostateczność".

> Andrzej Duda chce zbudować bardziej samodzielną pozycję polityczną, jednak nie zamierza tworzyć własnej partii

Gdyby obecna władza wybory przegrała, wzmocniłoby to bardzo prezydenta, bo stałby się ostatnim i jedynym bastionem dobrej zmiany. Wtedy PiS właściwie nie miałoby wyboru, żeby go poprzeć i zaangażować wszystkie siły, na rzecz jego zwycięstwa. Kalendarz wyborczy sprawia więc, że prezydent może sobie pozwolić na więcej w relacjach z PiS, niż gdyby kolejność wyborów była inna. A jednocześnie PiS nie może reagować nerwowo czy przekreślać Andrzeja Dudy, gdyż może go w 2018 r. bardzo potrzebować. To sprawia, że choć są napięcia w obustronnych relacjach, ani Andrzej Duda, ani Jarosław Kaczyński nie palą mostów, nie wypowiadają słów, które mogłyby zaszkodzić. Ale w obu obozach nie brakuje harcowników podgrzewających atmosferę, bo emocje są po obu stronach znacznie gorętsze, niż wynikałoby to z zewnętrznych znamion. I z tych emocji wynika „chlapanie" różnych osób, które jeszcze bardziej antagonizuje te dwa obozy.

Różnice interesów i stanowisk między Andrzejem Dudą a PiS są faktem, więc teorie spiskowe mówiące, że to tylko ustawka i podział ról na złego i dobrego policjanta można między bajki włożyć. Otwarcie, choć trochę eufemistycznie mówi zresztą o tym doradca prezydenta prof. Andrzej Zybertowicz: „Jest pewien rozziew wynikający z wymiaru konstytucyjnego. Z powodów systemowych jest pewne naturalne zróżnicowanie". Doradca prezydenta podkreśla, że „odpowiedzialność prezydenta i sposób komunikowania się prezydenta z wyborcami, jak i komunikowanie się ugrupowania rządzącego jest innego typu. Prezydent jest mniej pisowski nie tylko dlatego, że ma charakter człowieka samodzielnie reagującego w trudnych sytuacjach, tylko z faktu, że ten urząd wymaga takiej legitymizacji". Andrzej Duda uważa, że czasem musi iść pod prąd, czyli sprzeciwiać się PiS i rządowi. Chce być bowiem odbierany „w roli bezpiecznika, który pluralizuje potencjał dobrej zmiany".

W PiS, a szczególnie w jego twardym elektoracie, nie jest to odbierane jako „pluralizowanie", tylko zabieganie o reelekcję kosztem partii rządzącej. I ten twardy elektorat coraz częściej głosi, że Andrzej Duda nie powinien być kandydatem PiS w wyborach prezydenckich w 2020 r. W Polskim Radiu 24 niedawno otwarcie takie stanowisko zajął redaktor naczelny „Gazety Polskiej" Tomasz Sakiewicz.

eprasa.pl 24723fda50

LETNIE PODCHODY

Dość powszechna jest wśród polityków PiS obawa, że prezydent Andrzej Duda może się okazać nie dość odporny na argument ulicy (jak w lipcu 2017 r.), że zbytnio liczy się z opiniami i naciskami płynącymi z zagranicy, że cechuje go typowa dla krakowskich intelektualistów ostrożność i zamykanie się w kręgu miejscowych przyjaciół.

Oczekiwania po wygranych w 2015 r. wyborach prezydenckich były takie, że Andrzej Duda będzie co najmniej takim fighterem jak podczas niektórych wystąpień w Sejmie, gdy był posłem PiS. Doradcy prezydenta reagują na takie zarzuty przypomnieniem, że PiS wiele Andrzejowi Dudzie zawdzięcza, bo jego zwycięstwo utorowało tej partii drogę do władzy, co wcale nie było takie pewne. A ostrożność prezydenta i wsłuchiwanie się w głos zagranicy wcale nie szkodzi, bo gdyby Andrzej Duda był słuchany, byłoby mniej kłopotów w relacjach z Komisją Europejską, USA czy Izraelem. W relacjach prezydenta z PiS wciąż jednak nie jest tak, że partia Jarosława Kaczyńskiego poprze Andrzeja Dudę w 2020 r. tylko wtedy, gdy przeciwko niemu wystartuje Donald Tusk.

Jarosław Kaczyński nie ma złudzeń, że PiS musi mieć prezydenckie wsparcie w drugiej części kadencji, Andrzej Duda zaś wie, że nie może cały czas stawiać się partii rządzącej. Chodzi tylko o proporcje, a tu oba obozy uważają, że to druga strona przesadza i jest przewrażliwiona. Referendum opiniodawcze w sprawie konstytucji zmniejszeniu napięć nie pomaga, obie strony bowiem zupełnie inaczej postrzegają jego sens i polityczne znaczenie.

Przez najbliższe dwa lata Andrzej Duda chce zbudować bardziej samodzielną pozycję polityczną, ale jednak nie zamierza tworzyć własnej partii, do czego bywa namawiany. Przede wszystkim dlatego, że i Jarosław Kaczyński, i Andrzej Duda nie dopuszczają do tego, by konflikt interesów obu stron wymknął się spod kontroli. Dlatego znacznie się rozluźniły kontakty głowy państwa z Porozumieniem i jego liderem Jarosławem Gowinem. Dlatego znacznie ostrożniejsze są deklaracje posłów Kukiz ’15 w sprawie tworzenia z prezydentem jakiegoś wspólnego bytu politycznego. Wynika to także z tego, że rząd Mateusza Morawieckiego jest z wielu powodów atrakcyjniejszym punktem odniesienia, także dla ruchu Kukiz ’15 niż prezydent Andrzej Duda. To się może zmienić dopiero po wyborach parlamentarnych w 2019 r. Słaba partia na zapleczu Andrzeja Dudy nie byłaby dla niego żadnym atutem, a zasadniczo zepsułaby relacje z PiS. Dlatego i obóz dobrej zmiany, i prezydent godzą się na coś w rodzaju małżeństwa z rozsądku. Bez miłości, ale i bez specjalnych awantur. Jeden z prezydenckich doradców określa stan relacji między Andrzejem Dudą a PiS jako „letnią wojnę domową z tendencją do trwałego rozejmu”. Co nie znaczy, że obie strony przestaną się zaskakiwać, tyle że mają to być zagrywki w sprawach mniejszej wagi.

Politycy PiS wątpią, by inicjatywa referendalna specjalnie wzmocniła prezydenta. Tym bardziej że Andrzejowi Dudzie znana jest ankieta PiS wśród prawników konstytucjonalistów, że wprawdzie dość powszechne jest oczekiwanie wskazania przez nową konstytucję jednego silnego ośrodka władzy wykonawczej, ale wcale nie jest to ośrodek prezydencki, lecz rządowy. Najważniejsze jest jednak to, że Jarosław Kaczyński ma całkiem inną wizję konstytucji niż Andrzej Duda.

REKLAMA



eprasa.pl 24723fda50



Fot. Andrzej Wiktor

Niepodległość zaczyna się w głowach

To jest wielki fenomen polskości, że mimo tego ciągłego doświadczania zła wciąż się odradzamy. Nie daliśmy się stłamsić

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Jarosławem Szarkiem, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej

Jak pan ocenia toczącą się debatę o relacjach polsko-żydowskich w okresie II wojny światowej i w latach powojennych? Widać stałe eskalowanie oskarżeń pod adresem Polski i Polaków, wielu autorów próbuje wprowadzić zarzut rzekomego współsprawstwa Holokaustu do głównego nurtu tej opowieści.

Jarosław Szarek: To jest dla państwa polskiego poważny problem. Historycy, którzy jeżdżą na zagraniczne sesje naukowe, na różne spotkania, informują nas, że ta opowieść o Polakach jako współsprawcach niestety zaczyna dominować. Również zbitka mówiąca o „Polakach antysemitach" staje się czymś powszechnym i obecnym także na wielu zachodnich uczelniach. Gdy Polonia protestuje, nauczyciele pokazują jej podręczniki, w których tak to ujęto.

Czyli zarzuty wobec Polski i Polaków stały się częścią oficjalnej ideologii na Zachodzie?

Tak. Na pierwszy plan wyciągane są negatywne przykłady, których przecież nikt nie podważa. Problem w tym, że te straszne zdarzenia stają się podstawą fałszywej opowieści o rzeczywistości okupacyjnej. O rzeczywistości tak nieludzkiej, że nie da się jej porównać do niemieckiej okupacji na Zachodzie. Brakuje więc symetrii. I kontekstu... O pewnych sprawach nie mówimy, bo większość historyków raczej od nich uciekała. Można nawet mówić o obawach przed zajmowaniem się pewnymi tematami.

Bo można mocno oberwać?

Jest np. kwestia zachowania się ludności żydowskiej po 17 września 1939 r. Kilka lat temu uznany historyk prof. Krzysztof Jasiewicz udzielił wywiadu na ten temat. Rozmowa była rzeczowa, lecz z powodu jednego niewłaściwego sformułowania została przez gazetę wypaczona, która cały tekst nie omieszkała opatrzyć prowokacyjnym tytułem. Co przyniosło oskarżenia o poglądy antysemickie. W rezultacie tej nagonki prof. Jasiewicza pozbawiono stanowiska w Polskiej

eprasa.pl 24723fda50

Akademii Nauk. Człowieka z poważnym dorobkiem potraktowano w taki sposób, mimo apeli w jego obronie! Polakom można zarzucić każdą niegodziwość, ale jakakolwiek wątpliwość dotycząca postawy części ludności żydowskiej może być przedstawiona jako antysemityzm.

A tym samym oznaczać śmierć cywilną.

Dlatego nie ma chętnych, by te tematy badać. A trzeba zbadać i rok 1939, i rok 1920. Zwłaszcza w obliczu zbliżających się okrągłych rocznic. Musimy przedstawiać fakty i opisywać je uczciwie, naukowo. Musimy przypominać o istnieniu licznych środowisk żydowskich, które wspierały walkę o niepodległość, nie przemilczając tego, że byli i tacy, którzy czekali na bolszewików, którzy dezerterowali. Pisał o tym Piłsudski, pisał Witos. Czy przywoływanie tych relacji to już jest antysemityzm? Już sama możliwość postawienia takiego zarzutu paraliżuje możliwość uczciwej debaty.

W tej debacie powoli znikają też Niemcy. A przecież II Rzeczpospolita nie planowała żadnego Holokaustu.

IPN stale to podkreśla: gdyby nie III Rzesza niemiecka i jej agresja, nie byłoby Holokaustu. Relacje Żydów z narodami, wśród których mieszkali, były różne, nie brakowało napięć, ale nigdzie nie doszło do zaplanowanych przez władze masowych mordów. III Rzesza jest w pełni odpowiedzialna za Zagładę. To jest istota: nie mówimy, że Polacy zawsze i wszędzie byli niewinni, ale żądamy prawdy. Oczekujemy przedstawiania wszystkich uwarunkowań.

Nie ma prawdy bez całej historii.

Nie ma. 1 września 1939 r. na nasze ziemie najechały Niemcy, 17 dni później Związek Sowiecki. Oba państwa totalitarne rozpoczęły fizyczną likwidację narodu polskiego. Oba chciały, by Polska już nigdy się nie odrodziła. Rozpoczęto od dokładnie zaplanowanej likwidacji naszych elit. To było źródło działań wymierzonych w inteligencję, lokalnych przywódców i aparat państwowy. Musimy przypominać m.in. o akcji „AB", jesieni pelplińskiej, zbrodni pomorskiej, której symbolem jest Piaśnica, mordach na Górnym Śląsku, w Wielkopolsce i w wielu innych miejscach. O masowych egzekucjach nie tylko na ziemiach wcielonych do III Rzeszy. Ostatnio IPN opisał zbrodnię w niewielkim Karolewie, gdzie Selbstschutz zamordował 1,8 tys. osób – członków elity powiatu rypińskiego. Dziś świadomość o tamtych represjach jest niewielka. Ogranicza się do wąskiej grupy badaczy i mieszkańców terenów, na których dochodziło do tych tragedii. A wiedza na ten temat musi się stać powszechna.

Wymordowano polską elitę, czyli tych, na których opiera się porządek społeczny. To ma ogromne znaczenie dla debaty o rzeczywistości okupacyjnej.

Ci, którzy w 1918 r. wywalczyli niepodległość, a w 1920 r. ją obronili, 20 lat później znaleźli się na listach proskrypcyjnych – i sowieckich, i niemieckich. W przyszłym roku IPN wyda publikacje na ten temat. Mamy fotografie ukazujące, jak z katyńskiego błota wydobyto stos Krzyży Niepodległości, które w latach 30. dostało 88 tys. osób zasłużonych dla odbudowy państwowości.

Obaj okupanci mścili się okrutnie za rok 1918 i 1920, za odzyskanie niepodległości w ogóle.

Oczywiście. Chodziło o to, by Polska nigdy już się nie odrodziła. Jak się morduje naród? Mordując jego elitę. Bo elitę tworzy się przez pokolenia. Tak robili zaborcy w XIX w. i to samo robili najeźdźcy w wieku XX, już na skalę niewyobrażalną. Mimo ogromu represji spotykali się ze sprzeciwem kolejnych pokoleń. Cenę tego sprzeciwu odczuwamy do dzisiaj. Pójdźmy na przykład do Muzeum Powstania Warszawskiego i spójrzmy na te kilkanaście tysięcy nazwisk, na twarze ludzi, którzy mogli zostać inżynierami, prawnikami, lekarzami, dziennikarzami. A później PRL i kilkadziesiąt lat selekcji negatywnej. To jest wielki fenomen polskości, że mimo tego ciągłego doświadczania zła wciąż się odradzamy. Nie daliśmy się stłamsić. A nawet daliśmy światu wielkiego papieża.

Chwilę później zaś „Solidarność".

Obchodziliśmy niedawno 40. rocznicę powstania Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Garstka ludzi postanowiła powiedzieć „nie" komunistycznemu systemowi, a dwa lata później zwyciężyła. Odegrała podobną rolę jak I Kompania Kadrowa kilkadziesiąt lat wcześniej. Zaczęła walkę, w efekcie której powstała „Solidarność" – wielki ruch, doskonale zorganizowany, przywracający tożsamość narodu, ciągłość. To właściwie nie miało prawa się zdarzyć. Dziwię się ludziom, którzy o tym wszystkim wiedzą, a mimo to jest w nich tak wielki dystans wobec polskości.

Czy my tę prawdę o Polsce generalnie bohaterskiej, heroicznej, odradzającej się po swojej śmierci jesteśmy w stanie obronić?

Myślę, że tak. I nadziei szukam właśnie w przeszłości, która uczy cierpliwości.

Trudno być cierpliwym, gdy ustawia się nas w sytuacji Turków obsesyjnie zaprzeczających rzezi Ormian. Albo wręcz ordynarnie kłamie, twierdząc – jak reżyser Steven Spielberg – że Polacy z tęsknotą spoglądają na mundury SS.

Zmiana tej sytuacji to jest dziejowe wyzwanie dla tych młodych Polaków, którzy nie chcą być obojętni. To wszystko już było. Dziś wydaje nam się, że jesteśmy sami, że cały świat ma inną opowieść o naszej historii. A jak było w 1920 r.? Też byliśmy osamotnieni, zarzuty wobec nas były identyczne: nacjonalizm, antysemityzm, zacofanie. Musimy tę presję wytrzymać. Musimy pisać książki, bo każda rzetelna książka to już utrudnienie dla kłamców. Książka zostaje, nawet jeśli jest przemilczana. Za kilka lat ktoś uczciwy powie: przepraszam, ale tu jest napisane tak i tak.

Wspomniał pan o dystansie wobec polskości części naszych rodaków. W przypadku dużej części mediów i elit to chyba coś więcej. To aktywne wspieranie tych, którzy Polsce źle życzą.

W 1989 r. zabrakło refleksji, skąd wychodzimy i ku czemu zmierzamy. Wielu ludzi, wiele środowisk uznało,

eprasa.pl 24723fda50

że skoro padły Sowiety, skoro mamy wolność, to już nic nie musimy. A my jednak zawsze musimy. Kilkadziesiąt lat po Piaśnicy, po Palmirach, po Katyniu, po zagładzie stolicy, po nocy stalinizmu i beznadziei PRL byliśmy słabsi niż w 1918 r. Po upadku komunizmu trzeba było rozpocząć wielką pracę nad odbudowaniem elit, nad powrotem do tożsamości i tradycji niepodległej Polski. Jednak wielu z nas poszło wtedy w odwrotnym kierunku.

Ten grzech zaniechania okresu przełomu był, jak dziś widzimy, ogromnie kosztowny. Dlatego wciąż nie możemy złapać przyzwoitej dynamiki niepodległościowej.

Polska wróciła, ale nie podjęliśmy pracy nad jej odrodzeniem. A polskość kosztuje, każdego dnia. Niepodległość zaczyna się w głowach, w duszach. Tu znaczenie ma każdy dobry nauczyciel. Każdy rodzic, który znajdzie chwilę czasu, by opowiedzieć dzieciom o Polsce. To były wielkie troski II Rzeczypospolitej. Dochodzi do tego dzisiejsza kondycja mediów, ludzi z nimi związanych. Portal wPolityce.pl pokazał kiedyś, jak spośród kilkunastu mediów regionalnych tylko jedna gazeta odnotowała, i to gdzieś z boku, rocznicę 11 Listopada – nasze najważniejsze święto narodowe. Reszta nie zauważyła.

Dziś byłoby pewnie odrobinę lepiej, ale tylko odrobinę.

Dziennikarze czasem naprawdę potrafią wprawić w zdumienie. Kilka tygodni temu, podczas inauguracji rejsowego połączenia LOT między Rzeszowem a Tel Awiwem, IPN podarował każdemu z pasażerów książkę o rodzinie Ulmów z Markowej. O co zapytał mnie dziennikarz? O to, czy w książce jest o „łapaczach", czyli tych mieszkańcach, którzy zostali zmuszeni do udziału w poszukiwaniach Żydów. „Czy będzie o łapaczach?!". W książce o tym oczywiście jest, ale ta chęć znalezienia i wyeksponowania Polaka kanalii okazuje się zdumiewająca.

Polska świętująca 100-lecie odzyskania niepodległości jest słabsza duchowo i moralnie niż ta w 1918 r.?

Jeśli skonfrontujemy się z Europą Zachodnią, to widać, że jesteśmy tożsamościowo wciąż bardzo silni. Polska nie raz zdobywała się w swoich dziejach na rzeczy wielkie. Dziś także mamy światu coś ważnego do powiedzenia i do pokazania. Choćby to, że można być nowoczesnym państwem, ale wiernym swojej tożsamości. Warunek jest jeden: musimy się wyzbyć tendencji do duchowej małości.

Dziś również mamy światu coś ważnego do powiedzenia i do pokazania. Choćby to, że można być nowoczesnym państwem, ale wiernym swojej tożsamości. Warunek jest jeden: musimy się wyzbyć tendencji do duchowej małości

To właśnie powiedział nam prezydent Trump w Warszawie.

Cieszy, że powiedział, choć to nadal dziwne, iż słuchamy dopiero, gdy mówi nam o tym prezydent wielkiego mocarstwa. Sami tego nie widzimy. To wciąż ten sam kompleks, tak pracowicie budowany w latach 90. XX w., który naszą samoocenę i postrzeganie siebie sprowadzał wyłącznie do tego, co o nas myślą w Paryżu czy w Berlinie. Bez względu na nasz interes.

Z tego na szczęście powoli wychodzimy. Ostrą krytykę płynącą z Zachodu po wyborach 2015 r. Polacy przyjęli zdumiewająco spokojnie.

Musimy iść dalej w tę stronę. Debata wokół spraw żydowskich przyniosła nam także rzecz pozytywną: koniec złudzeń. Koniec złudzeń, że pewne sprawy załatwią się same, że tak w ogóle to jesteśmy podziwianym na świecie narodem „Solidarności", który obalił komunizm. Nie brakuje przyjaciół naszego kraju. Niestety jednak są też środowiska Polsce niechętne, a nawet jej wrogie, które nie zrezygnują z żadnej okazji, żeby nam zaszkodzić.

To rzeczywiście już wiemy.

Ale nie wyciągamy wniosków. Wielu naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych wierzy np., że jeśli IPN napisze jedną książkę o historii Polski, to ona przełamie kilkadziesiąt lat zaniedbań. A przecież przełamać to może jedynie cierpliwa, organiczna praca, i to raczej Polonii niż IPN. Na szczęście nowe pokolenie emigracji jest już inne, rozumie, że kluczem do sukcesu jest nasza, Polaków, aktywność. Szukanie i poszerzanie przychylnych nam środowisk.

Historia II wojny światowej wciąż kształtuje nasz świat. Próba napisania jej na nowo w odniesieniu do naszego kraju jest uderzaniem we współczesną pozycję i Polski, i każdego Polaka z osobna.

Historia kształtuje naszą tożsamość. A więc wpływa nie tylko na teraźniejszość, lecz również na przyszłość. Nasi sąsiedzi już dawno zaczęli przedstawiać swoją historię w zupełnie nowy sposób, zwłaszcza za pomocą kultury masowej. Dziś widzimy tego skutki.

My kręciliśmy „Idę", a Niemcy „Nasze matki, naszych ojców".

Nic dodać, nic ująć. I będą kolejne takie produkcje, wielkie, drogie. Powtarzam: żadnych złudzeń.

Debata o sprawach polsko-żydowskich znacznie przyśpieszyła, i to w złą dla nas stronę, po przyjęciu tzw. ustawy o IPN, penalizującej fałszywe pomawianie Polski i Polaków. Jakie jest pana stanowisko w tej sprawie?

Ta ustawa była próbą pokazania, że państwo polskie przestaje być bierne w tej sferze. Dziś wiemy, że zabrakło dyskusji, wytłumaczenia, po co jest ta ustawa i czego tak naprawdę dotyczy. IPN znalazł się w oku tego cyklonu,

eprasa.pl 24723fda50

choć w procesie legislacyjnym, jak zwykle, uczestniczyliśmy w bardzo ograniczonym stopniu. W tym wypadku można wręcz stwierdzić, że praktycznie w ogóle. Po tej ustawie nasza działalność w środowiskach naukowych na Zachodzie została albo mocno ograniczona, albo zablokowana.

Jak to konkretnie wygląda?

Są różne akcje bojkotów, wycofywanie się z konferencji, zrywanie kontaktów. Towarzyszy temu nieznajomość tej ustawy i powtarzanie nonsensów. Bo przecież jest zagwarantowane wyłączenie badań naukowych, działań artystycznych i wyraźne podkreślenie, że „kto wbrew faktom...". Robimy swoje, planujemy nowe działania. I to przyniesie kiedyś efekty.

Czy popiera pan postulat wznowienia ekshumacji w Jedwabnem? Wiceprezes IPN prof. Krzysztof Szwagrzyk uważa, że należy sprawę wyjaśnić do końca.

To jest oczywiście decyzja, która należy do prokuratora generalnego. Prof. Szwagrzyk wypowiadał się na podstawie swojego ogromnego doświadczenia, dotyczącego przecież właśnie ekshumacji, poszukiwania pomordowanych. Ma do tego prawo. Zgadzam się, że każda sprawa wymaga wyjaśnienia do końca.

Przez pierwszy okres swojego istnienia IPN zajmował się głównie okresem komunistycznym w Polsce. Z perspektywy czasu widać, że udało się w tej sferze osiągnąć wiele. Świadomość społeczna jest dziś nieporównywalna z latami 90.

To jednak proces, który cały czas trwa. Widzimy, co się dzieje przy okazji dekomunizacji ulic. Zdarza się, że gdy wojewoda nadaje jakiemuś miejscu imię bohatera narodowego, np. gen. Maczka czy gen. Andersa, to samorząd protestuje, bo woli nazwę przymiotnikową, przykładowo: ulicę Poziomkową czy Słoneczną. Nie jestem w stanie zrozumieć takich postaw. Wynikają one tylko z doraźnych kalkulacji i mają kontekst polityczny. Nie ma wątpliwości, że broniący PRL łatwo nie ustąpią. Formacja postkomunistyczna może powrócić



Fot. Andrzej Wiktor

na scenę, są też siły skrajne, neobolszewickie, chcące wywrócić cały system wartości. Jednocześnie wciąż nie doczekaliśmy się nowego wcielenia niepodległościowej i propaństwowej, przedwojennej PPS.

W zeszłym roku zmieniono ustawę o IPN, rozciągając okres jego zadań od 8 listopada 1917 r. do 31 lipca 1990 r.

IPN nie zastąpi instytutów historii, ale powinniśmy kontynuować rozpoczęte badania, np. dotyczące działalności Komunistycznej Partii Polski czy też „operacji polskiej" NKWD, wielkiego, zapomnianego ludobójstwa. W tej ostatniej sprawie wydaliśmy wiele publikacji, poświęciliśmy cały numer Biuletynu IPN, uruchomiliśmy stronę internetową, wysłaliśmy 12 tys. tek edukacyjnych dla uczniów wszystkich ponadpodstawowych szkół w Polsce. Przeprowadziliśmy też liczne warsztaty dla nauczycieli w kraju i za granicą. Rozpoczęliśmy również śledztwo. Poczta Polska we współpracy z nami wydała 30 mln egzemplarzy okolicznościowego znaczka pocztowego. Pod patronatem prezydenta RP zorganizowaliśmy międzynarodową konferencję w Belwederze. Wmurowana została tablica upamiętniająca ofiary tej zbrodni pod Wawelem. Zawarliśmy także umowy archiwalne ze stroną ukraińską, dzięki którym dostaliśmy kopie dziesiątków tysięcy dokumentów. Swoją drogą pokazuje to, że ze stroną ukraińską da się współpracować.

Jak pan ocenia tzw. zagrożenie banderowskie, czyli wprowadzanie zbrodniczych tradycji do głównego nurtu ukraińskiej państwowości?

Banderyzm jednoznacznie i bezdyskusyjnie dopuścił się ludobójstwa. Budowanie na tym narodowej tożsamości jest drogą donikąd i jest wbrew narodowym interesom Ukrainy. Ukraińcy powinni się z tym zmierzyć. My nie jesteśmy od tego, aby wybierać im bohaterów. Mają ich wielu. Może więc musi przyjść nowe pokolenie? Nie zapominajmy przy tym, że są na Ukrainie środowiska gotowe do refleksji historycznej. Pamięć ukraińska – tak jak polska – jest różna.

Wygląda na to, że nie będzie degradacji członków WRON. Żałuje pan?

Nie ma życiorysu bardziej konsekwentnego w walce z niepodległą Polską niż biografia Wojciecha Jaruzelskiego. Nie ma. Jego życie to służba obcemu państwu. Niepodległość wymaga pewnych symboli, nawet jeśli one kosztują. Mówimy o systemie, który w 1946 r. odebrał polskie obywatelstwo takim ludziom jak generałowie Maczek, Kopański, Anders. To pokazuje, czym był system komunistyczny. Jego istotą była walka z niepodległą Polską.

A Mirosław Hermaszewski? Twierdzi, że zapisano go do WRON bez jego zgody.

Czy tym, którzy wysłali go w kosmos, chodziło o podbój kosmosu, czy o podbój świata? Czy lot w kosmos wymaga odwagi? Tak. Dlaczego więc tej odwagi nie starczyło w innych momentach, np. 13 grudnia 1981 r.? I nie miejmy też złudzeń: czy pierwszy lepszy pilot LWP zostałby wysłany w kosmos?

Jakie są plany IPN na najbliższe miesiące?

eprasa.pl 24723fda50

Z okazji 100-lecia niepodległości zaplanowaliśmy ponad 450 przedsięwzięć. 21 maja startujemy w całej Polsce z wystawą „Ojcowie Niepodległości", która biało-czerwonym szlakiem dotrze do licznych miast, miasteczek, a nawet zakładów pracy. Chcemy skłonić Polaków do refleksji, czym jest niepodległość, jaka jest jej wartość. Planujemy też pokazać lokalnych bohaterów niepodległości, ochotników do legionów, działaczy społecznych. W naszych planach nie ograniczamy się do dużych miejscowości. Chcemy być wszędzie. Dlatego ogłosiliśmy konkurs, który ma na celu odtworzenie przez młodzież losów odznaczonych Krzyżami Niepodległości. Było ich ponad 88 tys. Jednocześnie nie zapominamy o Polakach za granicą. W Rapperswilu w czerwcu organizujemy konferencję o polskich drogach do niepodległości. Z kolei w przyszłym roku planujemy położyć szczególny nacisk na dzieje młodzieżowej drugiej konspiracji, na te prawie tysiąc organizacji z przełomu lat 40. i 50. XX w., które powiedziały „nie" komunizmowi, a później były brutalnie prześladowane. Naszym celem jest przywrócenie pamięci na ten temat w polskich szkołach, w miejscach, w których powstawał ten opór.

Przy okazji Wyklętych – dość liczne są głosy przestrzegające, że tak silne przejęcie tej tradycji przez państwo polskie odbierze jej autentyzm i zabije oddolność.

Też trochę się tego obawiam. Do niedawna było to upamiętnienie społeczne, zbudowane poniekąd także na sprzeciwie. Wokół tego zrodziła się autentyczna wspólnota. Przesadna oficjalność może to zatrzymać. Z drugiej strony nie można się zgodzić z opiniami, że jest tak świetnie, iż nic nie trzeba robić. Młodzież chętnie nosi dziś koszulki z „Inką" czy Pileckim. Ktoś może to nazwać modą. Jeśli tak, to tylko w pozytywnym znaczeniu. Młodzi ludzie tych koszulek nie zakładają dla nauczycieli czy żeby się przypodobać oficjelom. Oni chcą je nosić. Szkoda tylko, że wielu nadal nie wie, dlaczego „Inka" oraz Pilecki walczyli i czego chcieli.

Pojawiają się też głosy, że pamięć o Wyklętych przesłoniła tradycję akowską.

A z czego niby wyrośli Wyklęci? Kim byli Pilecki, Ciepliński, Dekutowski? Wywodzili się z AK. Tradycja akowska jest fundamentem i źródłem. Nie byłoby „Solidarności" bez AK. A 1 sierpnia w Warszawie? Kto to wydobył? Kto dał tej dacie odpowiednią oprawę? Raczej nie ci narzekający na pamięć o Wyklętych. A są oni – czy to się komuś podoba, czy nie – dowodem na to, że prawda zawsze zwycięży, że nie można się godzić na życie w kłamstwie.

> Debata wokół spraw żydowskich przyniosła nam także rzecz pozytywną: koniec złudzeń. Koniec złudzeń, że pewne sprawy załatwią się same, że tak w ogóle to jesteśmy podziwianym na świecie narodem „Solidarności", który obalił komunizm

IPN długo kojarzył się Polakom z lustracją. Można powiedzieć, że pełna lustracja została jednak w Polsce przeprowadzona?

Nie ma zbioru zastrzeżonego, wszystko jest jawne. Prawie 1,8 mln teczek znajduje się w inwentarzu archiwalnym. To rewolucyjna zmiana, te dokumenty są w pełni dostępne. 10-15 lat temu byłoby to trzęsienie ziemi, dziś nie widać wielkich emocji. Pokolenie zakorzenione w PRL, chociaż jeszcze aktywne, już nie dominuje.

Ale nie ma jednej listy obejmującej tajnych współpracowników komunistycznych służb.

Bo być nie może. To są różne sytuacje. I różne problemy. Lustracja sądowa sprowadza się do kwestionowania dokumentów wytworzonych przez SB. Z kolei w ustawie kombatanckiej sprawa jest jednoznaczna: albo istnieją zapisy dotyczące współpracy, albo nie. Nie mamy tu żadnego pola manewru. Tak było np. w sprawie Mirosława Chojeckiego. Musieliśmy stwierdzić, że takie zapisy istnieją, bo w 1976 r. – jako pracownik Instytutu Badań Jądrowych – pan Chojecki podpisał różne zobowiązania, które w żaden sposób nie zostały wypełnione. Mogliśmy jedynie odnotować fakt, że takie dokumenty istnieją. W tym wypadku ustawa nie daje możliwości jakiejkolwiek oceny. To nie wpływa w żaden sposób na ocenę jego życiorysu, jego zasług. IPN nie mógł postąpić inaczej. Wynikało to z przepisów ustawy, a nie czyjejkolwiek decyzji w Instytucie.

Rytm działania IPN wyznaczają w dużej mierze rocznice. Teraz 40-lecie wspomnianych WZZ.

Historię WZZ upamiętniamy wystawami, wydawnictwami czy też nowymi tablicami w przestrzeni publicznej. Oddaliśmy głos bohaterom tamtych czasów. Przed nami także rocznica wyboru Karola Wojtyły na papieża. Bardzo ważna. A potem: pierwsza papieska pielgrzymka, Wrzesień '39, rok 1989 i wreszcie rok 1920 oraz 1980. Rocznice nie są tylko po to, żeby je obchodzić. Staramy się je wykorzystać do celów edukacyjnych. Chcemy, żeby zostawiły jakiś ślad, przywróciły więź z poprzednimi pokoleniami. Tak jak powiedziałem wcześniej, relacje polsko-żydowskie są ważne, nie mogą jednak dominować w naszej aktywności. Najważniejsze jest to, że Polska to pragnienie wolności, że nie godzimy się z niewolą, że chcemy być wierni naszej cywilizacji. Szkoda, że nie mamy kogoś na miarę Wyspiańskiego, który umiałby to wszystko przełożyć na język współczesny oraz o tym opowiedzieć i Polakom, i całemu światu. Ale może ktoś taki już jest, tylko o tym jeszcze nie wiemy?

38/0418/F

eprasa.pl 24723fda50



PKP INTERCITY · DO RZECZY · HISTORIA · SIECI · wPolityce.pl · ams · kai 25 LAT · niedziela · Gazeta Polska codziennie · niezależna · GAZETA POLSKA · NOWE PAŃSTWO · HISTMAG.ORG · onet

eprasa.pl 24723fda50



Okno na świat arabski

Międzynarodowe Targi Książki w Abu Zabi to największe tego typu przedsięwzięcie w świecie arabskim. W tym roku wzięło w nich udział 1350 wystawców z 63 krajów, którzy zaprezentowali ponad pół miliona tytułów książek. Polska była gościem honorowym imprezy

Fot. Grzegorz Górny



GRZEGORZ GÓRNY

Przez Narodowe Centrum Wystawowe przez tydzień przewinęło się ok. 300 tys. ludzi.

ROK SZEJKA ZAYEDA

Dla organizatorów impreza miała szczególne znaczenie, ponieważ odbywa się w 100-lecie urodzin szejka Zayeda – pierwszego prezydenta Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Z tej okazji władze państwa ogłosiły Rok Zayeda, który w 1981 r. był inicjatorem pierwszych targów książki w Abu Zabi. Jego program modernizacji kraju obejmował także rozwój rynku wydawniczego i kultury czytelniczej. Dziś ambicją tamtejszych władz jest stworzenie w Emiratach centrum wydawniczego dla 250-milionowego świata arabskiego.

W kalendarz obchodów Roku Zayeda szczęśliwie wstrzeliła się Polska, która obchodzi właśnie 100-lecie odzyskania niepodległości i została zaproszona do Abu Zabi jako gość honorowy targów. Z tego powodu imprezę otworzyli wspólnie wicepremier Piotr Gliński oraz szef dyplomacji ZEA szejk Abdullah bin Zayed al Nahyan. Nasz pawilon odwiedziło również kilku tamtejszych ministrów, a także wielu pisarzy arabskich z różnych krajów.

Okazja do promocji była więc wyjątkowa, tym bardziej że państwowe telewizja i radio poświęciły wydarzeniu wiele miejsca, eksponując polskich wydawców jako gości specjalnych. Fakt odzyskania sto lat temu niepodległości był wykorzystywany w komentarzach do pokazania mało znanej tam strony naszej historii. Arabowie mogli się dowiedzieć, że Polacy nie zapisali się w historii jako naród kolonizatorów, lecz sami pozostawali przez długi czas zniewoleni i musieli wolność wywalczyć. To niewątpliwie wzbudza sympatię w tamtym świecie.

PAMIĄTKI RZEWUSKIEGO

Polskim autorem, cieszącym się na targach największym zainteresowaniem, okazał się XIX-wieczny orientalista Wacław Seweryn Rzewuski, który w latach 1818–1820 podróżował po Arabii, Syrii, Iraku, Libanie i Palestynie. Opracował wówczas mapy Persji i Półwyspu Arabskiego oraz plan meczetu w Mekce. Zaprzyjaźnił się z wodzami beduińskimi, a z jednym z nich zawarł nawet przymierze krwi. Brał udział w ich wyprawach wojennych, dzięki czemu został przyjęty do kilkunastu plemion

eprasa.pl 24723fda50

arabskich i uzyskał od nich tytuł emira. Nazywano go Tadż al-Fahr (Korona Sławy) i Abd al-Niszan (Sługa Znaku).

Rzewuski swe wrażenia z podróży spisał po francusku, opatrzył 400 kolorowymi rysunkami i zawarł w nigdy nieopublikowanym dziele pt. „Sur les Chevaux Orientaux et Provenants des Races Orientales", którego manuskrypt nabyła w 1927 r. Biblioteka Narodowa w Warszawie. Jego rękopis jest jedynym w swoim rodzaju źródłem wiedzy o życiu Arabów sprzed dwóch stuleci, np. zawarte w nim zapisy muzyczne pozwoliły na odtworzenie muzyki beduińskiej z początków XIX w. Kilka lat temu saudyjscy szejkowie dawali za oryginał olbrzymie pieniądze, jednak Polacy odmówili sprzedaży.

Na targi w Abu Zabi wydawnictwo Manuscriptum przywiozło faksymile oryginalnego rękopisu dzieła Rzewuskiego, które sprzedawano po 7,9 tys. euro za sztukę (łączna liczba kolekcjonerskich kopii wynosi zaledwie 200 egzemplarzy). Szybko znalazły one swych nabywców, a jednym z pierwszych został wicepremier szejk Mansour, znany w Europie jako właściciel klubu piłkarskiego Manchester City.

Trzeba przyznać, że Dom Emisyjny Manuscriptum idealnie wstrzelił się w tamtejszy rynek. Faksymile unikatowych dzieł, wydawane w formie ksiąg jubilerskich w bogato inkrustowanych oprawach (np. „O obrotach sfer niebieskich" Mikołaja Kopernika), cieszą się tam dużym wzięciem. Co ciekawe, jest na nie popyt nie tylko w krajach Zatoki Perskiej, lecz także w Polsce, np. podczas ostatnich Targów Wydawców Katolickich sprzedano połowę nakładu trzytomowego albumu kolekcjonerskiego „Kaplica Sykstyńska", mimo że jego cena wynosiła... 52 tys. zł.

OFENSYWA DZIECIĘCA

Ponieważ literatura polska jest słabo obecna i mało znana w świecie arabskim, organizatorzy naszej ekspozycji w Abu Zabi postanowili się skoncentrować raczej na tym, by przybliżyć tamtejszej publiczności polską tradycję i kulturę w jej wielowymiarowości. Były więc prezentacje dotyczące naszej historii (Krzysztof Koehler), tożsamości (Dariusz Karłowicz), sztuki (Andrzej Szczerski), literatury (Maciej Urbanowski), muzyki (Marcin Trzęsiok), teatru (Jacek Kopciński) czy filmu (Mateusz Werner).

Spośród goszczących na targach polskich autorów największą popularnością – jak zwykle podczas tego typu imprez – cieszył się Andrzej Sapkowski. Bardzo dobre recenzje zebrali też Antoni Libera i Wojciech Tomczyk. Ze względu na rodzaj twórczości szczególnym zainteresowaniem obdarzono dwie nasze poetki: Wiolettę Grzegorzewską i Małgorzatę Lebdę. Wynika to m.in. z faktu, jak wielką rolę odgrywa poezja w życiu Arabów. To nie przypadek, że bardziej znani są tam polscy autorzy wierszy (Herbert, Miłosz, Różewicz, Szymborska) niż prozaicy.

> Arabowie mogli się dowiedzieć, że Polacy nie zapisali się w historii jako naród kolonizatorów, lecz sami pozostawali przez długi czas zniewoleni i musieli wolność wywalczyć

Osobną kategorię stanowiła literatura dziecięca, będąca od lat znakiem firmowym polskiej branży wydawniczej. W Abu Zabi była ona reprezentowana nadzwyczaj licznie. Chodziło o wykorzystanie okoliczności, iż władze tego emiratu zaleciły wszystkim szkołom, by zorganizowały wycieczki klasowe na targi. Największy pawilon, którego nie sposób było ominąć, usytuowany tuż przy wejściu, należał do Polski. Dlatego postanowiono zaprezentować na nim bardzo szeroką ofertę skierowaną do dzieci. Wśród atrakcji były bogato ilustrowane książki, wystawy, turnieje gier planszowych czy interaktywne warsztaty przygotowane przez muzyków, artystów grafików i edukatorów muzealnych. Pomysł wypalił, ponieważ udało się wywołać zainteresowanie Polską wśród sporego grona uczniów, którzy jeszcze niedawno nic nie wiedzieli o naszym kraju. Szczególnie powody do radości mieli przedstawiciele firmy Granna, których edukacyjne planszówki okazały się przebojem targów.

WEJŚĆ DO ŚWIATA ARABSKIEGO

Dyrektor Instytutu Książki Dariusz Jaworski, główny organizator naszej ekspozycji w Abu Zabi, jest zadowolony z przebiegu wydarzenia. Na początku był pełen obaw. Kiedy w kwietniu 2016 r. obejmował swe stanowisko, ambasada RP w Zjednoczonych Emiratach Arabskich podpisywała właśnie z szefostwem targów umowę o udziale Polski jako honorowego gościa w 2018 r. Wraz z nową funkcją Jaworski przejął więc też zobowiązania wynikające z tego porozumienia. Dziś uważa, że impreza okazała się bardziej udana, niż przypuszczał.

Nawiązano wiele ciekawych kontaktów. Wydawnictwa podpisały kilkanaście umów przedwstępnych na opublikowanie polskich książek w języku arabskim. Negocjowana jest też lista tytułów, których wydanie chcą wesprzeć finansowo organizatorzy targów. Sytuację utrudnia niedostateczna liczba profesjonalnych tłumaczy, którzy mogliby dokonać rzetelnego przekładu. W naszym kraju jest niewiele takich osób, a ich możliwości są ograniczone.

Dwie z nich były na stoisku w Abu Zabi ambasadorami polskości. To George Yacoub i Hatif Janabi. Pierwszy pochodzi z Syrii, a drugi z Iraku. Obaj jeszcze w latach 70. znaleźli nowy dom nad Wisłą. Dziś pracują naukowo na Wydziale Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Na targach w języku arabskim odpowiadali na pytania dotyczące kraju, który stał się dla nich drugą ojczyzną.

Targi w Abu Zabi to szansa na wejście do arabskiego krwiobiegu kulturowego. Jeśli chcemy zaistnieć w świadomości tamtejszych elit umysłowych, otwartych na prądy europejskie, powinniśmy być obecni na tego typu imprezach.

eprasa.pl 24723fda50



DOROTA ŁOSIEWICZ



Smartfonom powiedzmy: nie!

Coraz częściej organizatorzy wyjazdów dla dzieci i młodzieży decydują się wprowadzić zakaz zabierania na kolonie czy obozy gier i telefonów. I w zamian proponują inne atrakcje

Kiedyś nie mieliśmy komputerów ani smartfonów, a w kątach naszych pokoi nie zalegały niepotrzebne zabawki. I wcale nie mam wrażenia, żeby z tego powodu nasze dzieciństwo nie było szczęśliwe. Wręcz przeciwnie.

Większość z nas z pewnością pamięta z dzieciństwa, że zaraz po przyjściu ze szkoły staraliśmy się jak najszybciej odrobić lekcje, żeby móc pobiec na podwórko i pobawić się z koleżankami (kolegami) w dom (strażaków), pograć w gumę (kapsle), w klasy (podchody), chowanego lub ciuciubabkę, ewentualnie – przy braku bardziej oryginalnych pomysłów – zwyczajnie potrenować akrobacje na trzepaku (pokopać piłkę). Kiedy ostatnio wspominałyśmy z koleżanką te salta w przód i w tył (przy których nikomu nigdy, jakimś szczęśliwym trafem, nic się nie stało), moja najstarsza córka zapytała: „A co to jest trzepak?”, doprowadzając nas tym do śmiechu przez łzy.

Dziś dzieci zamiast zarywać noce z powodu zaczytania ukochaną książką, niedosypiają z powodu Facebooka. Zamiast grać z rówieśnikami w realu, wolą grać na telefonie lub komputerze. Zamiast spotykać się pod trzepakiem, dzieciaki wolą się kontaktować na portalach społecznościowych. Zamiast skakać na skakance, zajmują się lajkowaniem cudzych postów lub czekają na lajki pod własnymi. Albo publikują, albo sprawdzają, co inni opublikowali. Te lajki często budują poczucie własnej wartości, wyznacznikiem zaś funkcjonowania w grupie rówieśniczej jest to, ile ma się lajków pod zdjęciem, kto i ile razy skomentował dany wpis itp. Kiedyś największą karą dla malucha był zakaz wyjścia na dwór. Dziś, o czym wielokrotnie pisałam, wielu dzieciom największą przykrość sprawia konieczność oderwania się od ekranu komputera lub wypuszczenia z ręki smartfona.

FONOHOLIZM

Z badań przeprowadzonych przez GUS w 2007 r. wynikało, że Polacy mieli ponad 37 mln telefonów komórkowych. Już rok później, według danych Urzędu Komunikacji Elektronicznej, komórki posiadało 97 proc. Polaków. Pod koniec 2008 r. liczba zarejestrowanych aktywnych numerów przekroczyła 44 mln, co oznacza, że telefonów było w Polsce więcej niż Polaków. W 2015 r. liczba aktywnych telefonów komórkowych była szacowana na 57 mln egzemplarzy. Brak racjonalności w posługiwaniu się telefonami komórkowymi doprowadził do uzależnieniu od telefonu – fonoholizmu.

61/0418/F

eprasa.pl 24723fda50


Fot. Shutterstock

Dane opublikowane w raporcie „Młodzież a telefony komórkowe", zrealizowanym przez TNS OBOP w ramach kampanii „Uwaga! Fonoholizm", są przerażające. Badanie, które szczegółowo opisuje portal Uzaleznieniabehawioralne.pl, przeprowadzono na reprezentatywnej grupie Polaków w wieku 12–19 lat. Okazuje się, że spędzenie dnia bez komórki jest czymś niewyobrażalnym dla co trzeciego nastolatka (czyli dla 36 proc. badanych). Na pytanie: „Co byś zrobił, gdybyś zapomniał zabrać telefonu", „Na pewno wróciłbym się do domu" – odpowiedziało 27 proc. badanych, czyli prawie co trzecia osoba. Zbliżona liczba uczniów (28 proc.) wprawdzie nie wróciłaby, ale odczuwałaby w związku z tym niepokój. Do czego młodzież tak bardzo potrzebuje telefonów? Przede wszystkim uczniowie wykorzystują go do kontaktowania się z innymi ludźmi, czyli wysyłania SMS (76 proc.) i dzwonienia (70 proc.). Na następnym miejscu znalazło się słuchanie muzyki – do tego celu używa telefonu codziennie lub prawie codziennie 65 proc. nastolatków. Robienie zdjęć i filmów z wykorzystaniem komórki zdarza się wśród 92 proc. badanych. Aż 30 proc. osób we wskazanej grupie wiekowej zdjęcia i filmy robi kilka razy w tygodniu, 17 proc. – codziennie lub prawie codziennie. Surfowanie w internecie i czatowanie za pomocą telefonu z podobną częstotliwością dotyczy 12 proc. badanej młodzieży. Zgodnie z wynikami badań telefon jako niezbędne narzędzie pozyskiwania danych traktuje prawie dwie trzecie nastolatków – 68 proc. Młodzież ma też problemy z telefonicznym savoir-vivre'em. 60 proc. młodych osób używa telefonu w czasie lekcji (także w trakcie sprawdzianów i klasówek – 18 proc.). Podczas rodzinnego obiadu z telefonu korzysta niemal połowa nastolatków – aż 44 proc. Nawet w kinie czy teatrze telefonów używa aż 28 proc. respondentów. Podczas nabożeństwa w kościele korzystało z komórki 8 proc. młodych ludzi.

– Z rozmów z nauczycielami wiem, jak bardzo uczniowie przywiązani są do elektroniki. Dziś kryją się w toalecie nie z papierosem, ale ze smartfonem albo tabletem. Sama mam dzieci i obserwuję różne sytuacje, widzę, że często łatwiej kupić dziecku elektronikę, niż poświęcić mu czas. A starsze dziecko coraz trudniej oderwać od telefonu mówiła portalowi Wyborcza.pl Monika Gołębiewska-Kozakiewicz, zastępca burmistrza Mokotowa, planując ograniczenie używania smartfonów podczas wakacyjnego odpoczynku dzieci.

„Jednym z pierwszych symptomów fonoholizmu u dziecka jest stałe trzymanie komórki przy sobie i ciągłe z niej korzystanie, które staje się najczęściej wykonywaną w ciągu dnia czynnością (zdarza się, że młodzi wstają nawet w nocy, by sprawdzić, czy »coś nie przyszło«). [...] Dziecko zagrożone fonoholizmem na prośbę o odłożenie telefonu reaguje agresją, niepokojem, trudno mu się skoncentrować, jest pobudzone" – wynika z broszury „Uzależnienia behawioralne. Rodzaje oraz skala zjawiska. Sygnały ostrzegawcze i skutki. Kompendium wiedzy dla rodziców", omawianej przez Uzależnieniabehawioralne.pl. U dzieci dotkniętych fonoholizmem obserwujemy bóle głowy, kłopoty

REKLAMA



ze snem, kłopoty ze skupieniem uwagi. Niepokój powinna w rodzicach wzbudzić także agresja dziecka wywołana próbą odebrania telefonu. Nastolatki potrafią nie tylko obrzucić rodziców słowami powszechnie uznawanymi za obraźliwe, lecz także niszczą przedmioty lub trzaskają drzwiami.

UWAGA NA INTERNET

Psychologowie często zwracają uwagę, że dzisiejsze czasy dostarczają taką ilość bodźców, których nasz układ nerwowy nie może pomieścić. – Dorosły człowiek z pełni uformowanym układem nerwowym nie radzi sobie z nadmiarem bodźców – jesteśmy nerwowi, zirytowani, rozemocjonowani. U nastolatka mózg jest w tzw. ciągłej przebudowie i nadmiar bodźców może działać na niego destrukcyjnie – tłumaczyła mi kiedyś Anna Niziołek, psycholog i psychoterapeutka, związana z poradnią Sensity, która na co dzień pracuje z młodzieżą gimnazjalną.

Jedną z przyczyn obserwowanej dziś brutalizacji dzieci i młodzieży, poza kryzysem rodziny i autorytetów, jest to, że mają one nieograniczony dostęp do internetu, a to jest też kopalnia wszelkich wypaczeń. Są tam najbardziej wyszukane przykłady przemocy wobec rówieśników, zwierząt i oczywiście treści pornograficzne. Na brutalne treści dzieci mogą trafić przypadkiem, pozostawione bez odpowiedniej opieki. Rodzicom często nawet nie przejdzie przez myśl, co mogą oglądać ich dzieci.

Ponad 80 proc. dzieci do 14. roku życia to heavy userzy internetu. Korzystają z sieci minimum kilka razy w tygodniu po kilka godzin – wynika z badania „Dzieci w necie", zrealizowanego przez Interaktywny Instytut Badań Rynkowych (IIBR) i Gemius dla firmy At Media. Częściej niż raz w tygodniu korzysta z sieci dwie trzecie przedszkolaków (3–6 lat). Za każdym razem spędzają w niej średnio 45 min, oglądając bajki, grając w gry i biorąc udział w konkursach. Im starsze dzieci, tym częściej zaglądają do internetu. Codziennie robi to 35 proc. 7–9-latków i 62 proc. 10–14-latków. Odwiedzają strony kulturalno-rozrywkowe, społecznościowe i strony dla dorosłych.

OGRANICZONY DOSTĘP

Między innymi w reakcji na powyższe problemy powstała akcja „Mniej ekranu, więcej rodziny." Jej organizatorzy podają 10 powodów, dla których warto ograniczać dostępność mediów cyfrowych w rodzinie.

> Spędzenie dnia bez komórki jest czymś niewyobrażalnym dla co trzeciego nastolatka

1. Media cyfrowe mają silne działanie uzależniające – zarówno dla dorosłych, jak i dzieci.
2. Są one łatwo dostępnym źródłem szkodliwych treści, szczególnie pornografii.
3. Ich obecność w domu i szkole wpływa negatywnie na wyniki w nauce.
4. Portale społecznościowe tworzą złudne wrażenia budowania więzi społecznych i narażają na niebezpieczne kontakty.
5. Gry wideo są często powodem agresji i źródłem negatywnych wzorców.
6. Częste korzystanie z mediów cyfrowych w domu osłabia więzi rodzinne.
7. Długi czas korzystania z mediów jest często przyczyną problemów zdrowotnych, w tym otyłości, wad postawy, problemów ze wzrokiem i słuchem.
8. Wczesne korzystanie z komputera i telewizji przez dzieci może powodować trwałe niekorzystne zmiany w mózgu.
9. Pogoń za gadżetami elektronicznymi wzmacnia konsumpcjonizm i nadweręża budżet domowy.
10. Przywiązanie do mediów cyfrowych zabija wartościową kulturę rodzinną.

NA WAKACJE BEZ TELEFONU

Na rozsądne ograniczenia decydują się nie tylko rodzice. Także organizatorzy wyjazdów dla dzieci i młodzieży coraz częściej postanawiają wprowadzić zakaz zabierania na kolonie czy obozy gier i telefonów. Na rozsyłanej przez organizatorów informacji o obozie, na które od lat jeżdżą moje dzieci, zawsze czerwonymi literami stoi ostrzeżenie, że rodzice proszeni są o niewyposażanie dzieci w smartfony i gry PSP. Każdy rodzic, który chce się skontaktować z dzieckiem, może zadzwonić do opiekunów. Podobnie każde dziecko chcące się skontaktować z rodzicami może skorzystać z telefonu opiekuna.

Firma Kompas poszła krok dalej. W swojej ofercie obozów wakacyjnych wprowadziła propozycję swoistej podróży w czasie, organizując „Obóz bez smartfonów – podwórko rządzi!". „To nie jest obóz dla komputerowych maniaków, wielbicieli nowoczesnych gadżetów czy smartfonów! Tutaj stawiamy na oldskulowe zabawy, przebywanie na podwórku, integrację, wyobraźnię i ruch. Przekonajcie się, jak bawili się wasi rodzice i ile możliwości kryje się w pozornie prostych zabawach. Wystarczy parę dni odstawienia nowoczesnych urządzeń i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki łatwiej jest nawiązać nowe przyjaźnie, pobudzić wyobraźnię, a szalik przeistoczyć w autostradę dla wyścigówek z szyszek" – informuje organizator na swojej stronie. A co w programie? Wygrzewanie się w słońcu, chlapanie w błocie, skakanie przez gumę, przez skakankę, turnieje w kapsle, zawody w zbijaka, dwa ognie, budowanie latawców, wieczorna gra w świetliki, klasyczne zabawy w chowanego, ciuciubabkę, w zbijaka, w klasy, w gąski do domu, w berka, frisbee, hula-hop i dziesiątki zabaw z piłką.

A kto od podwórkowych zabaw woli leśne spacery, może wybrać „Leśną akademię". To najnowszy pomysł Kompasu, mający na celu wdrożenie idei wychowania dzieci blisko natury, zapewniającej dzieciom zrównoważony rozwój i pozwalającej na naturalne rozbudzenie ciekawości świata, badanego w sposób empiryczny.

Oby takich inicjatyw było więcej. Może dzięki nim dzieci odzyskają utracone dzieciństwo.

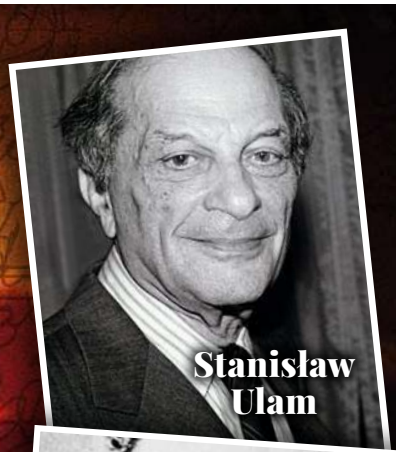
eprasa.pl 24723fda50

SIECI

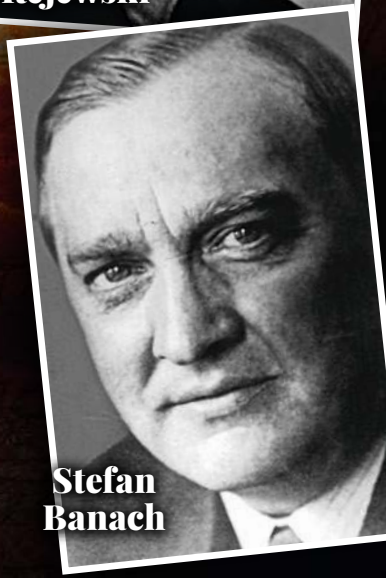
Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
– ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNALAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI


Stanisław Ulam


Marian Rejewski


Stefan Banach

odc. 3

Piękne umysły II RP

fot. Shutterstock

PARTNER DODATKU
ORLEN

Pomiędzy liczbami

Lwowska szkoła matematyczna była wielkim polskim wkładem w światową naukę



Wojciech Lada

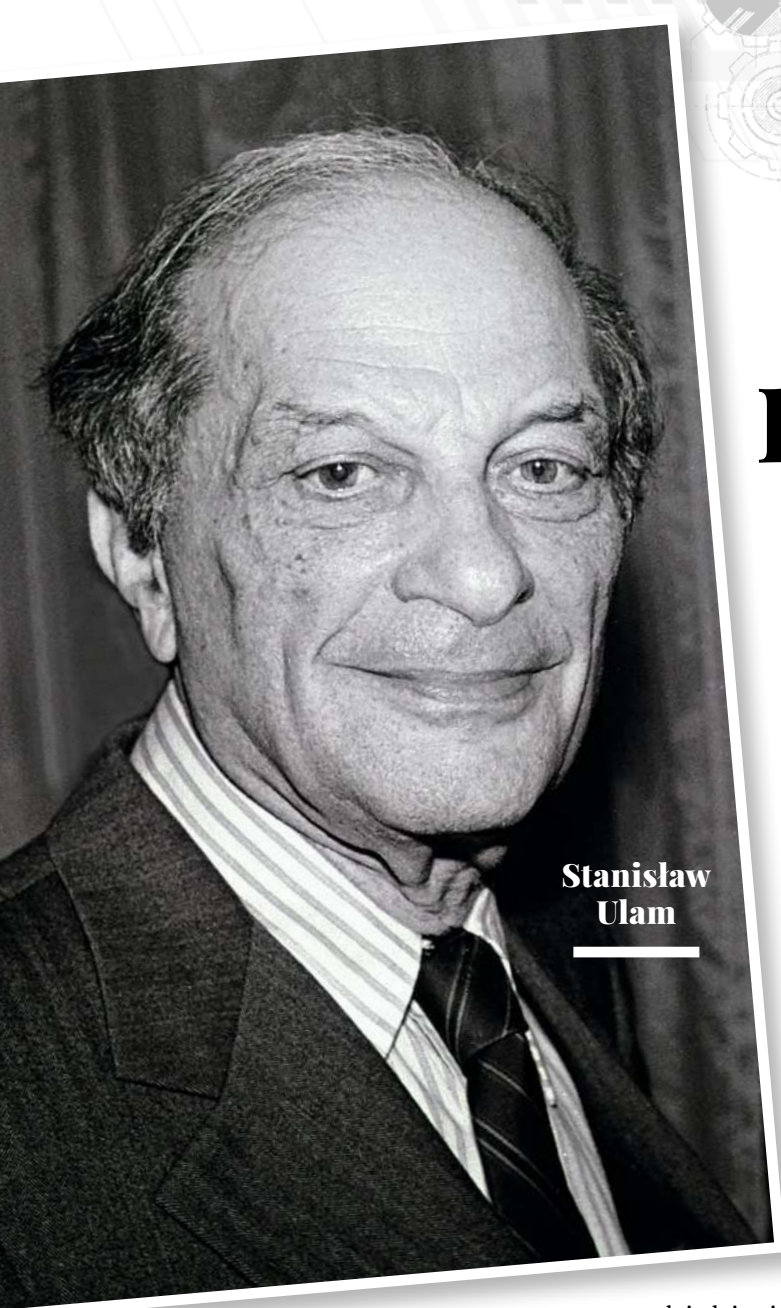
Przygotowując kiedyś tekst o Stefanie Banachu, naczytawszy się o wszystkich jego odkryciach, uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie mam pojęcia, co właściwie odkrył. Całka Banacha? Przestrzeń Banacha? Dla humanisty wszystko to brzmiało jak alchemia. Kiedy zrozpaczony zadzwoniłem do znajomego fizyka, na chwilę zamilkł, a po jakiejś minucie odpowiedział dość niepewnym głosem: „Wiesz, trudno to tak po prostu wytłumaczyć. On stworzył nowy język matematyki". Wtedy zrozumiałem. Banach nie wymyślił telefonów komórkowych, komputera ani sposobu na złamanie kodu DNA, ale to właśnie on stworzył kategorie, pojęcia... właśnie język, w którym o wszystkich tych wynalazkach dopiero można było w ogóle pomyśleć. W tym kontekście Banach stworzył XXI w. takim, jakim go właśnie przeżywamy.

Historyk nauki prof. Roman Duda mówił wprost, że jego zdaniem lwowska szkoła matematyczna z okresu międzywojnia była największym, co polska nauka kiedykolwiek dała światu. Może to pewna przesada. Był Kopernik. Była Skłodowska-Curie. Ale faktycznie stężenie geniuszy na metr kwadratowy, na korytarzach lwowskiej politechniki czy przy stoliku w Szwajcarskiej, było czymś zupełnie niebywałym. Banach otworzył całą nową epokę. Młodszy od niego o pokolenie Stanisław Ulam z kolei pewną zamknął – tworząc bombę wodorową, zakończył czas globalnych wojen, a jego wynalazek, jak dotąd, pozwala państwom szachować się nawzajem i utrzymywać w ten sposób względną równowagę, a więc po prostu pokój.

A byli jeszcze przecież Franciszek Mazur, Hugo Steinhaus czy pierwszy sanacyjny premier Polski, Kazimierz Bartel... Wszyscy oni stymulowali się wzajemnie, uzupełniali teorie, weryfikowali sugestie do tego stopnia, że w gruncie rzeczy wszystkie te odkrycia można w pewnym zakresie uznać za pracę zbiorową.

Dlaczego Lwów? Raczej przypadkiem. Pochodzili z różnych stron, a we Lwowie po prostu studiowali lub/i wykładali. Zresztą to nie miejsce miało znaczenie, ale pewien typ osobowości. Marian Rejewski, który złamał wraz z kolegami z Poznania kolejne kody Enigmy, nie miał przecież z Lwowem nic wspólnego. Co więc ich łączyło? Po pierwsze, rubaszny charakter i patologiczna wręcz niechęć do utartych reguł. Po drugie, szczęście do spotykania osób, które potrafiły dla nich te reguły naginać. Podczas prac nad bombą atomową Ulam najczęściej zajmował się hazardowym graniem w karty i uczeniem ówczesnych, dość niepojętnych jeszcze komputerów, strategii szachowych. Stefan Banach we Lwowie najczęściej kończył wieczory nad ranem, w przydworcowym barze, łatwo więc zrozumieć, że nie w głowie było mu robienie doktoratu. Ten jednak był niezbędny, by Banach mógł zostać na uczelni, a koledzy wiedzieli doskonale, że on też jest uczelni niezbędny. Pewnego dnia poproszono go, by wytłumaczył pewnym panom – zdaje się, że z wojska – kilka niezrozumiałych dla nich teorii matematycznych. Banach wyszedł, jak stał, w kilka minut objaśnił im, co chcieli – nie tylko poprawnie, lecz jasnym, obrazowym językiem – po czym panowie wstali i oznajmili zdumionemu matematykowi, że właśnie zdał egzamin doktorski. Oczywiście wcześniej potrzebna była rozprawa doktorska. Tę sprawę załatwiono tak, że asystent jednego z profesorów notował wszystko, co Banach opowiadał w knajpach przy kieliszku. Z notatek tych wyszła „biblia" matematyki XX, a właściwie XXI w.: „O operacjach na zbiorach abstrakcyjnych i ich zastosowaniach do równań całkowych" – słownik nowego języka matematyki.

eprasa.pl 24723fda50



Stanisław Ulam

fot. Czesław Czapliński/FOTONOVA

Ze Lwowa na Księżyc

Wysłał człowieka na Księżyc, stworzył najpotężniejszą broń w dziejach świata, ale miał też swój wkład w rozwój gier hazardowych. Stanisław Ulam współtworzył lwowską szkołę matematyczną, a jego nazwisko pojawiało się nawet obok Alberta Einsteina

WOJCIECH LADA

Problem tkwił w obrusie. Biesiadujący każdego wieczora w knajpie Szwajcarskiej matematycy właśnie na obrusie zapisywali swoje wzory i wykresy. Ale że Szwajcarska była lokalem porządnym, kelnerzy co wieczór obrus zwijali i, zupełnie obojętni na tkwiące na nim meandry najwybitniejszych myśli matematycznych XX w., oddawali do pralni. Trudno sobie wyobrazić, ile rozwiązań spłynęło wówczas z wodą i proszkiem, ale można sobie wyobrazić, że co najmniej kilka z nich miałoby realny wpływ na losy świata. Wśród obficie raczących się koniakiem i niemal niewidocznych spod kłębów papierosowego dymu naukowców znajdowały się bowiem postaci tej miary co Stefan Banach, Hugo Steinhaus czy Stanisław Mazur – a to były umysły, bez których nie byłby możliwy rozwój tak wielu różnych dziedzin jak komputeryzacja, genetyka czy loty kosmiczne.

Międzywojenna lwowska szkoła matematyczna składała się niemal bez wyjątku z geniuszy, ale też ekscentryków – nie przeszkadzało im, że najtrudniejsze problemy rozwiązują, gdy nad głową orkiestra gra hałaśliwy, jak na owe czasy, swing. Nierozwiązywalne dla nikogo spoza ich kręgu zadania podsuwali sobie w formie żartów i psikusów, a do zdobywania kolejnych stopni naukowych zmuszano ich podstępem. Najmłodszy w tym towarzystwie był Stanisław Ulam – pasujący do grona zarówno rubasznym usposobieniem, jak i geniuszem. W odróżnieniu od reszty miał jednak przynajmniej odrobinę zmysłu praktycznego. To on kupił któregoś dnia zeszyt i to w nim, zamiast na obrusie, zaczęto zapisywać matematyczne perełki. Po latach stał się bezcenny i awansował ze zwykłego szkolnego notatnika do roli książki. A właściwie księgi. „Księgi Szwajcarskiej" – jak oficjalnie ją ochrzczono. To właśnie Ulam uchronił zeszyt przed wojenną zawieruchą, on też przetłumaczył go na angielski, udostępniając światu dowód geniuszu grona lwowskich dziwaków. Sam zaś stał się bodaj najpowszechniej z nich znany.

CHŁOPIEC, KTÓRY CZYTAŁ VERNE'A

Urodził się w 1909 r. w zamożnej rodzinie, co nie pozostało bez wpływu na jego dalsze losy. Kiedy wybuchła I wojna światowa, jego rodzina wyjechała z zajętego przez Rosjan Lwowa do Wiednia. Tam Stanisław Ulam perfekcyjnie opanował niemiecki i w tym języku zaczął czytać pierwsze popularne książki o astronomii. Zważywszy na to, że miał wówczas zaledwie kilka lat, wrażenie robi zarówno ich tematyka, jak i to, iż w ogóle umiał już czytać. Niepospolitą inteligencją wykazywał się również w szkole. Niemal bez przygotowania zaliczał wszystkie przedmioty, a matematykę opanował do tego stopnia, że będąc

eprasa.pl 24723fda50



Zjazd Kół Matematyczno-Fizycznych (Lwów 1930). 1 — L. Chwistek, 2 — S. Banach, 3 — S. Loria, 4 — K. Kuratowski, 5 — S. Kaczmarz, 6 — J. P. Schauder, 7 — M. Stark, 8 — K. Borsuk, 9 — E. Marczewski, 10 — S. Ulam, 11 — A. Zawadzki, 12 — E. Otto, 13 — W. Zonn, 14 — M. Puchalik, 15 — K. Szpunar

fot. Kazimierz Kuratowski „Pół wieku matematyki polskiej 1920-1970"

zaledwie w siódmej klasie, zaczął uczęszczać na wykłady uniwersyteckie.

Nie był jednak typem zatopionego w książkach kujona. Doskonale grał w piłkę nożną – przez niemal całe życie – w tenisa, a nawet pokera, i to od razu na pieniądze. Także jego lektury nie ograniczały się do „Elementów algebry" Leonharda Eulera czy „Teorii mnogości" Wacława Sierpińskiego. Zaczytywał się w powieściach Tołstoja, uwielbiał Karola Maya, ale przede wszystkim Juliusza Verne'a i Herberta George'a Wellsa. „Verne i Wells pisali jeszcze w czasach, gdy można było fantazją podpowiadać nauce rozmaite rzeczy. Teraz nauka: fizyka, biologia, astronomia, chemia, wyprzedza fikcję" – wspominał kilkadziesiąt lat później, jakby z pewnym żalem.

Ulam był oczytany tak wszechstronnie, że kiedy pojawił się moment podjęcia studiów, miał do rozwikłania naprawdę poważny problem. Ojciec namawiał go do pójścia na prawo i przejęcia jego dobrze prosperującej praktyki adwokackiej. On sam optował za niepraktyczną, jak się wydawało, i nierokującą na poważniejszy zarobek abstrakcyjną matematyką. Drogą dyskusji i kompromisu stanęło na tym, że zostanie inżynierem, w którym to celu rozpoczął studia na Wydziale Ogólnym Politechniki Lwowskiej. Już pierwsze wykłady uświadomiły jednak młodemu Ulamowi, że nie był to dobry pomysł. Miał wówczas wiedzę znacznie przekraczającą program. Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy podczas wykładów dla drugiego roku (uczęszczał na nie, równolegle studiując na pierwszym) spotkał prof. Kazimierza Kuratowskiego. „Mógłbym powiedzieć o nim to, jak Steinhaus o Banachu: Ulam to moje wielkie odkrycie matematyczne" – zanotował później profesor. Podobno Stanisław zwrócił na siebie uwagę już pierwszym pytaniem, jakie zadał podczas zajęć. Jak pisał jeden z jego biografów, Mariusz Urbanek: „Ulam zadał pytanie, które świadczyło, że wie o matematyce nie tylko dużo więcej, niż oczekiwano od studentów pierwszego roku, ale znacznie więcej, niż wymagano od studentów politechniki w ogóle".

Dzięki wsparciu zachwyconego Kuratowskiego sprawy potoczyły się błyskawicznie. Kiedy bez najmniejszego problemu rozwiązał podsunięte przez profesora zadanie matematyczne, jego wynik opublikowano w naukowym periodyku lwowskim „Fundamenta Mathematicae". Kiedy zaś wkrótce potem ogłosił na tych łamach rozwiązanie kolejnego problemu, droga do matematyki w stanie czystym została przed nim ot-

eprasa.pl 24723fda50

warta. Będąc studentem zaledwie drugiego roku, został sekretarzem lwowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Matematycznego.

MIĘDZY BANACHEM A EINSTEINEM

Stefan Banach określił jego pomysły i twierdzenia matematyczne „dziwnymi, ale nadzwyczaj często skutecznymi", co z kolei Ulam nazwał „największym komplementem, jaki zdarzyło mu się usłyszeć". Znali się wcześniej, ale gdy w trakcie trzeciego roku studiów Ulam dołączył do stolika w Szwajcarskiej, stali się przyjaciółmi. „Sądzę, że te wielogodzinne, kawiarniane dyskusje z Banachem, a jeszcze częściej z Banachem i Mazurem, były czymś unikalnym. Nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się nic, co by przewyższało, dorównywało lub choćby zbliżało się do skali natężenia naszej ówczesnej współpracy" – wspominał później lwowską atmosferę.

Różnica wieku między nimi wynosiła kilkanaście lat. Banach był już wówczas powszechnie uznawany za geniusza, a Ulam jeszcze jako licealista słuchał jego wykładów, ale w umysłach wypełnionych wyłącznie matematyką wiek nie grał najmniejszej roli. Tym bardziej że łączyła ich niespotykana obojętność na uroki kariery. „Miałem wręcz patologiczną awersję do egzaminów" – przyznawał Ulam po latach i istotnie wcielał tę awersję w życie nadzwyczaj skutecznie. Mimo że był już zapraszany na kongresy międzynarodowe, a z profesurą uniwersytetu pijał wieczorami koniak i na równych z nimi prawach rozwiązywał matematyczne szarady, nie zdał dotąd żadnego z obowiązkowych egzaminów, o przygotowaniu pracy magisterskiej nawet nie wspominając. Ostatecznie napisał ją w ciągu jednego wieczora, a niewiele więcej zabrało mu rok później przygotowanie doktoratu.

Nawiasem mówiąc, ten ostatni wiele mówi o podejściu lwowskich matematyków do akademickich konwenansów. Otóż pewnej nocy w Szwajcarskiej Banach i Kuratowski biedzili się nad tzw. problemem Hausdorffa. Bezskutecznie. Wrócili do domów podpici, ale problem pozostał problemem. Do rana. Kiedy spotkali się następnego dnia gdzieś na korytarzu, okazało się, że każdy z nich w ciągu nocy znalazł rozwiązanie, w dodatku w bardzo podobny sposób. Kłopot w tym, że żadnemu z nich nie chciało się go spisywać i opracowywać, zadanie to powierzyli więc Ulamowi. I to właśnie było dla lwowian charakterystyczne – zadanie, którego rozwiązanie już znali, przestawało ich interesować, podobnie jak kwestia udostępnienia światu wyników oraz zdobycia przy tym rozgłosu. Wystarczała im czysta wiedza. Ulamowi również, w tym jednak momencie był tym najmłodszym, a w dodatku potrzebował tytułu, by móc się utrzymać z matematyki. Cała sprawa znów zajęła mu kilka godzin i w 1933 r. otrzymał stopień doktora, a świat otrzymał kolejną przełomową pracę, choć o niezbyt nośnym tytule: „O teorii miary w ogólnej teorii mnogości".

Był to jednak jeden z ostatnich lwowskich akcentów w życiu Ulama. Na uniwersytecie czy politechnice nie miał praktycznie szans na etat, a tak abstrakcyjna dziedzina wiedzy, jaką jest matematyka, nie dawała mu również szans na zatrudnienie gdziekolwiek indziej. W 1934 r. ruszył więc w podróż, by zrobić rozpoznanie terenu za granicą. Przez chwilę osiadł w Wiedniu, następnie pojawił się w Zurychu, Paryżu, wreszcie w Cambridge. Wszędzie uczęszczał na wykłady, ale czasem zdarzało mu się je również wygłaszać. Tak było np. w college'u Girton, co było o tyle osobliwe, że to uczelnia żeńska i prawdopodobnie od średniowiecza był pierwszym mężczyzną, któremu udało się tam dostać. Przynajmniej oficjalnie.

Jednak ani sukcesy w żeńskich uczelniach brytyjskich, ani generalnie życzliwe przyjęcie, z jakim spotykał się wśród europejskich matematyków, nie przybliżały go do zdobycia pracy. Nie wspominając już o coraz wyraźniej rzucającym się na Europę cieniu Adolfa Hitlera, którego Ulam, pochodzenia żydowskiego, miał prawo się obawiać. I wtedy właśnie został zaproszony do USA przez poznanego wcześniej Johna von Neumanna – matematyka niewiele starszego od niego, ale już uznawanego za postać wybitną w skali światowej, twórcę m.in. mechaniki kwantowej. Był wówczas profesorem w Princeton i zaproponował Ulamowi stypendium. Były to pierwsze pieniądze, które zarobił za

> Na przełomie września i października 1943 r. na dworcu kolejowym w Chicago doszło do niecodziennej sceny. Do czekającego tam Stanisława Ulama podeszło trzech mężczyzn, z których dwóch miało nieprzeciętnie rozbudowane ramiona i nabrzmiałe karki, trzeci zaś wyglądał na urzędnika w średnim wieku. Kiedy urzędnik ten przywitał się z Ulamem i usiedli razem na dworcowej ławce, pozostali dwaj odeszli nieco na bok, cały czas zerkali jednak na rozmawiającą parę. Urzędnikiem był John von Neumann, towarzyszący mu duzi faceci byli – jak się okazało – ochroną przydzieloną matematykowi przez rząd Stanów Zjednoczonych. John von Neumann stał się bowiem osobą ważną dla rządu, a temat, o którym rozmawiał z Ulamem, był nawet więcej niż ściśle tajny. Kilka tygodni później, na początku 1944 r., polski naukowiec wsiadł do pociągu i ruszył w kierunku Nowego Meksyku, gdzie znalazł zatrudnienie w miejscowości Los Alamos. Przez następne miesiące, wraz z setkami najwybitniejszych umysłów Ameryki, często noblistów, pracował przy Projekcie Manhattan, którego efektem stała się bomba atomowa. A właściwie bomby – te same, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki

eprasa.pl 24723fda50

znajomość matematyki. Wyruszył po nie w grudniu 1935 r.

To właśnie w Princeton poznał Einsteina, uczęszczał na prowadzone przez niego seminaria, zdarzało się, że prowadził wykład bezpośrednio po autorze teorii względności. Znajomość ta, choć obiektywnie cenna, nie przekładała się jednak na możliwość uzyskania etatu. Od znajomych ze Lwowa wiedział, że w Polsce szanse są równie mizerne. Znów miał jednak szczęście – wiosną 1936 r. otrzymał propozycję trzyletniego stypendium na Uniwersytecie Harvarda. Pobyt tam nie przyniósł żadnych przełomowych wydarzeń – Ulam wykładał po prostu podstawy matematyki, inkasował solidne wynagrodzenie i każdego roku na okres wakacji wracał do Lwowa, gdzie przez trzy miesiąca wpadał w wir spotkań w Szwajcarskiej. Kontrakt na Harvardzie kończył się jednak w roku 1939.

Wakacje tego roku Ulam spędzał jak zwykle w Polsce, ale nie wiedział, co robić. W USA nic na niego nie czekało, w Polsce jednak obawa przed wojną w tym właśnie momencie przeradzała się w pewność, że do konfliktu dojdzie. Zdecydował się zaryzykować i w sierpniu 1939 r. na transatlantyku Batory wyruszył ponownie za ocean. O pakcie Ribbentrop–Mołotow dowiedział się jeszcze na statku, a informacja o wybuchu wojny zastała go wkrótce po przybyciu do Nowego Jorku. „Poczułem, jakby na moje przeszłe życie spadła zasłona, odcinając je od przyszłości" – wspominał. Nie wiedział jeszcze, jak dużą rolę odegra w zakończeniu tej wojny.

PROJEKT MANHATTAN

Na przełomie września i października 1943 r. na dworcu kolejowym w Chicago doszło do niecodziennej sceny. Do czekającego tam Stanisława Ulama podeszło trzech mężczyzn, z których dwóch miało nieprzeciętnie rozbudowane ramiona i nabrzmiałe karki, trzeci zaś wyglądał na urzędnika w średnim wieku. Kiedy urzędnik przywitał się z Ulamem i usiedli razem na dworcowej ławce, pozostali dwaj odeszli nieco na bok, cały czas zerkali jednak na rozmawiającą parę. Urzędnikiem był John von Neumann, towarzyszący mu duzi faceci byli – jak się okazało – ochroną przydzieloną matematykowi przez rząd Stanów Zjednoczonych. John von Neumann stał się bowiem osobą ważną dla rządu, a temat, o którym rozmawiał z Ulamem, był nawet więcej niż ściśle tajny.

> „Sądzę, że te wielogodzinne, kawiarniane dyskusje z Banachem, a jeszcze częściej z Banachem i Mazurem, były czymś unikalnym. Nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się nic, co by przewyższało, dorównywało lub choćby zbliżało się do skali natężenia naszej ówczesnej współpracy" – tak Stanisław Ulam wspominał później lwowską atmosferę i wieczory spędzone w knajpie Szwajcarskiej

Kilka tygodni później, na początku 1944 r., polski naukowiec wsiadł do pociągu i ruszył w kierunku Nowego Meksyku, gdzie znalazł zatrudnienie w miejscowości Los Alamos. Przez następne miesiące, wraz z setkami najwybitniejszych umysłów Ameryki, często noblistów, pracował przy Projekcie Manhattan, którego efektem stała się bomba atomowa. A właściwie bomby – te same, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki.

„Kiedy dowiedziałem się o Hiroszimie i zobaczyłem fotografie zniszczeń, pierwszym uczuciem było zdziwienie. Nagle w moim mózgu dokonał się niezwykły skrót myślowy: cyfry, wypisane białą kredą na czarnej tablicy, i natychmiast potem miasto zmiecione z powierzchni ziemi" – wspominał później Ulam w rozmowie z Olgierdem Budrewiczem. I dodawał: „Wierzę, że odkrycie tego kolejnego źródła energii było czymś w rodzaju ratunku. Sięgnęliśmy po broń tak straszliwą, że nikt nigdy nie będzie mógł użyć jej dla zbrodniczych celów".

Zrzucenie Fat Boya – jak nazwano drugą z bomb, w odróżnieniu od Little Boya, który spadł na Hiroszimę – na Nagasaki 9 sierpnia 1945 r. zakończyło II wojnę światową. Ulam znów nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Do Polski nie miał po co wracać, praca dydaktyczna na uczelniach nie pociągała go, po kontakcie z tym korowodem geniuszy, których spotkał w Los Alamos, był mocno wyczerpany. Na domiar złego przeszedł ciężkie zapalenie mózgu i zabieg trepanacji czaszki. Wiele wskazywało na to, że wciąż młodego, 36-letniego naukowca czeka renta i marazm do końca życia. Teraz jednak nie był po prostu emigrantem z Europy, lecz światowej sławy matematykiem, który w dodatku znał wszystkie tajemnice bomby atomowej, a historia nie stała w miejscu. Zaczynała się właśnie zimna wojna i rozpoczynał się związany z nią wyścig zbrojeń. Kiedy więc tylko Ulam wyzdrowiał i okazało się, że choroba nie pozostawiła trwałych śladów na jego umyśle, został ponownie zatrudniony w Los Alamos, tym razem przy pracach nad bombą wodorową.

O mierze jego umysłu nieźle świadczy to, że podczas rekonwalescencji po trepanacji, układając pasjanse, wpadł na pomysł jednego z największych swoich odkryć, mianowicie tzw. metody Monte Carlo – pozwalającej uzyskiwać poprawne wyniki na podstawie próbek losowych. „Nazwałem ją tak, bo chodzi o przypadek, jak wygrana w kasynie Monte Carlo" – przyznawał, nie ukrywając, że zawsze miał pewną słabość do hazardu.

OJCIEC SUPERBOMBY

W Los Alamos Ulam robił wiele różnych rzeczy. To on np. napisał pierwszy na świecie program komputerowy – choć nazwa komputer dopiero się pojawiała – do gry w szachy, który potrafił ograć człowieka. Jak bardzo pionierski był to pomysł, najlepiej świadczy fakt, że stało się to w roku 1956, a pierwszy program, który pokonał szachowego mistrza, wprowadzono w życie dopiero równo 40 lat później. Przede wszystkim jednak Ulam pracował na bombą wodorową i nikt nie miał wątpliwości, że to on jest mózgiem przedsięwzięcia.

Niemiecki noblista Hans Bethe ujął to lapidarnie: „Powiedziałbym, że to Ulam jest ojcem bomby wodorowej, a Edward matką, bo nosił to dziecko całkiem długo". Edward, o którym pisze Bethe, to Edward Teller, kolejny z pan-

eprasa.pl 24723fda50



Modele bomb atomowych użytych podczas ataków atomowych na Nagasaki (z lewej) i Hiroszimę (z prawej)

fot. Andrzej Skwarczyński

teonu geniuszy Los Alamos i inicjator prac nad bombą. Obaj badacze nie lubili się i pracom towarzyszył nieustanny konflikt osobisty. Wszystko jednak wskazuje na to, że istotnie ostateczne rozwiązanie problemu było autorstwa polskiego matematyka. Jego żona, Francoise, wspominała, że któregoś dnia zastała męża wpatrującego się w okno z niecodzienną miną. „Wiem, jak zrobić superbombę" – oznajmił po chwili. „To zupełnie nowy pomysł. Zmieni bieg historii" – dodał podobno mocno podniecony. Nawet jeśli to tylko rodzinna opowieść, fakty się zgadzają – 1 listopada 1952 r. na Wyspach Marshalla przeprowadzono próbną detonację ważącej 63 tony bomby wodorowej. Eksplozja równała się mniej więcej sile 700 bomb zrzuconych na Hiroszimę.

Ten sukces podzielił obu twórców bomby jeszcze bardziej. Teller chciał prowadzić badania dalej i zastraszać Rosję coraz potężniejszymi ładunkami. Ulam uznał, że tego wyścigu nie da się prowadzić w nieskończoność i należy podpisać z Rosją układ o zakazie dalszych prac nad bronią jądrową. Obaj byli w tej kwestii przesłuchiwani w Senacie, obaj wyrazili swoje opinie, a senatorowie stosunkiem 85:10 przyznali rację Polakowi.

Sukces podzielił obu twórców bomby jeszcze bardziej. Teller chciał prowadzić badania dalej i zastraszać Rosję coraz potężniejszymi ładunkami. Ulam uznał, że tego wyścigu nie da się prowadzić w nieskończoność i należy podpisać z Rosją układ o zakazie dalszych prac nad bronią jądrową. Obaj byli w tej kwestii przesłuchiwani w Senacie, obaj wyrazili swoje opinie, a senatorowie stosunkiem 85:10 przyznali rację Polakowi

Ulam nie chciał produkować już bomb, ale nie miał nic przeciwko pracom nad innym wykorzystaniem energii jądrowej. Opracował np. pomysł wykorzystania jej w napędzie pojazdów kosmicznych. Sam stworzył projekt napędzanego w ten sposób statku międzyplanetarnego Orion, który zasilany serią małych detonacji jądrowych miałby dotrzeć na Marsa w ciągu czterech miesięcy. I chociaż projekty te nie zyskały akceptacji prezydenta Eisenhowera, Ulam odcisnął swój ślad w historii podboju kosmosu. Kiedy prezydentem w 1960 r. został John Kennedy, jego doradca naukowy, a przy okazji dawny znajomy Ulama, zapytał go, jaki ważny dla USA program naukowy powinien się znaleźć w orędziu prezydenckim. Polak odparł bez wahania: „Może wyprawa na Księżyc". Kilka tygodni potem John Kennedy zapowiedział publicznie otwarcie programu badawczego mającego na celu wysłanie człowieka na Księżyc. Był to szczyt kariery Ulama. Został konsultantem Naukowego Komitetu Doradczego przy Białym Domu, a także Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Pozostał też w Los Alamos. Hugo Steinhaus, nestor lwowskich matematyków, odwiedził tam kiedyś młodszego kolegę i zauważył, że jest on już tak wrośnięty w to laboratorium, iż właściwie powinno się zmienić jego nazwę na Los Ulamos.

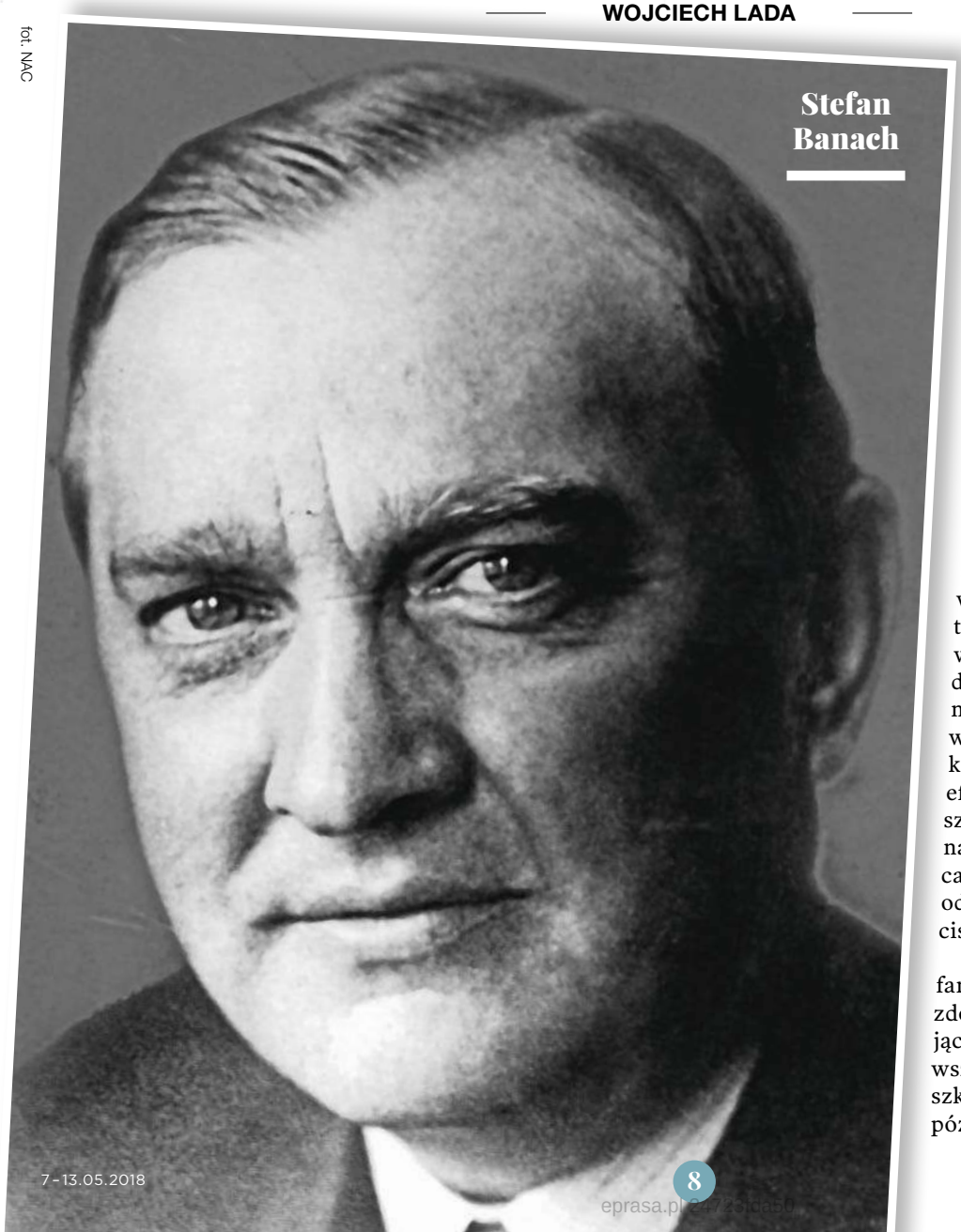
Polski geniusz do końca życia nie stracił swojej naturalnej rubaszności i luzu. Dwa lata przed śmiercią, w 1982 r., zanotował: „Czasem wydaje mi się, że najbardziej racjonalne wyjaśnienie wszystkiego, co zdarzyło się podczas mojego życia, brzmi tak: wciąż mam trzynaście lat i zasnąłem, czytając książkę Juliusza Verne'a lub H.G. Wellsa". Swoimi cechami najwyraźniej jednak potrafił zarażać także otoczenie. Kiedy zmarł 13 maja 1984 r., jego żona przypomniała, że „zawsze powtarzał, iż najlepszym sposobem na śmierć jest nagły atak serca lub strzał oddany przez zazdrosnego męża". „Miał szczęście umrzeć w ten pierwszy sposób, choć myślę, że wolałby drugi" – przyznała.

eprasa.pl 24723fda50

Świat w przestrzeni Banacha

Nie da się wskazać jednej rzeczy, którą świat zawdzięcza Stefanowi Banachowi, bo zmienił tak naprawdę cały. To, że mamy komputery, komórki, badania genetyczne, a cały wiek XXI opiera się na liczbach, jest zasługą jego obliczeń

WOJCIECH LADA



fot. NAC

Stefan Banach

W 1937 r. Stefan Banach dostał propozycję pracy na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Przedstawiciel uczelni na pytanie o ewentualną wysokość zarobków wyciągnął kartkę i napisał na niej tylko jedną liczbę. „Może pan dopisać tyle zer, ile pana zadowoli" – oznajmił. „To za mało, żeby wyjechać z Polski" – odparł Banach po niezbyt długim namyśle. I na swoje nieszczęście został.

JASNOWIDZ BEZ DYPLOMU

Dziś Banach ma swoje ulice w większości polskich miast, instytuty i szpitale swojego imienia, nie wspominając o całym ciągu twierdzeń matematycznych noszących jego nazwisko. Początkowo jednak nic nie wskazywało na to, że znać go będzie ktokolwiek. Urodził się w 1892 r. jako efekt chwilowego romansu pewnego szeregowca i wiejskiej dziewczyny, najmującej się w Krakowie jako służąca. Rodzice nie wychowywali dziecka, oddali je w ręce praczki, niejakiej Franciszki Płowej.

Mimo słabego startu młody Stefan radził sobie dobrze. W gimnazjum zdobywał najwyższe oceny, wykazując spore zdolności językowe, przede wszystkim jednak talent do liczb. Jego szkolny kolega Adolf Rożek wspominał później, iż „miał niebywałą zdolność

eprasa.pl/247...

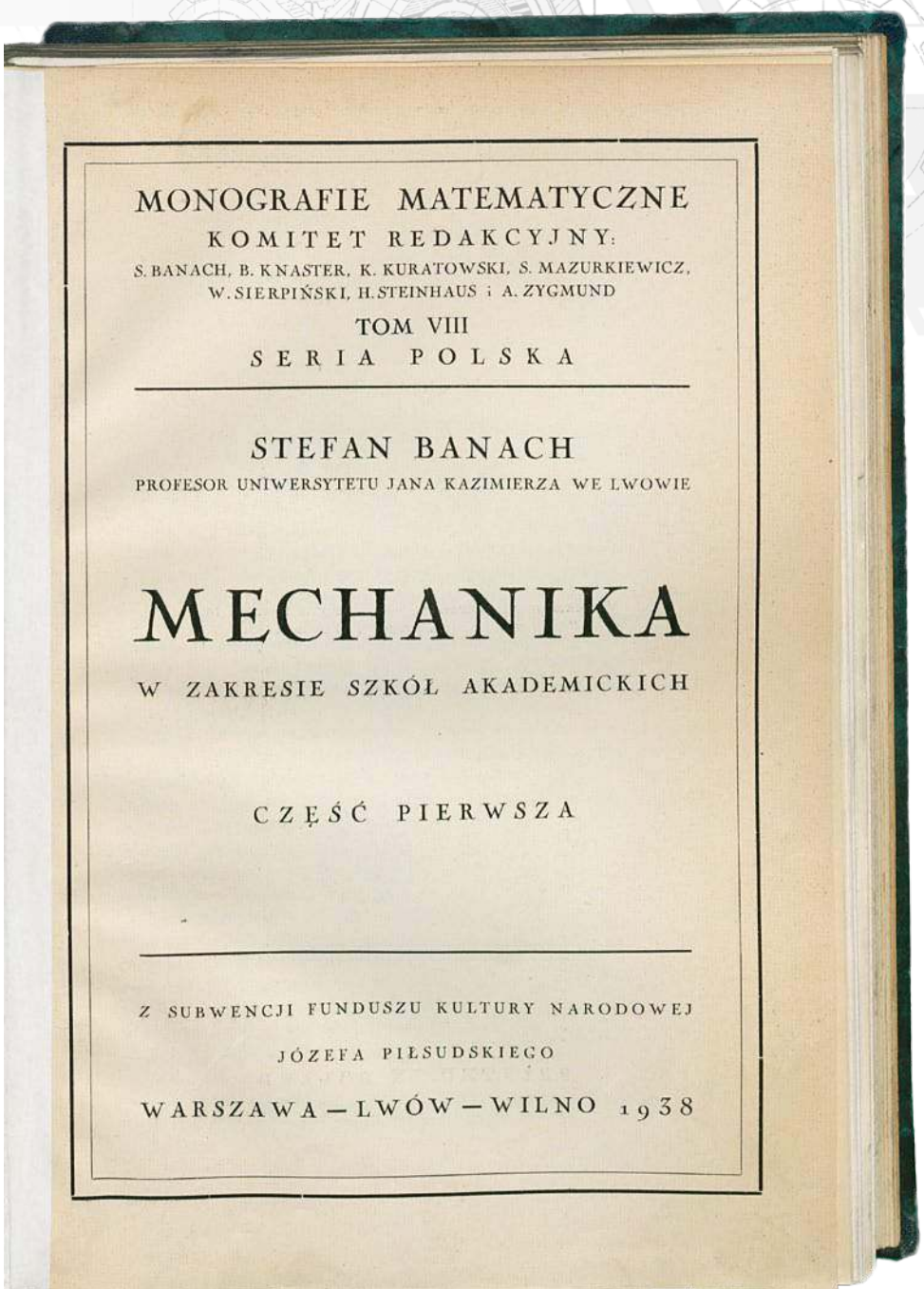
tak szybkiego myślenia i liczenia, że na ludziach robiło to wrażenie jasnowidzenia". Dodawał też, że poza matematyką „nic go nie interesowało". Po maturze dostał się na Politechnikę Lwowską. Dorabiał korepetycjami i statystowaniem w operze, ale być może właśnie z braku pieniędzy przerwał studia i powrócił do Krakowa bez dyplomu.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się jego dalsze losy, gdyby któregoś dnia na Plantach, podczas gorącej dyskusji o całce Lebesgue'a, której oddawał się z kolegą, nie podszedł do niego Hugo Steinhaus. Doktor Steinhaus ze Lwowa nie mógł pojąć, jak dwóch obszarpanych młodziaków może w ogóle znać to nowe twierdzenie, nie wspominając o tym, że całkiem sensownie spierali się o nie w samym środku I wojny światowej, w mieście leżącym dość blisko linii frontu.

LICZBY I BANACHALIA

Steinhaus zmienił w życiu Banacha wszystko. Załatwił mu we Lwowie posadę asystenta na politechnice, a wkrótce potem – podstępem – kolejne stopnie naukowe. Najpierw, przez Ministerstwo Oświaty, udało się uzyskać zgodę na pominięcie tytułu magistra w dalszej działalności naukowej. Później zaś zorganizowano mu niezbędny już doktorat. A zrobiono to mianowicie tak, że asystent prof. Stanisława Ruziewicza dostał polecenie chodzenia za Banachem po kawiarniach i notowania wszystkiego, co mówi, a następnie uporządkowania i spisania. Powstała w ten sposób praca „O operacjach na zbiorach abstrakcyjnych i ich zastosowaniach do równań całkowych" uznawana dziś za przełomową w historii matematyki XX w., ale równie ważna dla nauk przyrodniczych i fizyki.

Mając zapewniony byt i możliwość publikacji, Banach odżył. Z jednej strony do legendy przeszły jego nocne alkoholowe eskapady w miasto, połączone z obtańcowywaniem studentek, zwane nawet złośliwie „Banachaliami", z drugiej – w błyskawicznym tempie płynęły w świat kolejne koncepcje, stawiające na głowie całą matematykę. Takie pojęcia jak przestrzeń Banacha, całka Banacha, granica uogólniona Banacha, algebra Banacha czy paradoks Banacha-Tarskiego były analizowane, podziwiane, a przede wszystkim stosowane od Moskwy po Nowy Jork, z całą Europą pomiędzy.


MONOGRAFIE MATEMATYCZNE

KOMITET REDAKCYJNY:

S. BANACH, B. KNASTER, K. KURATOWSKI, S. MAZURKIEWICZ, W. SIERPIŃSKI, H. STEINHAUS i A. ZYGMUND

TOM VIII

SERIA POLSKA

STEFAN BANACH

PROFESOR UNIWERSYTETU JANA KAZIMIERZA WE LWOWIE

MECHANIKA

W ZAKRESIE SZKÓŁ AKADEMICKICH

CZĘŚĆ PIERWSZA

Z SUBWENCJI FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

WARSZAWA — LWÓW — WILNO 1938

fot. Biblioteka Narodowa

„To nasz największy wkład w naukę światową" – przekonywał historyk nauki prof. Roman Duda, dodając, że to właśnie Banach osobiście przełamał tyle naukowych barier, iż nieprawdopodobnie szerokie zastosowanie liczb w niemal wszystkich dziedzinach wiedzy i życia w XXI w. jest w dużej mierze jego zasługą. Nie był sam – była cała lwowska szkoła matematyczna. On jednak był jej duszą i mózgiem.

* * *

Kiedy w 1937 r. Banach odmawiał wyjazdu do USA, nie wiedział, że wkrótce, by przeżyć, będzie musiał karmić własną krwią wszy w Instytucie Weigla. Okupacje rosyjskie zniósł dobrze, bo dla Rosjan był legendą i nikt nie zamierzał robić mu najmniejszej krzywdy. Za czasów niemieckich było jednak bardzo źle. Wyczerpany i schorowany zmarł w czerwcu 1945 r. Miał zaledwie 53 lata.

eprasa.pl 24723fda50

Bomba kryptologa

Marian Rejewski złamał kod Enigmy. Tylko tyle i aż tyle. Tylko – bo było to jedyne osiągnięcie jego życia. Aż – bo osiągnięcie to zmieniło bieg II wojny światowej

WOJCIECH LADA



Marian Rejewski

fot. Biblioteka Narodowa

Max Hastings w swojej książce o wywiadzie w czasach wojny zauważył, że były to już czasy, kiedy jeden dobrze przeprowadzony nasłuch radiowy wroga był wart więcej niż 100 tajnych agentów. Kłopot z nasłuchem polegał jednak na tym, że wyłapane nim wiadomości zazwyczaj były zaszyfrowane, największa część energii służb wywiadowczych polegała więc na łamaniu szyfrów. Jednym z najlepszych łamaczy w skali globalnej był właśnie Marian Rejewski – człowiek, dla którego szyfry były całym życiem.

NA POCZĄTEK KRIEGSMARINE

Urodził się w roku 1905 w Bydgoszczy, co nie było bez znaczenia dla jego późniejszych sukcesów. Miasto leżało wówczas w zaborze niemieckim, doskonała znajomość tego języka była więc w rodzinie Rejewskich poniekąd naturalna. Podobnie jak skłonność do matematyki – ojciec Mariana był kupcem, przyszły kryptolog dorastał więc wśród rachunków i liczb. Nie było nic zaskakującego w tym, że jako kierunek studiów wybrał matematykę. Niecodzienne było za to to, że jeszcze jako student zaczął uczęszczać na kurs kryptologiczny dotyczący – a był zaledwie rok 1929 – szyfrów niemieckich.

Rejewski wyraźnie wyróżniał się wśród innych kursantów. Jego opiekun z Biura Szyfrów Maksymilian Ciężki doskonale widział, że nie jest on klasycznym matematykiem teoretykiem, lecz zawsze szuka dla swojej wiedzy zastosowania praktycznego. Nawet jego praca magisterska miała wymiar praktyczny. Jej tytuł brzmiał: „Opracować

eprasa.pl 24723fda50



Maszyna do szyfrowania Enigma z czasów II wojny światowej

teorie funkcji podwójnie periodycznych drugiego i trzeciego rodzaju oraz wskazać jej zastosowanie". Nic też dziwnego, że po ukończeniu studiów przeprowadził się do Warszawy i rozpoczął pracę w Biurze Szyfrów wywiadu wojskowego. W pierwszych tygodniach pracy bez większych problemów złamał szyfr Kriegsmarine.

WSZYSTKIE KODY ENIGMY

Wbrew obiegowej opinii nie było jednej Enigmy, której szyfr należałoby złamać. Był to typ maszyn szyfrujących produkowanych komercyjnie i dostępnych na rynku. Do maszyn wojskowych wprowadzane były oczywiście innowacje i zabezpieczenia, ale sama zasada ich działania pozostawała identyczna. Po raz pierwszy kod niemieckiej Enigmy wojskowej Rejewski złamał już w 1932 r., ale cztery lata później klucz okazał się nieaktualny. Wtedy młody matematyk skonstruował tzw. bombę Rejewskiego, czyli pierwowzór wszystkich elektronicznych maszyn łamiących kody. Niemcy mieli jednak tego świadomość i kolejne zmiany kombinacji szyfrujących sprawiły, że również możliwości „bomby" zostały w połowie 1939 r. mocno ograniczone. Choć jednocześnie to jej konstrukcja stanowiła podstawę bardziej zaawansowanych maszyn deszyfrujących stosowanych przez Brytyjczyków przez całą wojnę.

Po zajęciu Polski przez Niemców Rejewski wraz z najbliższymi współpracownikami, Jerzym Różyckim i Henrykiem Zygalskim, przedostali się do Rumunii, skąd udali się na Zachód do Francji, gdzie dalej pracowali nad łamaniem niemieckich szyfrów. Po zajęciu Francji kontynuowali te prace w konspiracji na terenie republiki Vichy, skąd ostatecznie ewakuowano ich do Wielkiej Brytanii. Tu jednak Rejewski był stopniowo odsuwany od poważniejszych i bardziej tajnych zadań. Pracował w wywiadzie, analizował dane, ale z jego pomysłów na łamanie kodów Enigmy korzystali już inni.

Kryptolog doczekał się uhonorowania, choć dopiero pod koniec życia. W 1979 r. Roman Wionczek nakręcił film „Sekret Enigmy", w którym przedstawił prawdziwą rolę, jaką polski kryptolog odegrał podczas II wojny światowej. Rok później Rejewski zmarł na zawał serca w Warszawie.

25/0418/F

eprasa.pl 24723fda50



NOWE PALIWO

efecta

efecta 95

efecta DIESEL

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

- żywotność
- wydajność

Dowiedz się więcej na **dlakierowcow.orlen.pl**

ORLEN

eprasa.pl 24723fda50



Międzynarodową popularność ***Michael Gambon*** *zdobył dopiero wtedy, kiedy wcielił się w profesora magii Albusa Dumbledora w filmie „Harry Potter i więzień Azkabanu". Jest uwielbiany przez nastolatków, ale też przez teatralną widownię. Teraz postanowił się zmierzyć z tragiczną historią*

Katyń: niebezpieczny trop

Fot. Xxx

eprasa.pl 24723fda50

W filmie Piotra Szkopiaka „Katyń. Ostatni świadek" Michael Gambon wciela się w rolę redaktora naczelnego gazety, w której pracuje młody dziennikarz Stephen Underwood (Alex Pettyfer) marzący o wielkim temacie, który rozkręci jego karierę. Stary wyga stopuje Underwooda, bo też trop, na który wpada Stephen, badając sprawę samobójstwa polskiego żołnierza przebywającego w obozie dla uchodźców, okazuje się coraz bardziej niebezpieczny.

Ambitny żurnalista jednak nie wypada z roli. Bo to czas dla Pettyfera. Aktor przeniesiony dzięki filmowi do roku 1947, nie pokazując fizycznych walorów, skupiony na zadaniu, którego podjął się jego bohater, wydaje się zamykać czas ślicznego i dzielnego Alexa Ridera z ekranizacji powieści dla młodzieży „Alex Rider. Misja Stormbreaker" (2006). Chce pokazać, że stać go na coś więcej niż występowanie z etykietką „obiekt pożądania", w czym apogeum osiągnął po filmie „Magic Mike" Stevena Soderbergha (2012). Dziś mając 28 lat, został współproducentem filmu, którego tłem jest wielka historia, a on sam może zagrać dramatyczną postać. U boku m.in. takiego aktora jak Gambon.

Mimo że jest jedną z największych i najczęściej nagradzanych gwiazd brytyjskiej sceny teatralnej, międzynarodową popularność Michael Gambon zdobył dopiero, kiedy wcielił się w profesora magii Albusa Dumbledora w filmie „Harry Potter i więzień Azkabanu". Na początku lat 70. nie udało mu się przejąć roli Jamesa Bonda, choć był bliski zdobycia angażu. Po porażce filmu z George'em Lazenbym wytwórnia nie chciała jednak zatrudniać kolejnego mało znanego aktora.

Gambon oddał więc serce i talent scenie. Występując na deskach teatrów w Dublinie (w tym mieście urodził się w 1940 r.), Londynie oraz Nowym Jorku, przy zachwycie publiczności i krytyków dorobił się przydomka The Great Gambon. Wyróżniony m.in. prestiżową nagrodą dla najlepszego aktora – The Evening Standard Theatre Award – za tytułową rolę w spektaklu „Volpone". Zebrał również znakomite recenzje za występ w sztuce „Skylight" Davida Hare'a, wystawianej w Londynie i Nowym Jorku.

W 1992 r. z rąk królowej odebrał Order Imperium Brytyjskiego za zasługi dla krzewienia kultury brytyjskiej. Doceniono w ten sposób także jego ekranowe osiągnięcia. M.in. za takie filmy jak: „Kucharz, złodziej, jego żona i jej kochanek", „Miłość i śmierć w Wenecji", „Zabaweczki", „Wersja Browninga", „Nieważny człowiek", „Mary Reilly", „Two Deaths", „Gracz", „Gosford Park", „Jeździec bez głowy", „Kwartet", „Jak zostać królem".

Michael Gambon ma na swoim koncie także w nominację do Złotego Globu za telewizyjny film „Na ścieżce wojennej", dwie nominacje do Emmy oraz cztery zwycięskie statuetki BAFTA dla najlepszego aktora brytyjskiego.

W 2015 r. ze względu na postępujące problemy z pamięcią zakończył karierę sceniczną, ale wciąż możemy go oglądać na ekranie. Teraz w filmie „Katyń. Ostatni świadek". W obsadzie są też polscy aktorzy: Robert Więckiewicz i Piotr Stramowski.

Jolanta Gajda-Zadworna

Katyń podzielił historię

Z Piotrem Szkopiakiem, urodzonym w Anglii reżyserem filmu „Katyń. Ostatni świadek", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W przeddzień naszej rozmowy agencje podały, że Rosjanie otworzyli w Katyniu muzeum stosunków rosyjsko-polskich. Relatywizują w nim fakty z przeszłości. Co pan na to?

Piotr Szkopiak: To dla mnie potwierdzenie, że „Katyń. Ostatni świadek" powinien był powstać. Im bardziej oddalamy się od wojny, tym więcej w opowieściach na jej temat interpretacji wygodnych dla różnych grup czy nacji. Jeśli ludzie nie znają faktów, z czasem można im nawet wmówić to, że „teren wokół Katynia był objęty działaniami militarnymi, a więc nie ma mowy o zaplanowanym z zimną krwią zbiorowym mordzie, tylko o skutku wojny". To jest pisanie historii na nowo. Nie może być na to zgody.

Dlatego postanowił pan podjąć ten temat?

Odpowiem szerzej: chciałem zostać reżyserem, by opowiadać fabuły, które zaintrygują, przyciągną ciekawą formą, ale też będą dla widza ważne; poruszą go, coś nowego powiedzą, może nawet pozwolą coś w życiu zmienić. Takie filmy sam chciałbym oglądać. Ale każdy z nas ma też swoją własną historię i z niej czerpie.

A pan?

To, o czym opowiedziałem w filmie, wiąże się trochę z historią mojej rodziny, ale dotyczy również Anglii, a nawet Ameryki. „Katyń. Ostatni świadek" pokazuje zdarzenia z punktu widzenia Anglików, a nie jak film Andrzeja Wajdy z perspektywy Polaków. Uważałem, że tak to trzeba pokazać, bo wielu Anglików od tej strony jej nie zna.

Wspomniał pan o inspiracjach wyniesionych z domu...

Moi rodzice to wojenna emigracja. Ojciec, urodzony w Bydgoszczy, wywie-

eprasa.pl 24723fda50

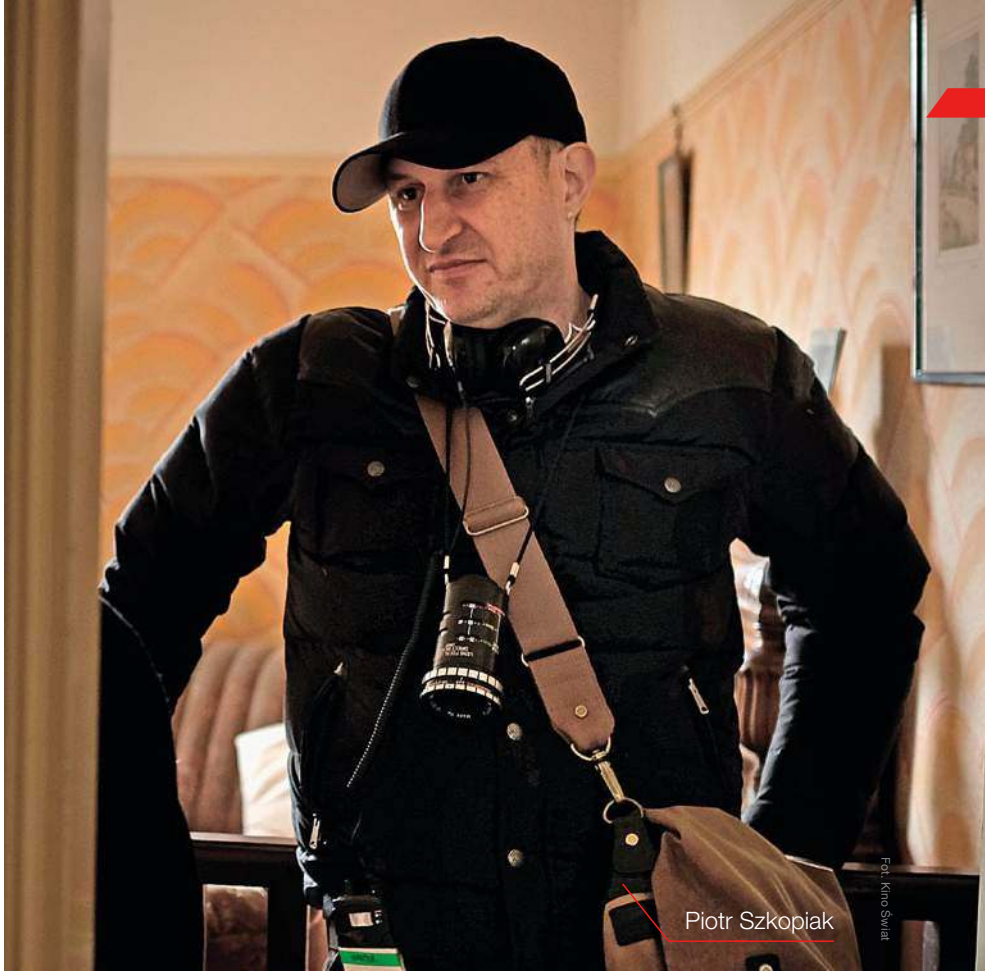
ziony przez Niemców do Austrii, przez Włochy dotarł do Anglii. Pochodząca z Kalisza mama najpierw z rodziną trafiła na wschód, potem była deportowana na Syberię. Sowieci zastrzelili jej ojca, polskiego oficera (o tym, że stało się to w Charkowie, dowiedziała się dopiero 1990 r.). Trafiła do Anglii z Armią Andersa. Dla mnie ten film to nie tylko historia Katynia, lecz także historia generacji moich rodziców.

Pokazuje pan na ekranie także kontekst społeczny, nie ukrywając m.in. niechęci do Anglików.

Kiedy wojna się skończyła, Polacy zaczęli im zawadzać, a przecież to nie było tak, że nie chcieli wracać do domu, tylko dawnej Polski już nie było. W wyniku międzynarodowych działań i układów została oddana Sowietom. Ci, którzy zdecydowali się na powrót, trafiali do więzienia albo gorzej. W takim politycznym układzie, kiedy alianci nie chcieli konfrontacji ze Związkiem Radzieckim, Katyń stał się tematem niewygodnym, a nawet groźnym. Wszyscy wiedzieli, że za tą zbrodnią stoją Sowieci. Anglicy mieli dowody, ale zdecydowali się je trzymać w tajemnicy, by mieć w Stalinie sojusznika. Churchill prosił Polaków, aby nie mówili o Katyniu, aż wojna się skończy. Obiecał, że wtedy zajmie się tą sprawą, ale gdy wojna się skończyła, Polska znalazła się w rękach Sowietów. To była wielka zdrada. I po wojnie, i przez następne 50 lat kolejne rządy brytyjskie twierdziły, że za zbrodnię w Katyniu odpowiadają Niemcy, a nie Sowieci. A kiedy prawda wyszła na jaw, mówili, że nie mieli dowodów. Pokazujemy to na ekranie.

Jak przekonywał pan do swojego projektu brytyjskich producentów, a potem aktorów?

Producenci szukali interesującego filmu, który przyciągnie widzów. Aktorzy – ciekawego scenariusza i intrygujących ról. Kontekst historyczny czy wręcz polityczny był dla nich dodatkową wartością. Bo thrillery dobrze się sprzedają. Dlatego udało się zaangażować tak popularnych wśród młodych widzów aktorów, jak


Piotr Szkopiak

Fot. Kino Świat

Alex Pettyfer i Talulah Riley, oraz wybitnego Michaela Gambona. Grający główną postać Alex, tak jak ekranowy dziennikarz, nic o Katyniu nie wiedział. Odsłaniał fakty krok po kroku. To była dla mnie idealna sytuacja.

A inni ludzie, których namawiał pan do współpracy, znali temat? Jaki mieli do niego stosunek?

Z wiedzą bywało różnie, ale też niektórzy producenci – ci zorientowani w sprawie – pytali, po co znowu o tym mówić. Ja im na to: wy wiecie, ale wielu ludzi nie ma pojęcia. Zresztą do Holokaustu również się wraca, chociaż wszyscy o nim wiedzą.

Jedna z producentek zapytała mnie też, ilu ludzi zostało zamordowanych w Katyniu. Kiedy powiedziałem, że 22 tys., usłyszałem: „Tylko? Żydów wymordowano miliony, to czym jest wobec tego parę tysięcy". Odpowiedziałem jej, że ten mord jest symbolem, także tego, co działo się po wojnie. Nie można było o tej zbrodni mówić, bo Polska została oddana Sowietom. I to nie jest tylko polska historia, ale też angielska, amerykańska i światowa. Bo tamten moment zmienił bardzo dużo. Jest historia przed Katyniem i po Katyniu. To także moja historia, bo nie byłoby mnie, gdyby nie to, co się działo w związku z Katyniem. Polska emigracja wróciłaby do Polski. Moi rodzice by się nie spotkali.

Czy reakcje na temat Katynia zmieniały się w czasie pracy nad filmem?

Najlepiej było wtedy, gdy po przeczytaniu scenariusza, ktoś mnie pytał, czy historyczne tło jest prawdą. Odpowiadałem: absolutnie. Oczywiście mamy do czynienia z filmem fabularnym, ale opartym na faktach. Autentyczną postacią jest Michał Łoboda, czyli Iwan Kriwoziercew (którego w filmie gra Robert Więckiewicz), rosyjski chłop i jeden z najważniejszych świadków zbrodni katyńskiej.

Podobno w 1947 r. został zabity w Wielkiej Brytanii przez NKWD, ale jego śmierć upozorowano na samobójstwo...

Nie ma na to dowodów, ale tak to pokazujmy w filmie, bo przy tym, co wiem, myślę, że ktoś się go pozbył... może Sowieci, może szpiegostwo sowiecko-angielskie, jak ci Cambridge Spies, Kim

eprasa.pl 24723fda50



Piotr Stramowski i Robert Więckiewicz

Fot. Kino Świat

Philby itd. W filmie postać, która go morduje, mówi i po rosyjsku, i po angielsku... Chciałem, by widzowie sami zdecydowali, kto stoi za jego śmiercią, ale ten moment w filmie zawsze będzie kontrowersyjny, bo prawdą jest tylko to, że znaleziono Łobodę powieszonego, a oficjalnie zapisano, że popełnił samobójstwo. Myślę, że było inaczej. Bardzo dbaliśmy o historyczne detale, by absolutnie nikt nie mógł powiedzieć, że coś się nie zgadza.

Jak przygotowywał się pan do realizacji filmu?

To mój drugi kinowy film. Nim zacząłem pracować w angielskiej telewizji [Piotr Szkopiak jest reżyserem popularnych serii – przyp. red.], nakręciłem „Small Time Obsession". Byłem wtedy zapatrzony w takie amerykańskie filmy jak „Ojciec chrzestny" Francisa Forda Coppoli, „Dawno temu w Ameryce" Sergia Leone, „Ulice nędzy" Scorsese. Słowem: Włosi i Żydzi w Ameryce. Pomyślałem, że skoro jestem Polakiem, opowiem o ludziach mojej generacji w Londynie. Wtedy jeszcze takich filmów nie było, teraz może są trzy. „Small Time..." był trochę gangsterski, trochę romansowy, ale w tle pojawiła się też polska historia. Matka bohatera wspomina wywózkę na Syberię w czasie wojny, by pokazać synowi, jakie wartości liczą się w życiu.

Postanowił pan rozwinąć tę scenę w kolejnym filmie?

W 1995 r. zaprosił mnie na swoją sztukę „Katyń Witness" Paul Szambowski, którego znałem ze szkoły (Saint Joseph's College w południowym Londynie), ale nie kontaktowaliśmy się kilkanaście lat. Kiedy potem zobaczył (w 2000 r.) mój kinowy debiut, napisał do mnie, że następny film mógłbym nakręcić na podstawie jego tekstu. Pierwszy scenariusz powstał w 2001 r. Potem były kolejne wersje. Czas płynął i trochę się obawiałem, czy ten temat będzie jeszcze ważny. A teraz się okazuje, jak to jest aktualne.

Dodatkowy kontekst dopisała tragedia smoleńska?

Wypełniła newsy w początku marca 2010 r. I w Polsce nadal budzi pytania i wątpliwości, ale w Anglii już się o tym nie pisze. To Brytyjczyków nie dotyczy.

Czy „Katyń" Wajdy z 2007 r. miał szansę dotrzeć do zagranicznego widza?

Film Andrzeja Wajdy skupia się na dramacie bohaterów i jest skierowany do tych, którzy temat znają. Ja chciałem dotrzeć do ludzi, którzy o tamtych wydarzeniach nic nie wiedzą, do młodszych widzów, których ciężki historyczny dramat nie przekona. Dlatego zdecydowałem się na thriller polityczny – sensacyjną intrygę, która grozi śmiercią. W tle są jednak autentyczne wydarzenia – ukrywana przez lata zbrodnia katyńska. W polityce, którą po wojnie prowadzili Anglicy i Amerykanie, było im z tą wiedzą bardzo niewygodnie. I wciąż nie jest to temat, do którego chcą wracać, ale – taką mam nadzieję – jeśli film zainteresuje widzów, może będą chcieli sprawdzić fakty, dowiedzieć się więcej. O to mi chodziło.

Czy premiera w Anglii już się odbyła?

Pierwsza będzie w Polsce. 11 maja, ale prawa do dystrybucji w Anglii są już sprzedane.

Urodził się pan w Londynie, tam się wychował, tam mieszka i pracuje, a jednocześnie interesują pana polskie sprawy i nasza historia. Jak by pan siebie określił?

Mówi o tym mój pierwszy film. Gdy go nagrałem, mama trochę się zdziwiła, że miałem jakiś kulturowy konflikt, bo dla niej zawsze byłem Polakiem, bo moim pierwszym językiem był język polski. Gdy poszedłem do szkoły, prawie w ogóle nie mówiłem po angielsku. Potem dorastałem otoczony kulturą brytyjską i językiem moich kontaktów zawodowych oraz codziennych stał się język angielski. W Polsce widzą we mnie Anglika, w Anglii ani do końca Anglika, ani Polaka, ale krew mam w stu procentach polską.

Jest pan rzecznikiem polskiej sprawy?

Anglicy mówią, że wygrali wojnę, ale sami tego nie dokonali. Gdyby nie było Ameryki, nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy wojny, a kto wie, jaki byłby finał Bitwy o Anglię, gdyby nie Polacy. Ale jak się Anglikom mówi, że gdyby nie polscy piloci, to może mówiliby po niemiecku, to wielu to nie pasuje. Tym bardziej trzeba o tym przypominać, ale używając odpowiednich argumentów. Przekona ich to, że królowa tak powiedziała: „Gdyby nie Polacy, historia inaczej by się potoczyła", nawiązując do oceny dokonanej po wojnie przez dowódcę RAF gen. Hugh Dowdinga. Historia Polaków w Anglii jest bardzo ważna, trzeba ją przypominać. Teraz też, kiedy przy okazji Brexitu Brytyjczycy mają za złe Polakom, że zabierają im pracę. Nie pamiętają o wspólnej historii, o tym, ile Anglia Polakom zawdzięcza.

I myśli pan, że tę wiedzę, także poprzez film „Katyń. Ostatni świadek", uda się przekazać, utrwalić? Brytyjczycy ją przyjmą?

Jeśli będą mieć wątpliwości co do swojego udziału w tuszowaniu zbrodni katyńskiej, zawsze mogą sięgnąć do dokumentów. A uwagi o roli Polaków w niedawnej historii Anglii wystarczy skomentować krótko: „Twoja królowa tak powiedziała". To działa.

eprasa.pl 24723fda50

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

TVP próbuje z kabaretem

Na początku był kabaret Na Koniec Świata, w salce Przodownik na Mokotowie. Dziś ta ekipa stanowi trzon obsady kabaretowego serialu „La La Poland" w TVP2. To oni zabierali mnie co parę miesięcy do swoich światów. Unosili się między polskimi miasteczkami, studiami telewizyjnymi, mieszkankami zwykłych ludzi i kosmosem. Czasem komuś przywalili – od Krystyny Jandy po PiS, ale częściej bujali w odmętach sytuacyjnego i językowego absurdu.

Sarkazm Roberta Majewskiego. Kostyczna vis comica Pawła Koślika. Kamienna twarz ich Bustera Keatona – Macieja Makowskiego. Figle własną fizycznością Sebastiana „Stanky'ego" Stankiewicza. Wigor rozsadzającej konwencje Izabelli Dąbrowskiej. Parodystyczny talent Olgi Sarzyńskiej... Nad wszystkim unosił się konferansjer kosmita Wojciech Solarz i przemawiający z tyłu salki reżyser Wawrzyniec Kostrzewski. Dla mnie to najlepszy kabaret w Polsce, bo taki inny, taki literacki, nawet gdy przeklina.

I oto nagle przygarnęła ich publiczna telewizja, z której kabarety wyfrunęły gremialnie przed dwoma laty. Dodano paru nowych świetnych aktorów – na czele z Krzysztofem Szczepaniakiem i Mateuszem Rusinem, który kiedyś w Na Koniec Świata występował. Autorami tekstów są Kostrzewski, Solarz, Makowski, Majewski i Rafał Kadłucki z Paranienormalnych. Ale to ten pierwszy spina wszystko. To już nie feeria skrzących się skeczy rzucanych jak leci, ale widowisko telewizyjne poddane rygorom. Opowieść o krainie La La Poland – z narratorem z offu, Adamem Ferencym.

I musi paść pytanie, czy kontrolowana przez prawicę TVP to mecenas dla kabaretu nie nazbyt apodyktyczny. Z drugiej strony niepokoiła mnie obawa, czy sobie poradzą z tą nową formą. Albo się zagubią ze swą poetyką. Albo zaczną zniżać loty.

Po pierwszym odcinku: poradzili sobie z naddatkiem. Do starych zalet dodali perfekcyjną konstrukcję szkatułkowej układanki. Skecze się przeplatają. Strzelba zawieszona w akcie pierwszym strzela w trzecim. Paróweczki zeróweczki i baleronik dziadunia, przedmiot debaty w ministerstwie żywienia, powraca w sklepie. Pani Irenka Izabelli Dąbrowskiej prześladowana przez apodyktyczną sprzedawczynię w tymże sklepie spotka ją potem w barze. Notabene ten podwójny skecz z przerażającym „iiii" Olgi Sarzyńskiej to hit odcinka. A konstrukcja to zasługa Wawrzyńca Kostrzewskiego.

Co do wyzwania pierwszego, zobaczymy. Kabaret decydujący się na produkcję w TVP Kurskiego skubie tygrysa za wąsy. Paranoiczna narada w ministerstwie żywienia czy megalomański program kosmiczny La La Polandu to kpinki z rządzącej prawicy. Kibicuję takiemu błazeńskiemu wentylowi wolności.

Wiele żartów, z nieasertywną panią Irenką czy teleturniejem Tadeusza Sznuka na czele, to „tylko" traktaciki o ludzkiej naturze. Tam jednak, gdzie widać publicystyczne ślady, żartuje się raczej z wad Polski tradycyjnej, choć bez ideologicznych przegięć innych kabaretów. Na Koniec Świata mógł sobie rzucać snopy światła, na co chciał, a i tak był bardziej symetryczny.



Za to formuła „La La Polandu" nakłada trochę zobowiązanie odtwarzania portretu Polski. Jestem ciekaw, z kogo będą sobie dworowali Kostrzewski i jego aktorzy w kolejnych odcinkach.

Już wygrali jedno. Pokażcie mi drugie takie zbiorowisko kapitalnych fizjonomii. Tak doborową galerię komików. Ten typ humoru (bez Marcina Dańca pierdzącego kapustą) plus późna pora nie muszą sprzyjać sukcesowi frekwencyjnemu. No ale chyba doświadczony Marcin Wolski brał to pod uwagę.

Piotr Zaremba



Sarmackie przebieranki

Wojciech Stanisławski

„Zdobycz i wierność" Jerzego Pietrkiewicza jest opowieścią o samozwańcach walczących o tron albo o nowy język

Zdumiewający los, osobna nitka w historii polskiej literatury, ale i „urodzeń": Jerzy Pietrkiewicz. Wcześnie osierocony chłopski syn, szukający w stolicy przynależności wychowanek gimnazjum we Włocławku, próbujący krytycznego pióra w „Prosto z Mostu", ale już poetyckiego – lepiej, bo w „Okolicy Poetów", pod skrzydłami Stanisława Czernika, u autentystów.

„Autentyści", „Okolica Poetów" – to przedwojenna archeologia i gdyby tylko do tego sprowadzała się sława Pietrkiewicza, łatwiej byłoby zrozumieć zdumienia tuzów literatury deklarujących dziś, że „dotąd nie słyszeli" i „niemal nieznany". Znany, znany, tyle że idący swoją ścieżką: wiejskie dziecko, związane niezwykle mocną więzią z matką i współtworzące z nią „prywatne mitologie", wychowanek księdza proboszcza, zafascynowany fenomenem i ruchem mariawitów. Wreszcie emigrant wrześniowy, który jednak nie trafił do Andersa, lecz ukończył studia w Szkocji, a od końca lat 40. wykładał literaturę polską na londyńskim King's College, opracowując kolejne antologie poetów od Reja po Różewicza, pisząc panoramiczne dzieje polskiej kultury, wiersze i powieści w dwóch językach. Brzmi znajomo? Nie raz i nie dwa nachodziła mnie myśl o innej wersji świata, w której to Pietrkiewicz dostałby Nobla, a inny poeta, wykładowca i wizjoner wędrowałby, z trochę kostycznym, trochę zrezygnowanym uśmiechem po stromych uliczkach Berkeley.

Taki żart jest dopuszczalny, bo samego pisarza fascynowały warianty losu, możliwości, które się nie ziściły, obroty wydarzeń, w których „rękę skaziłby zimny bat". Ale to żart tylko: nie przyjął się jakoś Pietrkiewicz ani w Londynie, choć kurtuazyjnie zrównywano go tam z Conradem, ani w Polsce, choć od połowy lat 80. wydawano go w PAX-ie, w Lublinie i w Toruniu. I oto kolejna jego powieść, najbardziej chyba przewrotna: może tym razem się uda?

Zabawa z nią będzie przednia, biorąc pod uwagę, jak dobrze ma się w Polsce sarmatyzm, zawsze wielka Trylogia, ale i kolejne warianty dobrej historical fiction w rodzaju cyklów Jacka Komudy, i postsarmatyzm zupełnie już odtwórczy, który sprowadza się do wrzucania na Facebooka obrazka z husarzem oraz stosowania wyszukanego szyku przestawnego w jadłospisach, wszystkich tych „eskalopków szałwiowymi liśćmi potraktowanych", jakby mistrz Yoda Chowańskiego za młodu podchodził.

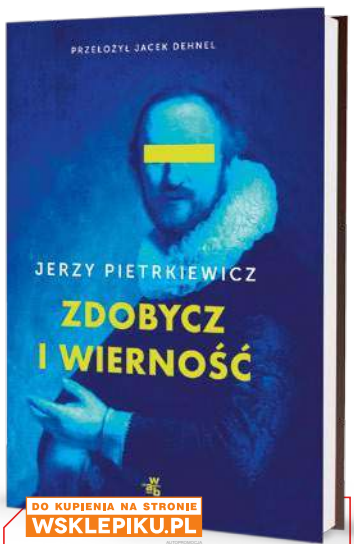
Wszyscy stęsknieni nowej inkarnacji Sienkiewicza będą zaskoczeni nie lada, bo „Zdobycz i wierność" Pietrkiewicza, choć jej akcja toczy się w fascynujących czasach pierwszej i drugiej dymitriady na pińskim pograniczu Rzeczypospolitej i Moskowii, o kilka zaledwie stajań i lat od Ludynia z „Matki Joanny od Aniołów", jest równie oniryczna jak opowieść Iwaszkiewicza. I choć niby realiów trzyma się wiernie, są i popręgi, i jezuita, ba, sam główny bohater, trawiony melancholią Tobias Hume, kondotier i kompozytor, jest postacią historyczną, to przecież są to dekoracje, w których bohaterowie doświadczają ambicji i rozterek nie z XVII, lecz z XX w. Autor czasem podkreśla tę umowność ostentacyjnie, jak w nazwisku spolonizowanego Szkota Seton-Setońskiego, czasem trafnie odtwarza intrygi wokół forsowanego na tron moskiewski Dymitra Samozwańca, ale nie sposób uwolnić się od skojarzeń z „Masonem i Dixonem" Pynchona, z figlami Raymonda Roussela, z podwieszaniem sobie poprzeczki coraz wyżej: żeby było trudniej.

eprasa.pl 24723fda50

ort ekstremalny

Poprzeczka została zawieszona naprawdę wysoko, bo Pietrkiewicz pisał swoją powieść, zatytułowaną wówczas „Loot and Loyalty", dla brytyjskiego czytelnika, którego nie tylko zainteresować musiał nieznaną, niewiarygodną, nieatrakcyjną i niemal niemożliwą krainą, jakimiś brodami, bojarami, wiarą ruską i rzymską – lecz i opisać ten dziwny świat odbiorcom, którzy nie chowali się na guzach, żupanach i chorążych orszańskich, dla których było to i miało pozostać obce. Stroma ścieżka nawet dla człowieka urodzonego w angielszczyźnie, co dopiero dla przybysza! Polski imigrant wziął ją szarżą, choć nie bez strat – by przywołać za tłumaczem choćby przykład wyłogów kontusza, które stały się po angielsku „luźnymi rękawami płaszcza".

Stąd karkołomność tłumaczenia „Loot and Loyalty" na polski, które musiało być czymś znacznie więcej niż przekładem. Raczej rewersem, rekonstrukcją, złamaniem upraszczającego szyfru, ponownym odczytaniem w lustrze czyjegoś „lustrzanego"



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Jerzy Pietrkiewicz, „Zdobycz i wierność", przełożył Jacek Dehnel, wyd. W.A.B., Warszawa, 2018

pisma. Powieść Pietrkiewicza przywrócił polszczyźnie – a można by wręcz powiedzieć, że „zaintromitował" ją, niczym Protazy kredens na zamek Horeszków – Jacek Dehnel.

Można się domyślać, że autora, który dotąd jeśli parał się tłumaczeniami, to tuzów w rodzaju Henry'ego Jamesa czy Philipa Larkina, skusił przewidywany trud zadania. Można spekulować, że Jacka Dehnela, szerokiej publiczności znanego tyleż ze świetnego dorobku autorskiego, co dziwnie przepełnionych ojkofobią felietonów, kusiła myśl o kuku, jakie sprawi miłośnikom przaśnej swojskości, którzy szukać będą Zagłoby, a natkną się na Gombrowicza. Można założyć, że felietonistę zagończyka kusiła myśl o tej złości i zaskoczeniu, o nabiegających czerwienią niskich czołach, o pyzatych pohukiwaniach, że jak to, Dehnel... a wszak Sarmatia... Ale ja spróbuję na te fochy fortelu i wsadziwszy kciuki za imaginowany pas kontuszowy, huknę: przednieś się Waść sprawił, mości Dehnelu! Mistrzowski to przekład.

Ciałopalenie

Są arcydzieła, które można albo utopić w wielosłowiu, albo skwitować paroma zdaniami. Nie chcę tego pierwszego, deklaruję więc tylko: to książka z tych, które zdarzają się polszczyźnie raz na kilka lat.

Bo mówi się czasem „smaczne zdania" i wydaje się, że to specjalność pań od polskiego, które zostawiają swoim wychowankom osad ogarów, co poszły w las, czy kilka podobnie sztywnych i uświęconych fraz. Ale co robić, jeśli na jednej kartce powieści Rudzkiej pojawia się więcej gibkości języka, niż zebrać można z tuzina pracowitych tomików poetyckich, jeśli okazuje się, że mamy do czynienia z kimś, kto dysponuje, jak jedna z bohaterek tej powieści, słuchem absolutnym? „Cera sfermentowana, gęsta siatka cienkich nacięć na policzkach, podobnych skaleczeniom brzegiem kartki". Takie zdania wyrwane na chybił trafił z solidnie wyglądającego akapitu wyglądają na pretensjonalne, ale trzeba pozwolić unieść się temu nurtowi – wystarczy strona, dwie – żeby się okazało, że niesie nas naprawdę wielka rzeka, że żadne słowo nie jest tu przypadkowe.

Ta lektura to nie będzie kąpiel w piance, bo „Krótka wymiana ognia" to antologia niemiłosna, to zestawienie porażająco wielu przypadków niekochania, niespotkania albo jeszcze inaczej: rozmijania się, nietrafiania na siebie dwóch połówek jabłka. Ta wielka rzeka niesie gorzkie wody. Jest w niej opowieść o zgwałconym przez Sowietów Śląsku, której trzeba szukać między wersami, jakby składało się obraz wydarzeń z wykrztuszonych, wymamrotanych, urywanych słów dziecka (kilkoro autorów próbowało już pisać o tamtej tragedii; nikomu nie równać się z Rudzką). Są warszawskie historie o rozpadzie rodziny, zamlaskiwane w magazynach ilustrowanych, w których wczorajsi rozwodnicy „dzielą się z czytelnikami swoim nowym szczęściem". Ale pierwszoplanowym tematem tej powieści jest dramat powszechny



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Zyta Rudzka, „Krótka wymiana ognia", wyd. W.A.B., Warszawa, 2018

i nieopisany, ba, niedostrzegany: dramat starości. Wiele lat temu Anna Świrszczyńska szokowała, pisząc „Chodzę teraz ubrana w skórę starej kobiety", ale były to i tak deklamacje srebrnowłosej damy w porównaniu z narratorką, która krąży, monologuje, zamiera, rozdrażniona, gniewna i głodna, modliszka, ćma i Niobe jednocześnie: bohaterska.

eprasa.pl 24723fda50

Adamski





Wybitne dzieło

Kino

Choć ta część „Avengers" jest jedną z najdłuższych, to recenzja będzie lapidarna. Akcji streszczać się nie da, bo spoiler pojawiłby się po pięciu minutach filmu. Co więc mogę napisać o produkcji braci Russo, która kończy trzecią fazę świata superbohaterów z logo Avengers? To znakomite dzieło. Pędząca jak Spider-Man na pajęczynie akcja, piorunujące jak uderzenie Thora efekty specjalne, masa autoironii i doskonale wyważonego patosu. Od 2012 r., czyli pierwszej części „Avengers", w której pojawili się wszyscy bohaterowie po kolei przedstawiani w poszczególnych filmach, akcja kroczyła w kierunku nieuchronnej wojny z wszechwładnym Thanosem. Jest to wojna totalna. Toczona na kilku planetach. Ma apokaliptyczny wymiar.

Bracia Russo czują uniwersum Marvela jak nikt inny. Słowna szermierka między bezczelnym Star Lordem a naładowanym własnym ego Iron Manem ma ostrość brzytwy. Sarkazm boga Asgardu się nie przeterminował. Punchline'y Rocketa powodują parsknięcie colą we własny popcorn, a dramaturgia i poetyka epickiej bitwy w królestwie Czarnej Pantery Wakandzie może zawstydzić najlepszych reżyserów wojennego kina.

Z częścią herosów wraz z końcem trzeciej fazy się żegnamy. Na zawsze? Możliwe, że tak. Śmierć więc zbiera swoje żniwo, jak w żadnym filmie o superbohaterach w historii popkultury. To zawsze była siła komiksów Marvela. Superherosi cierpieli i umierali.

Każdy film z marvelowskiej serii był inny. Przypomnijmy sobie szekspirowskiego pierwszego „Thora" i jego zupełnie parodystyczną ostatnią część. Jak bardzo rozpolitykowane były filmy o „Kapitanie Ameryce", społeczny kontekst miała „Czarna pantera", a zatopiony w klimat licealnego kina „Spider-Man"? Bezczelnie eklektyczni i zatopieni w retro lat 90. „Strażnicy Galaktyki" i newage'owy „Doctor Strange"? Bracia Russo nieumiejętnie mieszając te wszystkie klimaty, mogli popaść w totalny bełkot, a jednak wprowadzili świat Marvela na nowe tory. Otworzyli go na kolejnych bohaterów, zupełnie zmieniając reguły gry.

Ta część przygód „Avengers" to tzw. game changer. Totalna przebudowa filmowego uniwersum Marvela, jakiego w tym gatunku jeszcze nie widzieliście.

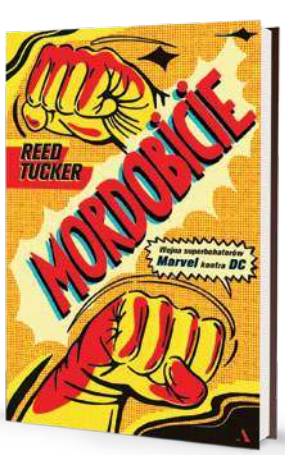
„AVENGERS: WOJNA BEZ GRANIC"
REŻ. BRACIA RUSSO, DYSTR. DISNEY

Książka

Jak to wszystko się zaczęło?

Nowi „Avengersi" tylko w pierwszy weekend zarobili, uwaga, ćwierć miliarda dolarów. Skąd taki oszałamiający wynik? Ludzkość zawsze goniła za mitycznymi bóstwami i potrzebowała spójnej mitologii. „Mordobicie" Reeda Tuckera w kapitalny sposób naświetla całą historię rozwoju komiksów, które dziś w formie filmowej kształtują całą naszą popkulturę. Błyskotliwa, zabawna i naładowana stosem faktów, ale też przepysznych dykteryjek książka opowiada o toczonej już ponad 60 lat wojnie między DC (wydawca m.in. „Supermana" i „Batmana") a Marvelem („Avengers"). Dziś te marki są jak Pepsi i Coca-Cola. Podkradanie pomysłów na kolejnych superbohaterów, podkupowanie pracowników, wojna gwiazd Hollywood występujących w filmach walczących z sobą gigantów – to wszystko kulisy tego wartego miliardy przemysłu. Pozycja obowiązkowa nie tylko dla fanów, lecz również dla tych, którzy nie rozumieją siły popkultury.

„MORDOBICIE. WOJNA SUPERBOHATERÓW. MARVEL KONTRA DC"
REED TUCKER, WYD. AGORA



Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 24723fda50

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Zemsta bogów



Grecki reżyser Yorgos Lanthimos dokonał czegoś, na czym totalnie poległ Darren Aronofsky w koszmarnej „Mother!". Nakręcił mądrą, brutalną i wielowarstwową przypowieść o zemście mitycznych bóstw. Oko za oko. Ząb za ząb? Więcej. To przypowieść nie tylko o zemście, lecz także sprawiedliwości i ofierze zadośćuczynienia.

„Zabicie świętego jelenia" opiera się na micie o Agamemnonie, który rozwścieczył boginię Artemidę. Musiał za to złożyć ofiarę z własnej córki Ifigeni. Agamemnonem jest tutaj kardiochirurg Steven (Colin Farrell). Ma piękną żonę, również lekarkę, Annę (Nicole Kidman) i dwójkę dorastających dzieci. W życiu rodziny pojawia się tajemniczy 16-latek Martin (Barry Keoghan). To syn jego zmarłego pacjenta. Pojawienie się chłopca w domu Stevena sprowadza na całą rodzinę klątwę. Zaczyna się od choroby najmłodszego synka.

Artemida karząca Agamemnona zatrzymała wiatr nad okrętami Greków. Niewola mitologicznych Greków jest symbolizowana przez niewolę sparaliżowanego ciała zapadających na nieznaną najlepszym lekarzom chorobę dzieci Stevena. Czy tylko ofiara odwróci los? Agamemnon ostatecznie złożył ofiarę z łani. Abraham musiał poświęcić swojego syna. Bóg powstrzymał go od ciosu. U Lanthimosa nikt ręki nie chce zatrzymać.

Twórca szokującego i też przepełnionego koncepcją tragicznego przeznaczenia „Lobstera" odsuwa się jednak wyłącznie od greckiej tragedii. Zniekształcony, widziany za szybą symbol chrześcijaństwa ma swoją wymowę. Jest subtelny jak w „11 minutach" Jerzego Skolimowskiego. A więc męczeństwo? Nie, bo w tym filmie nie ma Zmartwychwstania. Jest czysta zemsta i sprawiedliwość nieprzynosząca żadnego ukojenia. Film zamyka jednak chorał z „Pasji wg św. Jana" J.S. Bacha...

Lanthimos intryguje, irytuje niedopowiedzeniami i zazębianiem tak różnych koncepcji kary. Wszystko w szatach gęstego psychologicznego thrillera z elementami horroru. Ciężki to film. Przygniatający twarz do gleby. Męczący i niepokojący. A może tak właśnie wygląda uczucie wiecznie nienasyconej zemsty?

„ZABICIE ŚWIĘTEGO JELENIA" REŻ. YORGOS LANTHIMOS, DYSTR. MONOLITH

DVD



Zamordowane marzenia

VOD

Żadni inni amerykańscy politycy nie byli tak często pokazywani w kinie jak bracia Kennedy. Młodzi, piękni, bogaci magnaci mieli odmienić Amerykę i świat. Obaj zginęli w zamachach. Jeden jako prezydent USA, drugi jako pretendent do prezydentury. Stali się mitycznymi bóstwami popkultury, których idee, polityczne zapatrywania zostały drastycznie przeinaczone przez pełną pięknoduchostwa lewicę. Istnieje też czarna legenda klanu Kennedych, przedstawianych jako wcielone zło, wyrosłe m.in. na pieniądzach włoskiej mafii. Czteroodcinkowy dokumentalny serial „Bobby Kennedy for president" w zaskakująco obiektywny, pozbawiony mitologicznego ukąszenia sposób pokazuje przerwaną drogę Kennedy'ego do prezydentury. Liczne wypowiedzi świadków wydarzeń, fascynujące archiwalne materiały tworzą arcyciekawą opowieść o przełomowej (walka o prawa obywatelskie, wojna w Wietnamie, kryzys kubański) epoce w historii USA.

SERIAL DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

eprasa.pl 24723fda50



Operowe Oscary dla Polaków

Światowej sławy polski tenor Piotr Beczała oraz reżyser, dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie Mariusz Treliński zostali laureatami International Opera Awards uważanych za operowe Oscary

Fot. Czesław Czapliński/FOTONOVA



ADAM CIESIELSKI

Plebiscyt International Opera Awards od 2013 r. firmuje brytyjskie czasopismo „Opera Magazine". Jego redaktor naczelny John Allison, publikujący również w dzienniku „The Daily Telegraph", przewodniczy międzynarodowemu jury, składającemu się z 28 krytyków muzycznych i mecenasów sztuki. W tym gronie Polskę reprezentuje Waldemar Dąbrowski, dyrektor naczelny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej.

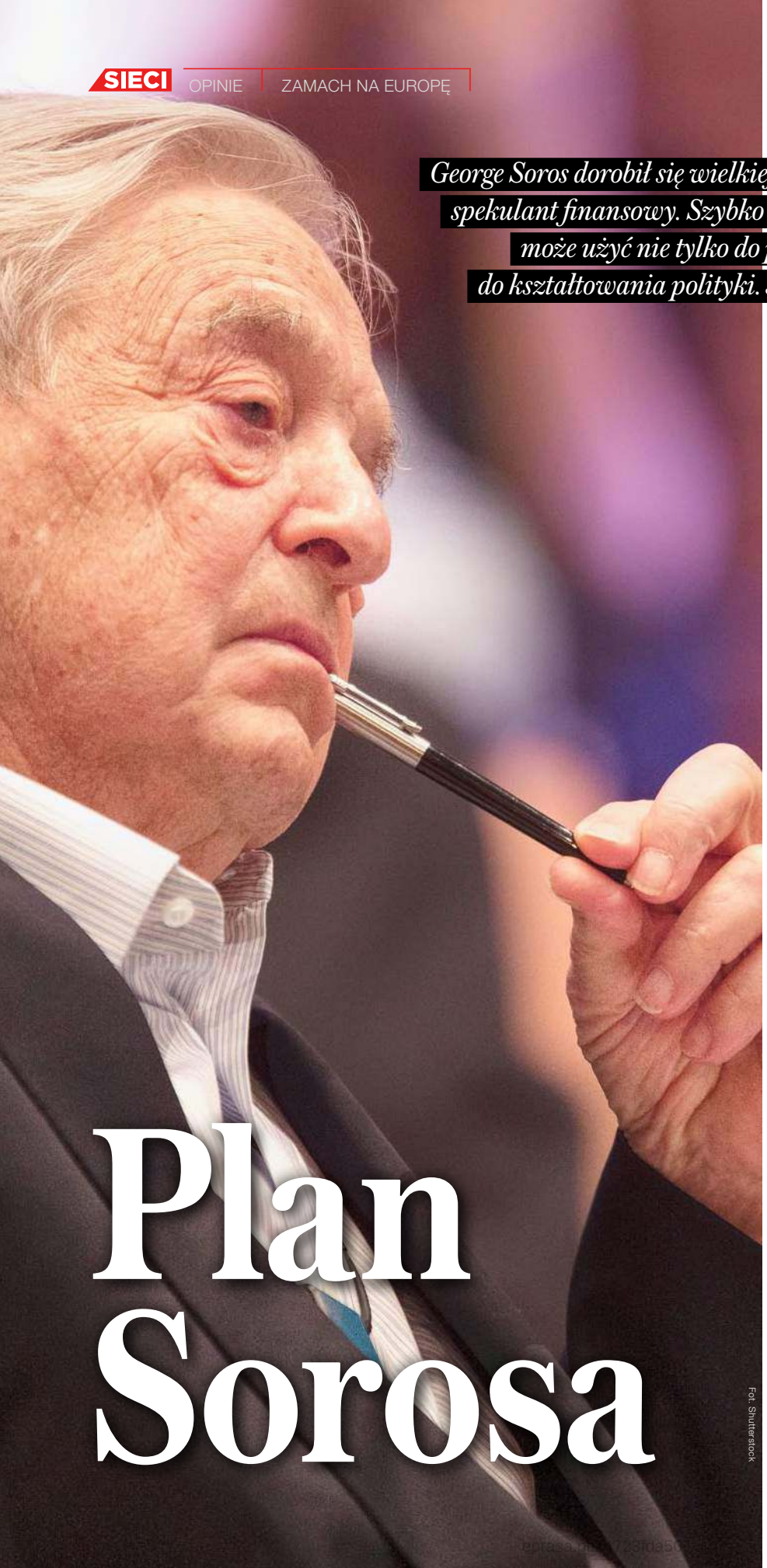
Pierwsza w prestiżowym konkursie zaistniała śpiewaczka Aleksandra Kurzak, zdobywając w 2015 r. nagrodę publiczności. W 2017 r. trofeum w kategorii „opera odkryta na nowo" przypadło „Goplanie" Władysława Żeleńskiego, wyreżyserowanej w TW-ON przez Janusza Wiśniewskiego.

Obdarzony pięknym tenorem lirycznym 51-letni Piotr Beczała triumfował teraz – po trzech nominacjach w latach poprzednich – w kategorii „śpiewak roku". W pokonanym polu zostawił renomowanych wokalistów: Günthera Groissböcka, Petera Matteia, Erica Owensa, Simone Miazzolę i Michaela Spyresa. Polski artysta z Czechowic-Dziedzic rodem, absolwent Akademii Muzycznej w Katowicach, karierę zaczynał w Linzu, rozwinął ją w Zurychu. Od 2009 r. jest gwiazdą Metropolitan Opera w Nowym Jorku, jednym z najbardziej rozchwytywanych solistów. W ostatnich sezonach krytyka doceniła spektakl w Dreźnie i nagranie „Lohengrina" Wagnera, gdzie Beczała kolejny raz śpiewa z Anną Netrebko. Na scenach krajowych artysta pojawia się nieczęsto, budząc zawsze zrozumiałe zainteresowanie. Ostatnio oklaskiwaliśmy go w 2017 r. w błyskotliwym recitalu w TW-ON z akompaniamentem Helmuta Deutscha. W tym roku ma ponoć znów wystąpić w stolicy, zaś w 2019 r. – Roku Moniuszki – w Wiedniu i Warszawie zaśpiewa partię Jontka w „Halce", reżyserowanej przez Mariusza Trelińskiego.

Treliński zdobył laur reżysera roku za drugim podejściem, wyprzedzając tak mocnych konkurentów jak David McVicar, David Bösch, Tobias Kratzer, David Hermann i Lydia Steier. „Traktujemy operę bardzo poważnie. Ten gatunek może zmienić świat" – powiedział dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, odbierając nagrodę w londyńskim Coliseum. 56-letni dziś reżyser po studiach w Łodzi odnosił sukcesy w filmie, ale szybko skupił się na operze. Jego głośna inscenizacja „Madame Butterlfy" w 1999 r. ze scenografią Borisa Kudlički w warszawskim Teatrze Wielkim zafascynowała Plácida Dominga. Legendarny śpiewak zaprosił Trelińskiego do prowadzonej przez siebie opery w Waszyngtonie, by tam zaprezentował swoją wizję dzieła Pucciniego. Sukces tej realizacji, rychło pokazanej także w Petersburgu, Walencji, Tel Awiwie, otworzył międzynarodową karierę Polaka. Jest on dziś stale obecny na wielkich scenach – od nowojorskiej Metropolitan Opera, berlińskiej Staatsoper, po Londyn, Paryż, Brukselę. To zmieniło także postrzeganie warszawskiego TW-ON, regularnie realizującego swoje spektakle w kooperacji ze znamienitymi operami i festiwalami. Tak będzie też zapewne z przewidzianą na 13 maja najnowszą premierą „Ognistego anioła" Prokofiewa w reżyserii Trelińskiego.

Jeśli już jesteśmy przy muzyce i scenie krajowej, podczas uroczystości wręczania nagród polskiego przemysłu fonograficznego w radiowym Studiu im. Lutosławskiego, Złotego Fryderyka za całokształt blisko 50-letniej kariery odebrała Agnieszka Duczmal – międzynarodowej sławy dyrygentka, założycielka Kameralnej Orkiestry Polskiego Radia „Amadeus". Złotego Fryderyka przyznano także Andrzejowi Dąbrowskiemu, legendarnemu perkusiście jazzowemu, wokaliście, fotografikowi i... kierowcy rajdowemu. Trzecim laureatem Złotego Fryderyka został (już pośmiertnie, niestety) Zbigniew Wodecki – niezapomniany wokalista, skrzypek, kompozytor, wytrwały krzewiciel pogody ducha.

eprasa.pl 24723fda50



Plan Sorosa

George Soros dorobił się wielkiej fortuny jako międzynarodowy spekulant finansowy. Szybko spostrzegł, że swoich wpływów może użyć nie tylko do pomnażania zysków, lecz także do kształtowania polityki. Jaki świat chciałby zbudować?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Założona przez George'a Sorosa Fundacja Otwarte Społeczeństwo (OSF), od lat niestrudzenie promująca liberalną wizję świata, ogłosiła niedawno, że zamierza zamknąć swoje biuro w Budapeszcie i przenieść się do Berlina. Jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, oznaczać to będzie, że pochodzący z Węgier Soros poniósł porażkę w batalii przeciwko premierowi Viktorowi Orbánowi, który od dawna zarzuca miliarderowi, iż pod przykrywką organizacji pozarządowych prowadzi polityczną wojnę z jego rządem i wspiera masowy napływ imigrantów do Europy. Nie są to bynajmniej zarzuty wyssane z palca.

WPUŚCIĆ IMIGRANTÓW

We wrześniu 2015 r., a więc w samym apogeum kryzysu migracyjnego, gdy morzem i lądem ściągały do Europy dziesiątki tysięcy imigrantów z Azji i Afryki, George Soros opublikował artykuł „Odbudowa systemu azylowego". Przedstawił w nim sześć punktów, które – jego zdaniem – powinny być natychmiast wdrożone w życie przez Unię Europejską. Jak wynika z ich treści, nie chodziło mu bynajmniej o zatrzymanie kryzysu, lecz o stworzenie stałych mechanizmów przepływu ludzi do Europy, które położą podwaliny pod nowy „globalny standard rozwiązywania problemów z masową migracją".

Jak ma wyglądać ten standard? Po pierwsze, UE powinna się zobowiązać do przyjmowania co roku przynajmniej miliona imigrantów i przeznaczyć na

Fot. Shutterstock

każdego z nich ze wspólnego budżetu 15 tys. euro (czyli 15 mld euro rocznie, co w 2015 r. stanowiło ok. 10 proc. unijnego budżetu). Kolejne 20 mld euro miało być przeznaczone na pomoc dla uchodźców znajdujących się w obozach na terenach Turcji, Libanu i Jordanii. W tych miejscach (oraz w Maroku i Tunezji) Soros proponował stworzenie specjalnych stref ekonomicznych, w których mogliby działać zagraniczni inwestorzy, dający miejsca pracy uchodźcom. Na potrzeby „krajów frontowych" zalecał przeznaczyć kolejne 8–10 mld euro rocznie ze wspólnotowego budżetu. W ten sposób suma rocznych kosztów obsługi kryzysu migracyjnego przez państwa UE miała sięgnąć 45 mld euro (czyli ok. 30 proc. budżetu Unii). Soros doradzał, aby dodatkowe środki na rzecz imigrantów pozyskać od prywatnych firm, kościołów oraz organizacji pozarządowych. Inaczej mówiąc, każdy miał ponieść koszty masowej imigracji.

W następnych punktach Soros zaproponował stworzenie wspólnego urzędu imigracyjnego oraz straży granicznej, odbierając te kompetencje krajom członkowskim. Domagał się też otwarcia bezpiecznych korytarzy, przez które imigranci mogliby bez trudu dotrzeć do krajów przeznaczenia.

Na koniec poddał miażdżącej krytyce premiera Węgier Viktora Orbána, zarzucając mu, że zamykając granice, poświęca on prawa imigrantów na rzecz źle rozumianego bezpieczeństwa, co stoi – jego zdaniem – w sprzeczności z wartościami, na których zbudowana jest Unia Europejska, i co musi doprowadzić do jej upadku.

Nic więc dziwnego, że Orbán, którego Soros od dawna nie znosił za jego prawicowy „populizm", stał się wrogiem numer jeden miliardera. Wrogiem, którego jak najszybciej należy odsunąć od władzy. A wraz z nim każdego, kto nie podzielał Sorosowej wizji postępowej, wielokulturowej Europy.

USTAWIĆ IZRAEL

Niektórzy twierdzą, że Soros osobiście przyczynił się do wywołania kryzysu migracyjnego, aby przyśpieszyć trwający od półwiecza cywilizacyjny rozkład Europy. On sam mówił kiedyś w wywiadach, że obawia się potęgi Niemiec i przejęcia tam władzy przez nacjonalistów. Być może sądzi, że zmiany kulturowe zmniejszają to ryzyko. Inni z kolei doszukują się w jego działaniach następnej okazji do zarobku. Nie należy oczywiście przeceniać możliwości Sorosa, ale faktem jest, że sprzyjał on tzw. arabskiej wiośnie, która na przełomie 2010 i 2011 r. doprowadziła do upadku kilka bliskowschodnich dyktatur. Arabska wiosna zamiast demokracji przyniosła jednak destabilizację całego regionu i całkiem dosłownie otworzyła drogę masowej imigracji do Europy.

> Soros chce stałego mechanizmu przyjmowania imigrantów. Do Europy miałoby trafiać przynajmniej milion ludzi rocznie, na co Unia wydawałaby 30 proc. swojego budżetu

W tym kontekście ciekawy jest konflikt między Sorosem a rządem Izraela. Z punktu widzenia Izraela niestabilna sytuacja w sąsiednim Egipcie oraz wojna w Syrii są poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że w gabinetach rządowych w Jerozolimie przyglądano się arabskiej wiośnie z niepokojem. Soros – ideologicznie obcy prawicowemu rządowi Netanjahu – ostro krytykował jego politykę. Ostatni spór wybuchł po zapowiedzi wydalenia z Izraela nielegalnych imigrantów (głównie z Sudanu i Erytrei). Netanjahu zarzucił Sorosowi, że finansuje kampanię oszczerstw przeciwko izraelskiemu rządowi (mowa o kwocie 837 tys. dol.), wykorzystując w tym celu działające w Izraelu organizacje pozarządowe.

Kampania ma rzeczywiście ostry przebieg, przeciwnicy Netanjahu twierdzą, że wydalenie imigrantów będzie dla Izraelczyków „plamą na DNA" i nie mogą oni siedzieć bezczynnie w obliczu polityki rządu. Netanjahu z kolei – jakby na złość Sorosowi – fraternizuje się publicznie z Orbánem.

Zaangażowanie Sorosa przeciwko Netanjahu współgra z ofensywą liberalnej lewicy, która chce doprowadzić do upadku prawicowego rządu i ogłoszenia przedterminowych wyborów. I choć nie ma dowodów na to, że Soros bezpośrednio wspiera opozycję w Izraelu, nie ulega chyba wątpliwości, iż z radością przyjąłby on jej zwycięstwo.

ZATRZYMAĆ NACJONALISTÓW

Netanjahu pozostaje w dość bliskich stosunkach z innym wrogiem Sorosa: Władimirem Putinem. Soros był dość aktywny w Rosji w czasach prezydentury Borysa Jelcyna. Współpracował z niektórymi oligarchami, np. inwestując wraz z Władimirem Potaninem podczas ustawionej prywatyzacji holdingu telekomunikacyjnego Swiazinwest w 1997 r. (jak sam twierdzi, stracił na tej inwestycji).

Przede wszystkim jednak Soros pamiętany jest w Rosji z tego, że w 1998 r. dał publicznie do zrozumienia, iż Kreml jest niewypłacalny, co przyśpieszyło krach finansowy i doprowadziło ostatecznie do załamania rządów Jelcyna. Nic dziwnego, że dziś nie jest tam mile widziany. Zwłaszcza jeśli dołoży się do tego obsesję Putina na punkcie „kolorowych rewolucji" na Ukrainie, w Gruzji i w Azji Środkowej, będących – w opinii prezydenta Rosji – jedynie przymiarką do pozbawienia go władzy. Putin podejrzewa, że Soros jest narzędziem amerykańskiego establishmentu, który za pomocą szczodrze finansowanych organizacji pozarządowych próbuje wywołać w Rosji tumult. Dowodzić miałyby tego poparcie Sorosa udzielone w 2003 r. Saakaszwilemu podczas tzw. rewolucji róż w Gruzji (potem Soros wycofał się ze wspierania gruzińskiego prezydenta) czy aktywność finansowanych przez miliardera organizacji w trakcie Majdanu na Ukrainie. Z tego

eprasa.pl 24723fda50

powodu Putin w 2015 r. zakazał organizacjom finansowanym przez Sorosa działalności na terenie Rosji.

Miliarder w wywiadzie udzielonym na początku tego roku brytyjskiemu dziennikowi „Financial Times" stwierdził, że przeżywa déjà vu. Jego zdaniem nacjonalizm, podobnie jak kiedyś komunizm, staje się dziś dominującą ideologią w świecie.

SKONTROLOWAĆ INTERNET

Aby skutecznie walczyć z widmem nacjonalizmu, Soros zaangażował środki w nowe przedsięwzięcie, którym jest fact-checking (weryfikacja faktów). Chodzi o internet, a zwłaszcza o media społecznościowe, w których roi się od fałszywych informacji. W tym celu Soros zdobył poparcie Komisji Europejskiej, która zobowiązała się w zeszłym tygodniu do wsparcia jego inicjatywy i podjęcia działań mających przeciwdziałać dezinformacji w sieci. Można się jednak spodziewać, że ów fact-checking będzie służyć również – o ile nie przede wszystkim – eliminacji z obiegu informacyjnego treści niepoprawnych politycznie, zwłaszcza tych, które w opinii pomysłodawcy mogą być uznane za „nacjonalistyczne".

Sam Soros nie gardzi niesprawdzonymi informacjami, jeżeli można dzięki nim uderzyć w przeciwnika. Podczas kampanii prezydenckiej w USA miał stać za wieloma kampaniami dezinformacyjnymi i protestami skierowanymi przeciwko Donaldowi Trumpowi. Zresztą chodziło nie tylko o politykę i ideologię. Demokraci, których Soros gorąco popiera, wspierali jego poczynania. W marcu 2017 r. ujawniono, że administracja Baracka Obamy przekazywała z budżetu dotacje dla lewicowych środowisk, którym patronował miliarder. Sześciu republikańskich senatorów oskarżyło fundację Sorosa o działania przeciw rządom niektórych państw sojuszniczych, a także o próby ingerowania w ich sprawy wewnętrzne (chodziło m.in. o Macedonię i Albanię). Soros – jak się zdaje – był dla demokratów wygodnym narzędziem w promowaniu liberalnej ideologii, kimś w rodzaju wodza „zielonych ludzików", których celem jest przenikanie do opiniotwórczych kręgów w „niedojrzałych" lub „nieprawomyślnych" państwach oraz wpływanie na ich politykę tak, aby spełniała postulaty zachodniej liberalnej lewicy.

WYPROMOWAĆ ABORCJĘ

O tym, że Soros potrafi to robić, świadczy przykład Irlandii. Latem 2017 r. wyszło na jaw, że miliarder za pośrednictwem OSF przekazał trzem organizacjom pozarządowym w Irlandii prawie 300 tys. euro na wspieranie kampanii na rzecz legalizacji aborcji. W Irlandii obowiązuje bowiem tzw. ósma poprawka do konstytucji, całkowicie zakazująca przerywania ciąży. Wieloletnie działania ruchów proaborcyjnych na rzecz odrzucenia tej poprawki przyniosły jednak efekt: 25 maja w Irlandii ma się odbyć referendum w sprawie legalizacji aborcji. Dotychczasowe sondaże wskazują, że większość Irlandczyków opowie się za dopuszczalnością przerywania ciąży w przypadku zagrożenia życia i zdrowia matki oraz w sytuacji, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu. Mniej prawdopodobne jest jednak to, aby w głosowaniu przeszła aborcja na życzenie.

> George Soros postrzega Irlandię jako poligon doświadczalny, na którym chce przetestować metody walki o liberalizację prawa aborcyjnego. Następna w kolejności byłaby zapewne Polska

Nic zatem dziwnego, że organizacje domagające się nieskrępowanego prawa do przerywania ciąży prowadzą coraz bardziej intensywną kampanię przeciwko ósmej poprawce. Jak wskazują irlandzcy działacze pro-life, w ostatnich trzech latach ruchy proaborcyjne otrzymały z zagranicy gigantyczne zastrzyki gotówki: oprócz Sorosa pokaźne dotacje przekazali m.in. amerykański milioner irlandzkiego pochodzenia Chuck Feeney, Fundacja Billa i Melindy Gatesów oraz Fundacja Forda. Tylko Irlandzka Rada na rzecz Wolności Obywatelskich (ICCL), która jeszcze kilka lat temu była marginalną organizacją z budżetem nieprzekraczającym 9 tys. euro, dysponuje dziś środkami powyżej 11 mln euro (!).

Wewnętrzne materiały OSF ujawnione w zeszłym roku przez DCLeaks wskazują, że George Soros postrzega Irlandię jako poligon doświadczalny, na którym chce przetestować metody walki o liberalizację prawa aborcyjnego. Obliczona na trzy lata strategia ma służyć nie tylko uchyleniu przepisów chroniących życie, lecz również promować w świecie aborcję jako „prawo reprodukcyjne". Zwycięstwo w Irlandii, a więc „państwie, gdzie obowiązują jedne z najbardziej restrykcyjnych przepisów antyaborcyjnych, wpłynie na pozostałe kraje katolickie, takie jak Polska, i dostarczy dowodu, że zmiany, nawet w najbardziej konserwatywnych społeczeństwach, są możliwe".

Z ujawnionych materiałów dowiadujemy się również, że szanse na zmiany w Irlandii zdecydowanie wzrosły po 2015 r., gdy we wcześniejszym referendum zalegalizowano tam małżeństwa homoseksualne, co dało „niepowtarzalną okazję, aby pchnąć do przodu kampanię" na rzecz legalizacji aborcji.

POGONIĆ PiS?

To nie tajemnica, że Soros od ćwierćwiecza aktywny jest również w Polsce. Niedawno zasłynął finansowym wsparciem dla przeżywającej kłopoty „Gazety Wyborczej". Nie jest też tajemnicą, że z jego pieniędzy współfinansowane są przedsięwzięcia środowisk liberalnych, ostro sprzeciwiających się polskiemu rządowi. Można się jedynie zastanawiać, w jakim stopniu zmniejszyłyby one swoją aktywność, gdyby nie były wspomagane przez miliardera.

eprasa.pl 24723fda50

Salto mortale

Rafał Matyja, autor hasła budowy IV RP, zamienił się w apologetę III RP i dołączył do chóru nieprzejednanych krytyków PiS



STANISŁAW JANECKI

Polscy politycy są oderwani od rzeczywistości, nic nie rozumieją, a nawet jeśli rozumieją, nic dobrego nie chcą zrobić. Zależy im jedynie na władzy dla władzy. A to, co robią, jest tylko pętaniem społecznych inicjatyw i zabijaniem w obywatelach ochoty do działania dla wspólnego dobra. To, co było dobre w III RP, czyli samorządy, jest teraz przez władze PiS mordowane w imię centralizacji. Polska polityka, w wydaniu zarówno Platformy Obywatelskiej, jak i Prawa i Sprawiedliwości (choć przez „straszne" rządy PiS mniej okropna wydaje się PO) to 5 × D: degrengolada, dekadencja, demolka, demobilizacja i doktrynerstwo. Taki obraz Polski w roku 2018 rysuje politolog dr hab. Rafał Matyja. Autor hasła budowy IV Rzeczypospolitej i wydanej niedawno książki „Wyjście awaryjne" udzielił kilku wywiadów i w nich potwierdza, że polscy politolodzy są jeszcze bardziej oderwani od rzeczywistości niż chłostani przez nich za to samo politycy. I są bezradni pojęciowo, metodologicznie, analitycznie. A ci, którzy kiedyś śpiewali solo, dołączyli do chóru totalnych krytyków dobrej zmiany.

NOWE PAŃSTWO KONTRA HYBRYDA PRL

W marcu 2018 r. w wywiadzie dla Onetu Rafał Matyja stwierdził: „W 2005 r. [Tusk i Kaczyński] wybrali konflikt", gdyż „stali się de facto zakładnikami swoich partii i ich interesów". Tyle tylko, że ten konflikt wybrał wyłącznie Donald Tusk, od początku udając, iż chce współpracować. Uważał, że przy minimalnej szansie stworzenia przez PiS koalicji bez PO może żądać wszystkiego, a na przyśpieszonych wyborach skorzysta. „Być może jest tak, że sprawczym politykom nie zależy na silnym rządzie lub uważają, że nie da się tego zrobić i szkoda tracić na to czasu" – mówi Matyja. Problemem jest to, że zarówno w latach 2005–2007, jak i po listopadzie 2015 r. czołowym politykom PiS zależy przede wszystkim na silnym rządzie. „Nie udało się zbudować sprawnie działającego państwa, które wie, dokąd zmierza" – narzeka Matyja. Ale państwo pod rządami PiS akurat wie, dokąd zmierza: do silnego, sprawiedliwego i obywatelskiego modelu, a nie quasi-oligarchii, która w funkcji pelargonii na parapecie ma różne „obywatelskie" paciorki, żeby mydlić oczy przeciętnym ludziom. I nie ma racji Matyja, że rządowi PiS brakuje „programu wzmocnienia prowincji". Taki program istnieje (to przecież koncepcja zrównoważonego rozwoju Mateusza Morawieckiego), lecz prowincją rządzą niemal niepodzielnie PO z PSL. Natomiast centrum robi dla tego wzmocnienia wyjątkowo dużo, przede wszystkim wydobywając wielu ludzi z biedy, przez co zaczynają mieć oni dostęp do dóbr i usług lewarujących ich pozycję w hierarchii społecznej, windujących ich aspiracje.

W lutym 2018 r. w wywiadzie dla magazynu Gazety.pl Matyja mówił, że w 2015 r. „Jarosław Kaczyński zakwestionował sposób rozumienia państwa, prawa i sprawiedliwości ukształtowany w pierwszym ćwierćwieczu III RP". Lider PiS kwestionował to, dokąd ustrojowo zmierzała III RP już w latach 90., a potem po przejęciu władzy w 2005 r. Czyli kwestionował III RP, gdyż nie stała się „nowym państwem", lecz hybrydą późnej PRL. I jako taka funkcjonowała aż do 2015 r., choć oczywiście po drodze ewoluowała. A w PiS (wcześniej w PC) idea „nowego państwa" była zawsze fundamentalna. Sam Matyja mówił zresztą w wywiadzie dla „Polska The Times" (w marcu 2018 r.): „My po prostu nigdy do końca nie zbudowaliśmy nowoczesnego państwa". Skąd więc zdziwienie, że mając samodzielną większość w parlamencie, PiS zabrało się do tworzenia „nowego państwa"? Nie jest więc tak, że „w działaniach PiS" nie ma „żadnej doktryny". Ona istnieje. I to właśnie doktryna „nowego państwa". Matyja uważa, że „nawet nienaprawione, słabe państwo może mieć dobre instytucje". Tyle że nienaprawiane, słabe państwo powoduje, iż słabe są instytucje, a na ich wzmocnienie bez zasadniczego „pchnięcia" można czekać kilkadziesiąt lat i się nie doczekać.

CHOROBA KLIENTELIZMU

Matyja twierdzi, że „obecny kształt sceny politycznej jest rezultatem [...] »wojny na górze« między PO a PiS oraz »wojny na dole« między dwoma powstałymi w cieniu tej wojny odłamami aktywnego politycznie społeczeństwa. Przedstawienie jej jako jednej wojny: społeczeństwa z elitami, tych, co są na dole, z tymi, co na górze, jest kłamstwem założycielskim dobrej zmiany". Jak na doświadczonego politologa mamy tu zaskakujące pomieszanie z poplątaniem. Termin „wojna na górze" odnosił się do jednego obozu, natomiast od początku lat 90., a potem wyborów w 2005 r. widać, że nie ma żadnego jednego obozu, a cele rządów PO są diametralnie różne od celów władzy PiS. Mamy więc nie dwie wojny, lecz wciąż jeden fundamentalny konflikt. Jednym chodzi o to, „żeby było tak, jak było", drugim o to, „żeby nie było tak, jak było". I nie

eprasa.pl 24723fda50



ma problemu walki społeczeństwa z elitami, ale obecne elity, których nie wyłoniła normalna konkurencja, tylko zrobiły to różne kontrakty, nie chcą dopuścić do zmiany sposobu wyłaniania elit, żeby mogły „na zawsze" zachować swój uprzywilejowany status.

„System zarządzania państwem jest w tej chwili zorientowany na jedną osobę, która rozdaje dobra" – twierdzi Matyja. Skoro Kaczyński i generalnie władza tylko „rozdają dobra", to jedyną filozofią rządzenia jest klientelizm, który „stał się w Polsce wzorem uprawiania polityki". I klientelizm jest nawet gorszy od korupcji, gdyż ma znacznie większy zasięg. Taka sytuacja ma „fatalny wpływ na cały organizm społeczny: młodzi ludzie nie widzą dla siebie miejsca w polityce, nie znajdują w tym przygody. […] W początkach transformacji spora część polityki była intrygująca". Tyle tylko, że nic w polskiej polityce nie było tak ustawione jak początki transformacji, czyli owa mityczna przygoda. Owszem, to była przygoda, ale dla sprytnych kacyków z PZPR i sojuszniczych partii, dla ubeków i ich najcenniejszych agentów, dla wykreowanych przez tajne służby biznesmenów, którzy pierwsi wiedzieli o okazjach nadzwyczajnego bogacenia się. To nie była żadna romantyczna przygoda, tylko ustawka i selekcja po uważaniu. Obecnie wchodzący na rynek młodzi ludzie mają znacznie większe szanse normalnego i uczciwego uczestnictwa w rynkowej konkurencji niż na początku transformacji, gdy sukces bez „wsparcia i asysty" trzeba było okupić wręcz katorżniczą pracą.

W ostatnich trzech latach PiS wykazało „ogromną nieufność wobec samorządu, wobec korpusu urzędników" – twierdzi Rafał Matyja. Było jednak odwrotnie: to samorządy rządzone przez PO i PSL lub lokalne koalicje nie chciały zauważyć i uznać, że PiS wygrało wybory parlamentarne. A „korpus urzędników" w większości zwycięzców wyborów bojkotował, czekając, aż ich władza się skończy. „W wymiarze ustrojowym udał się w Polsce samorząd" – mówił Matyja pod koniec kwietnia 2018 r. magazynowi świątecznemu „Gazety Wyborczej". Czyli samorząd się udał, a władza centralna to porażka, bo psuje ją partyjny klientelizm. Owszem, istnieje centralny, partyjny klientelizm, ale jest on najłatwiej i najbardziej z wszystkich odmian kontrolowany, a przez to piętnowany i ograniczany. Natomiast słabo kontrolowany, a przez to wręcz powszechny, jest klientelizm samorządowy. I on bywa oczywiście partyjny, ale najczęściej jest klientelizmem zasiedziałych od lat lokalnych sitw. A one nie mają w sobie nic z romantyzmu pionierów, nie są przygodą, lecz stały się patologią w klinicznej postaci. I to odstręcza młodych od polityki, to zachęca, a często zmusza, do emigracji, powoduje zniechęcenie.

KTO BĘDZIE SIEDZIAŁ?

W marcu 2018 r. w wywiadzie dla „Polska The Times" Matyja stwierdził, że „w poprzedniej fazie gra między Tuskiem a Kaczyńskim była grą na rozwścieczenie, ot, by tego przeciwnika doprowadzić do furii. Dziś przekaz obu stron brzmi jasno: będą siedzieć! Przekaz PO brzmi jasno: będziecie siedzieć!". PiS się tym nie zajmuje, bo mając władzę, sprawy odpowiedzialności, także karnej, musi zostawić organom ścigania i sądom. Oczywiście propaganda PO głosi, że to PiS ściga, zatrzymuje i sądzi, jednak to odpowiednie instytucje robią takie rzeczy, a kontrola sądowa nie została niczym ograniczona, i to mimo prób wmówienia Polakom, iż PiS w jednej chwili „przekręciło" niezawisłych sędziów w zawisłych.

Matyja załamuje ręce nad „stratami nie do odrobienia w krótkim czasie […] na poziomie rodzin, przyjaźni". Mówi o „zerwanych kontaktach, znajomościach" i że to „prawdziwa zbrodnia, za którą odpowiedzialność ponosi Kaczyński". Przez ponad trzy czwarte trwania III RP ci, którzy utożsamiają się z Jarosławem Kaczyńskim, byli wypychani z debaty publicznej, piętnowani, stygmatyzowani, obrażani, wykpiwani, dyskryminowani, a Rafał Matyja mówi, że to wina Kaczyńskiego, iż porobiły się podziały. Porobiły się, ale miały realne przyczyny. Jeśli te przyczyny ustaną, wiele podziałów zniknie. Nie ma więc powodu do dramatycznego rozdzierania szat. Nie warto przyjmować punktu widzenia tych, którym wali się ich dotychczasowy, uprzywilejowany świat. Jeśli to była ta wielka wartość, o którą trzeba drzeć szaty, to mamy jakieś grube nieporozumienie.

REKLAMA



eprasa.pl 24723fda50

Wojenny blef Trumpa

Napędzając pacyfistycznie nastawionemu światu strachu przed wojną, jaką już za chwilę gotów jest wywołać, Trump uzyskał efekt niepewności w tej materii u samego Kima, a także u wspierających go komunistów chińskich



JAN ROKITA

Myślę, że nasze spotkanie dojdzie do skutku w ciągu trzech–czterech tygodni" – mówił niedawno Donald Trump podczas republikańskiego wiecu w stanie Michigan, zapowiadając w ten sposób swoją konferencję na szczycie z północnokoreańskim tyranem Kim Dzong Unem. Po czym dodawał: „To będzie niezwykle ważne spotkanie, bo chodzi w nim o denuklearyzację Półwyspu Koreańskiego". W reakcji na te słowa tłum zaczął skandować: „Nobel, Nobel!", domagając się pokojowej nagrody dla prezydenta. Wygląda na to, że przeciętni Amerykanie przywiązują chyba zbyt wielkie znaczenie do tego sławnego, ale zdeprawowanego ostatnimi czasy lauru. Niemniej jednak faktem pozostaje, że to, co już się zdarzyło na Półwyspie Koreańskim, jest niebywałym sukcesem globalnej strategii Trumpa, niezależnie od wszystkiego, co może się tam stać jeszcze dalej. A gdyby Trumpowi udało się naprawdę zmusić totalitarny reżim Korei Północnej do denuklearyzacji, to w kategoriach realnej polityki efekt taki byłby zaiste wyczynem. Co prawda większość światowych analityków i mediów zachowuje w tej materii daleko idący sceptycyzm, co z jednej strony jest oznaką zdrowego politycznego realizmu, ale z drugiej – także przejawem rozpowszechnionej wrogości światowych mediów wobec Trumpa, za którą idzie niezdolność do uznania jakichkolwiek sukcesów prowadzonej przez niego polityki.

TEATR W PANMUNDŻOMIE

Mowa Trumpa w Michigan została wygłoszona dzień po tym, jak w piątek 27 kwietnia Kim Dzong Un przybył do wioski Panmundżom na spotkanie z demokratycznym prezydentem Korei Południowej Mun Dze Inem. Panmundżom to miejsce słynne i często pokazywane w telewizji, nie tylko dlatego, że to tutaj w 1953 r. zawarto rozejm w krwawej wojnie koreańskiej, lecz przede wszystkim z racji widowiskowego teatru absurdu, jaki od dziesięcioleci rozgrywa się w tym miejscu na oczach zaciekawionych i podnieconych reporterów. Między dwoma stojącymi naprzeciw siebie niebieskimi, podłużnymi barakami ustawiono tu graniczny pasek betonu, szeroki na 15 cm, do którego od lat podchodzą z dwóch stron uzbrojeni po zęby wartownicy obu Korei, by stojąc nos w nos naprzeciw siebie natrętnie patrzeć sobie w oczy albo zaciskać pięści na



Fot. Korea Summit Press Pool via AP

eprasa.pl 24723fda50



Spotkanie przywódcy Korei Północnej Kim Dzong Una z prezydentem Korei Południowej Mun Dze Inem na granicy ich państw

znak wrogości i pogardy. A obie strony czekają tylko, aby któraś ze stron nadepnęła na ów kawałek betonu, wywołując natychmiast kryzys międzynarodowy. To właśnie tę surrealistyczną granicę po raz pierwszy od tamtej wojny przekroczył teraz tyran z Północy, a wcześniej – jako szczególny znak nowych czasów – za rękę przeprowadził parę kroków na północ prezydenta demokratycznego południa. Po czym próbując być dowcipnym, w obecności mediów zapewnił Muna, że od dzisiaj „nie będzie psuć mu snu swoimi rakietami".

Ten cały teatr, jaki odbył się w Panmundżomie ma jakieś, ale bynajmniej nie kluczowe, znaczenie, chociaż to on przykuł uwagę całego świata. Jeśli faktycznie dojdzie wkrótce, tak jak zapowiedzieli to zgodnie Kim wraz z Munem, do negocjacji traktatu pokojowego, kończącego po 65 latach wojnę koreańską, to surrealistyczna atrakcja z Panmundżom może za jakiś czas zniknąć, choć zapewne nie zniknie mocno strzeżona po północnej stronie granica. Deklaracje szefów obu Korei, iż teraz będą oni dążyć do likwidacji broni jądrowej na obszarze całego półwyspu, są na razie całkowicie blankietowe. Prezydent Mun, choć jego pacyfistyczne zamiary są bez wątpienia szczere, tym bardziej że w końcu jest on przywódcą koreańskiej lewicy, nie jest bowiem dla Kima realnym partnerem do dyskusji na ten temat. Okrutny tyran z Pjongjangu dąży dziś bowiem do tego, aby zyskać polityczne uznanie nie od swojego partnera z Seulu, ale od Waszyngtonu. Dla chełpliwego i butnego Kima podstawową ceną, jaką chce uzyskać za swoje pokojowe gesty czy ustępstwa, jest uznanie jego suwerenności, władzy i autorytetu przez równie megalomańskiego przywódcę pierwszego mocarstwa świata. Przez tego samego Donalda Trumpa, który dopiero co nazywał go w swoich tweetach „niewątpliwym szaleńcem z przyjemnością głodzącym i mordującym ludzi" oraz groził mu w razie konfliktu „zniszczeniem reżimu i zagładą całego narodu". Tylko spektakularne uznanie ze strony Trumpa może teraz pozwolić Kimowi uzasadnić jakiekolwiek ustępstwa przed swoimi własnymi poddanymi, utrzymywanymi przez lata w stanie patologicznej, zbiorowej nienawiści do Ameryki.

Denuklearyzację Korei obiecał już zresztą raz partnerom z południa dziad obecnego tyrana – słynny Kim Ir Sen. W 1991 r. za obietnicę nierozwijania własnych programów nuklearnych udało mu się wtedy skłonić Seul do poproszenia Amerykanów o wycofanie z południa własnej broni jądrowej, która stacjonowała tam w latach zimnej wojny. Działo się to wszystko za prezydentury George'a Busha seniora, a globalna atmosfera tamtego czasu była taka, iż na świecie spodziewano się już tylko dalszych i nieuchronnych postępów idei wolności i demokracji. Komunistyczna północ nigdy nie dotrzymała tamtych zobowiązań, a południe i Amerykanie zostali po prostu ograni jak dzieci. Ambicją Kim Dzong Una, odkąd w 2012 r. objął pełnię władzy, stało się jak najszybsze wyprodukowanie nie tylko broni jądrowej, lecz także rakiet dalekiego zasięgu, zdolnych do przenoszenia jej na terytorium USA. Nie jest do końca jasne, na ile mu się to udało. Po kilku próbnych wybuchach jądrowych, a zwłaszcza po ubiegłorocznych spektakularnych próbach z rakietami dalekiego zasięgu, świat został jednak przekonany, że Kim jest zdolny do atomowego ataku nie tylko na Koreę Południową czy Japonię, lecz także na terytorium Ameryki. Taki pogląd ugruntowali sami wojskowi amerykańscy, przyznając, że wedle ich opinii możliwości techniczne Kima są autentyczne. Ale w ostatnim czasie z Korei Północnej nadchodziły, jak zwykle nie do końca pewne, wiadomości o poważnych technologicznych niepowodzeniach programu militarnego, a nawet o jakiejś wielkiej katastrofie na głównym koreańskim poligonie atomowym.

TRUMP WYMUSZA SOLIDARNOŚĆ

O ile niemal cały zachodni świat przestraszony bombami i rakietami Kima chciał się natychmiast jakoś dogadywać z tyranem, o tyle Trump na przekór wszystkim postawił na zaostrzenie konfliktu. Osobiście uruchomił wielką kampanię gróźb wobec Kima, stwarzając w ciągu 2017 r. takie wrażenie, że już za chwilę, w reakcji na kolejną próbę jądrową, wyda rozkaz zbrojnego ataku

eprasa.pl 24723fda50

na Koreę. W październiku ubiegłego roku renomowany Royal United Services Institute, uznając, że „wojna jest wielce prawdopodobna", ogłosił raport na temat tego, jak będzie ona wyglądać. Wedle angielskich naukowców Trump miał planować podjęcie uderzenia prewencyjnego na Koreę, polegającego na „zmasowanym ataku z powietrza i morza, wspieranym przez skrycie rozmieszczonych w Korei komandosów". Nie mogłoby to być „uderzenie chirurgiczne, ale trwające długo i szeroko zakrojone". Wziąwszy pod uwagę koreański odwet (nawet gdyby nie był on nuklearny), oznaczać to będzie (jak konkludowali uczeni) „dziesiątki tysięcy ofiar w Korei Południowej i Japonii, miliony uciekinierów i zawał 1/3 części światowej gospodarki". Dla atmosfery z jesieni 2017 r. ton owego raportu był bardzo typowy. Przez światowe, a także polskie media przeszła fala opatrzonych czerwonymi nagłówkami komentarzy na temat możliwej katastrofy, której winien będzie psychopatyczny szaleniec, jakim jest...bynajmniej nie tyran z Pjongjangu, ale konserwatywny lokator Białego Domu. Antytrumpowa nagonka osiągnęła wtedy swoje apogeum.

Rzecz jasna amerykański prezydent, obsadzony w roli podżegacza wojennego, zapłacił za to sporą wizerunkową cenę. Ale w realnej polityce udało mu się coś, co zazwyczaj jest trudno osiągalne. Napędzając pacyfistycznie nastawionemu światu strachu przed wojną, jaką już za chwilę gotów jest wywołać, uzyskał przy okazji co najmniej efekt niepewności w tej materii u samego Kima, a także – co może ważniejsze – u wspierających go komunistów chińskich. Twarde sankcje, jakie kilkakrotnie zaostrzała ONZ, byłyby niczym, gdyby nie rozpoczęta w październiku 2017 r. chińska blokada energetyczna Korei Północnej, z żądaniem zatrzymania przez Kima programu rakietowego i jądrowego. Poza incydentalnymi dostawami paliwa lotniczego Pekin zablokował dostawy węgla i ropy do Korei, a prasa południowokoreańska donosiła zimą o prawdziwym załamaniu energetycznym kraju. Co więcej, organizacje międzynarodowe (m.in. UNICEF) ogłosiły, iż w Korei Północnej rozpoczyna się fala głodu, która może się okazać podobna w skutkach do tej, która w latach 1995–1999, za panowania ojca Kima, zabiła co najmniej kilkaset tysięcy Koreańczyków (a są też analizy mówiące o dwóch milionach). Wymuszona groźbami Trumpa solidarność niemal całego świata musiała sprawić w Pjongjangu duże wrażenie, zwłaszcza od czasu, gdy chińskie media (znane z tego, że są tubą dla ważnych, choć nieoficjalnych komunikatów władz) zaczęły otwarcie twierdzić, iż wojna amerykańsko-koreańska nie będzie powodem do militarnego zaangażowania Chin, które raczej będą się jej przypatrywać. Jeśli do tego faktycznie dołączyły się jakieś niepowodzenia technologiczne programu nuklearnego Kima, musiała to być presja, jakiej nie był on w stanie sprostać. Raz jeszcze potwierdziła się stara i brzydka prawda o polityce, iż okrutnych tyranów można zmusić choćby do częściowej uległości tylko szantażem i wiarogodną (to jest rzecz kluczowa) groźbą militarnego zniszczenia. Strach przed wojną, jaki udało się wywołać Trumpowi w całym świecie, sprawił, że jego blef nabrał cech wiarogodności.

> Okrutny tyran z Pjongjangu dąży dziś do tego, aby zyskać polityczne uznanie nie od swojego partnera z Seulu, ale od Waszyngtonu

KIM SIĘ COFNIE?

To oczywiście nie znaczy, że denuklearyzacja Korei jest przesądzona, a Kim zacznie ewoluować w stronę bardziej umiarkowanego, chińskiego modelu tyranii. Dopiero co świat obiegły spóźnione doniesienia o egzekucjach, jakich dokonano w Korei na kilku osobach skazanych na śmierć za próbę wywiezienia do Chin koreańskiej książki telefonicznej. Jakaś forma uznania dla koreańskiego tyrana musi niestety być ceną za to, aby przestał on być groźny dla świata zewnętrznego. Trumpowi, który nie jest szczególnie pryncypialnym wyznawcą idei praw człowieka, przyjdzie to bez wielkiej trudności, a Kim – może się nawet wkrótce okazać uroczym i lubianym przezeń rozmówcą. Prawdziwie wielkim pytaniem jest dziś to, czy wynikiem spodziewanych osobistych rozmów Trumpa z Kimem oraz rozpoczętych już de facto szerszych negocjacji między Waszyngtonem a Pjongjangiem stanie się układ o wyrzeczeniu się przez Kima broni nuklearnej. W przeciwieństwie do swojego dziada Kim podejmując taką decyzję, wyrzec się musi bowiem nie Niderlandów, ale realnej broni, w której powstanie zainwestował cały swój polityczny kapitał.

Zapewne nie zrobi tego bez amerykańskiego zobowiązania do poważnej pomocy gospodarczej, ale przede wszystkim bez uznania go za suwerena, władcę i partnera USA. Ale co najmniej jeden niezwykły fakt każe przypuszczać, że Kim na serio myśli o takiej transakcji. W święta wielkanocne (o czym dowiedzieliśmy się dopiero niedawno) Kim przyjął w ścisłej tajemnicy ówczesnego szefa CIA Michaela Pompeo, któremu miał dać zgodę na... inspekcję amerykańskiego wywiadu na koreańskich poligonach jądrowych i w fabrykach rakiet. To tamto tajne spotkanie w Pjongjangu, a nie ubiegłotygodniowy teatr w Panmundżomie, było prawdziwym politycznym przełomem. Teraz, gdy Pompeo został właśnie zatwierdzony jako nowy szef amerykańskiej dyplomacji, Amerykanie świadomie wypuścili przeciek kilku zdjęć z tamtego spotkania, na których nie widać wprawdzie żadnych „politycznych krotochwili", ale dwóch nieco nawet zasępionych polityków, którzy właśnie skończyli negocjacje. Na taki krok jak zgoda na inspekcję wywiadu USA na tajnych poligonach koreańskiego reżimu nie godziłby się tyran traktujący wielką zmianę swojej strategii jedynie jako udawaną prowokację. Niewykluczone zatem, że wojenny blef Trumpa wobec Kima może wkrótce przynieść efekty, jakich nie sposób było się spodziewać jeszcze chwilę temu.

eprasa.pl 24723fda50



Na co komu tron?

Fot. AP Photo/Matt Dunham

Rodzina królewska to wciąż główna „marka promocyjna" Wielkiej Brytanii. Mimo ogromnych kosztów utrzymania, które generuje. I nigdy nie była tak potrzebna jak teraz, w obliczu Brexitu. Królowa Elżbieta II to w końcu symbol stabilności i ciągłości państwa, a Wspólnota Narodów (Commonwealth), której przewodniczy, to – wydaje się – cenna alternatywa dla wspólnego europejskiego rynku. Tylko czy kolejne pokolenie monarchów spełni nadzieje, które się w nim pokłada?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Brytyjska rodzina królewska to bez wątpienia najpopularniejsza monarchia na świecie. Media żyją doniesieniami o romansach, skandalach, nowych potomkach królewskiego rodu. Narodziny kolejnego royal baby, czyli trzeciego dziecka księcia Williama i księżnej Kate 23 kwietnia br., skutecznie przyćmiły zacięty bój o życie dwuletniego Alfiego Evansa, toczący się w tym samym czasie w szpitalu w Liverpoolu.

Przeciwnicy monarchii, do których należy szef Partii Pracy Jeremy Corbyn (odmawia on nawet odśpiewania hymnu, bo pada w nim zwrot: „God, save the Queen"), wskazują na wysokie, i przy tym stale rosnące, koszty jej utrzymania. Roczne wynagrodzenie królowej zostało zwiększone w 2017 r. o 25 proc., do 82,2 mln funtów, by pokryć koszty remontu pałacu Buckingham, który może pochłonąć na przestrzeni najbliższych lat nawet 150 mln funtów. W ubiegłym roku Elżbieta II wydała ponadto 4,5 mln funtów na podróże. Pozostali członkowie rodziny królewskiej zaś – według oficjalnych wyliczeń – wydali ok. 43 mln funtów na jedzenie, ubrania, podróże, biżuterię i prywatne szkoły dla swojego potomstwa. To o 57 proc. więcej niż jeszcze pięć lat temu.

Jak twierdzi skarbnik Elżbiety II sir Alan Reid, to może się wydawać dużo, ale tak naprawdę rodzina królewska kosztuje w przeliczeniu na każdego mieszkańca Wielkiej Brytanii zaledwie ok. 65 pensów rocznie. Tyle, ile przeciętny znaczek pocztowy. „Uważam, że biorąc pod uwagę to, co królowa robi i jej rozpoznawalność, stanowi to doskonały stosunek wartości do ceny" – podkreślił sir Alan Reid w rozmowie z BBC. Według niego od czterech lat królowa, jej mąż książę Filip i syn książę Karol dostają pieniądze jako procent od zysków z dóbr królewskich (crown estate), do których zalicza się liczne nieruchomości, i częściowo płacą podatki fiskusowi.

Republikanów te tłumaczenia nie satysfakcjonują. Twierdzą, że te

eprasa.pl 24723fda50

wykazywane skromne nakłady publiczne na monarchię są dramatycznie zaniżone. Organizacja Republic, która lobbuje za zniesieniem monarchii, przedstawiła w marcu br. swoje własne przeliczenia, z których wynika, że koszt monarchii wynosi tak naprawdę aż 345 mln funtów rocznie. Czyli każdy z Windsorów pochłania co roku z kieszeni podatników ok. 19 mln funtów. „Są to pieniądze wydane na uprzywilejowany styl życia rozpuszczonej garstki ludzi, która powinna się sama utrzymać. Te pieniądze można by wydać na potrzebujących, choćby bezdomnych lub zatrudnić tysiące lekarzy, nauczycieli czy pielęgniarek" – oświadczył szef organizacji Graham Smith. Według niego pożytek z „opery mydlanej Windsorów" mają jedynie tabloidy.

OCIEPLENIE BREXITU

Spór o koszt monarchii ciągnie się na Wyspach od lat i niektórych Brytyjczyków wybryki royalsów szczerze irytują. 68 proc. obywateli jest jednak, według sondaży, za zachowaniem monarchii. I nie bez powodu. Koszty to bowiem jedno, a zyski, jaka monarchia przynosi, to drugie. Rodzina królowej Elżbiety II to rocznie ok. 1,8 mld funtów zysku dla kraju. Tak wynika przynajmniej z raportu firmy Brand Finance Research, która zajmuje się badaniem wartości globalnych marek. Wartość marki brytyjskiej rodziny królewskiej wynosi obecnie 67,5 mld funtów. Chodzi przy tym nie tylko o majątek, jaki zgromadzono – nieruchomości, dzieła sztuki czy klejnoty koronne (wycenione na 25 mld funtów), lecz również o wizerunek monarchii i jej członków, których działalność na rzecz kraju pozytywnie wpływa na jego postrzeganie. Rodzina królewska przyciąga inwestycje biznesowe oraz turystów, wpływa na handel, który w ten sposób przynosi o 150 mln funtów rocznie więcej, niż gdyby nie pielęgnowano tradycji królewskiego rodu. Obliczono, że tylko sama turystyka na rodzinie królewskiej zyskuje ok. 550 mln funtów rocznie. Zyski z wizerunku królowej i następców tronu czerpią także firmy prywatne, które są powiązane z pałacem Buckingham, choćby Aston Martin. To dla nich nawet o 190 mln funtów więcej w ciągu roku. Tylko księżna Kate zasila branżę mody kwotą 200 mln funtów rocznie.

Szczególnie ważna wydaje się rola Windsorów w obliczu Brexitu. Wielka Brytania – jak twierdzą media nad Tamizą – bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje dziś ocieplenia wizerunku. Wskazują przy tym na to, że Elżbieta II jest głową państwa Zjednoczonego Królestwa i odgrywa ważną, choć subtelną rolę rządową. „Królewskie i reprezentatywne władze mają ważne uzupełniające się funkcje. Książka Waltera Bagehota z 1867 r. pod tytułem »Konstytucja angielska« znakomicie analizuje »efektywne funkcje parlamentu« i »godne funkcje« monarchii" – pisze na łamach portalu Fowler Tribune brytyjski politolog Arthur I. Cyr. Według niego parlament zarządza rządem. A monarchia spełnia ceremonialne funkcje narodu, izolując instytucje państwowe od pasji polityki partyjnej. Na tym polega jego zdaniem jej wartość i dlatego wciąż cieszy się ona taką popularnością. Ociepleniu wizerunku Zjednoczonego Królestwa oraz przygotowaniu gruntu pod bilateralne umowy po Brexicie służyło m.in. niedawne tournée po Europie księcia Williama i księżnej Kate, podczas którego odwiedzili także Polskę, gdzie miało zostać poczęte kolejne, trzecie royal baby.

Od trudnych negocjacji w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej skutecznie odwróci zapewne także uwagę ślub księcia Harry'ego z Meghan Markle, choćby dlatego, że przyszła żona księcia pochodzi, podobnie zresztą jak księżna Kate, z ludu, jest starsza od niego, jest katoliczką, a na dodatek rozwódką. Ponadto toczy spór z własnym ojcem, publicznie piorąc rodzinne brudy, a jako aktorka zasłynęła z rozbieranych scen. Nie wiadomo więc, czy królowa będzie obecna na ślubie wnuka 19 maja, czy go zignoruje, podobnie jak zignorowała ślub księcia Karola z Camillą Parker-Bowles. Nic lepszego tabloidom się zapewne w tym roku nie trafi. A Brytyjczycy odetchną z ulgą po trzech latach naznaczonych referendum w sprawie Brexitu i dwukrotnymi wyborami parlamentarnymi. Na tle tych ostatnich wydarzeń Windsorowie, mimo ciągnących się za nimi skandali, jawią się jako ostoja stabilności. Elżbieta II przetrwała w czasie swojego panowania 13 premierów, podczas gdy rząd Theresy May wydaje się stale chwiać w posadach. Jak twierdzi brytyjska publicystka Kate Maltby: „Brytyjczycy są dziś niepewni swojej pozycji w świecie". „Co będzie po Brexicie? Jaki koszt trzeba będzie ponieść? Z kim zawiązać sojusz? Wyślijmy kogoś z rodziny królewskiej. To otworzy wszystkie drzwi – oto głębokie przekonanie panujące wśród elit nad Tamizą" – twierdzi Maltby. William i Kate, Meghan i Harry może nie posiadają realnej władzy, ale emanują soft power, potrafią oczarować świat. To dlatego książę Harry tuż po referendum w sprawie Brexitu odwiedził Niemcy, gdzie zapewniał kanclerz Angelę Merkel, że partnerstwo między Berlinem a Londynem „będzie trwało bez względu na okoliczności". Windsorowie królują w mediach. Każdy chce być fotografowany obok księżnej Kate na łamach pisma „Vogue". Wszyscy zachwycają się małą księżniczką Charlotte i małym księciem George'em. A Wielka Brytania potrzebuje dziś przyjaciół w Europie i na świecie. Bardziej niż kiedykolwiek.

KRÓL KAROL I COMMONWEALTH

Pytanie, czy to wystarczy, by zapewnić Zjednoczonemu Królestwu miękkie lądowanie po Brexicie. Tu także zdania są podzielone. Tym bardziej iż Brytyjczycy kochają Elżbietę II (obrazuje to wielka popularność serialu „The Crown"), a za księciem Karolem niespecjalnie przepadają. A to jego królowa wyznaczyła na swojego następcę 20 kwietnia br. podczas szczytu prezydentów i premierów Wspólnoty Narodów (Commonwealth), złośliwie nazywanej przez „Guardiana" 80-letnią instytucją opartą na nieistniejącym już imperium, „utrzymującą się wyłącznie dzięki osobistemu urokowi 92-letniej kobiety". Cokolwiek bądź królowa przyznała na szczycie, że jej szczerym życzeniem jest, by Wspólnota utrzymała stabilność i ciągłość dla kolejnych pokoleń. A to oznacza, że będzie potrzebowała silnego przywódcy. Tym przywódcą zdaniem królowej ma być jej syn – Karol. Zgasiło to nieco entuzjazm zwolenników Brexitu, którzy

eprasa.pl 24723fda50


Fot. Isaaack/Shutterstock.com

Ociepleniu wizerunku Zjednoczonego Królestwa oraz przygotowaniu gruntu pod bilateralne umowy po Brexicie służyło m.in. niedawne tournée po Europie księcia Williama i księżnej Kate, podczas którego odwiedzili także Polskę, gdzie miało zostać poczęte kolejne, trzecie royal baby

widzą w Commonwealcie realną alternatywę dla wspólnego europejskiego rynku i liczą na wyrównanie choćby po części spodziewanych strat w handlu. A raczej liczyli, bo księcia Karola mało kto na Wyspach widzi z koroną na głowie. Następca tronu to czołowy skandalista rodu Windsorów, jeszcze bardziej ekscentryczny od jego ojca księcia Filipa, który kiedyś przyznał w rozmowie z tabloidem „The Sun", że jego małżonka „puszcza bąki jak stary koń". Książe Karol to dla Brytyjczyków główny odpowiedzialny za nieszczęśliwe i zbyt krótkie życie „królowej serc", ulubienicy Brytyjczyków księżnej Diany. Jest sztywny, ma dość rubaszne poczucie humoru i od ciężkiej pracy woli grę w polo. Lubi wygłaszać długie mowy o torebkach plastikowych i deskach sedesowych. Podczas szczytu Commonwealthu zszokował zebranych gości, a przede wszystkim królową, mówiąc do niej „mamusiu". Ponadto rozmawia z roślinami, jeździ samochodem na serwatkę i każe sobie prasować sznurówki. W 1992 r. brytyjskie służby nagrały rozmowę Charlesa i Camilli, podczas której następca tronu wyznał swojej ówczesnej kochance, że „chciałby być jej tamponem". Wywołało to jeszcze większy skandal niż rzekome igraszki brata Karola księcia Yorku Andrew z 17-letnią Virginią Roberts czy nieślubne dziecko męża córki królowej księżniczki Anny – Marka Phillipsa.

Skandale to chleb powszedni Windsorów, ale książę Karol na tronie to dla wielu Brytyjczyków gorsze niż wszystkie negatywne skutki Brexitu razem wzięte. Oznacza to bowiem Camillę w roli królowej. A to jest dla Brytyjczyków, wciąż związanych emocjonalnie z Dianą, trudne do przełknięcia. Ich jedyną nadzieją jest to, że królowa jeszcze pożyje. Matka Elżbiety II żyła w końcu 101 lat. A abdykacja nie wchodzi dla Elżbiety w rachubę. Kiedy holenderska królowa Juliana przekazała władzę swojej córce Beatrix, królowa miała to skomentować słowami: „Typowo po holendersku – abdykować. Nigdy!". Nie żeby Karol się specjalnie kwapił do roli monarchy. Podobnie zresztą jak reszta rodu. Rola króla to ok. 3 tys. spotkań rocznie, niekończące się ceremoniały i ściskanie ponad 15 tys. dłoni. Brytyjczycy w tej roli widzieliby najchętniej księcia Williama, ale kolejność do tronu jest nieubłagana. Pierwszy jest pierworodny królowej, jego rodzeństwo schodzi na dalszy plan, bo następne w kolejce są dzieci pierworodnego.

KONIEC KRÓLESTWA?

Złośliwcy twierdzą więc, że nie tylko Commonwealth nie wyrówna negatywnych skutków Brexitu, lecz jest przeżytkiem podobnie jak monarchia, która po zmianie na tronie znacznie się osłabi. Dla Elżbiety II sprawowanie władzy jest bowiem bardzo ważnym zadaniem, jakie otrzymała bezpośrednio od Boga. Dla reszty zgrai Windsorów jest natomiast głównie sposobem na wygodne życie. Gdy królowa umrze, kraje Commonwealthu, o wiele bardziej sceptyczne wobec monarchii niż Brytyjczycy (tamtejsi republikanie nie mogą się według portalu Politico doczekać śmierci królowej), się zbuntują. „Elżbieta II trzyma Commonwealth przy życiu. Tematy omawiane na tegorocznym szczycie jednak wiele mówią o stanie monarchii. Czym są plastikowe słomki wobec kwestii apartheidu, która była na tym zacnym forum dyskutowana w przeszłości?" – zastanawiał się „The Guardian". Według gazety to zapewne nie ostatni szczyt tego formatu, ale wejście Karola na tron będzie wymagało przemyślenia roli rodziny królewskiej i nadania Wspólnocie Narodów nowego impulsu, by nie zamieniła się we „wspólnotę zombie". Lub umarła wraz z królową. Tak Windsorowie starają się załagodzić skutki rozwodu Londynu z Brukselą, tak republikanie na Wyspach Brytyjskich, a przede wszystkim w Australii, Nowej Zelandii i innych krajach Commonwealthu żyją w nadziei na własny Brexit, czyli rozwód z brytyjską koroną. W Australii dziś już tylko 38 proc. obywateli jest za zachowaniem monarchii. W przypadku wejścia księcia Karola na tron 55 proc. wolałoby, by kraj stał się republiką.

Zwolennicy monarchii jednak wskazują na pozytywną rolę najmłodszego pokolenia Windsorów. Ich zdaniem William i Kate, Harry i Meghan to jak powiew świeżego powietrza. „Ludzie mają zaufanie do młodszych członków rodu Windsorów. Oni znacznie poprawili wizerunek monarchii. Dajmy im szansę" – przekonuje w Politico przewodniczący australijskiej Ligi Monarchistycznej Philip Benwell. Według niego po Karolu będzie William, a po nim Charlotte albo George. „Nie mówmy o końcu królestwa, tylko o nowym początku w niedalekiej przyszłości" – dodał.

Koniec brytyjskiej monarchii wydaje się dziś, mimo głośno wyrażanych nadziei republikanów, mało prawdopodobny. Ale podobno mówiono przecież o Brexicie. Niedługo potem stał się jednak faktem.

eprasa.pl 24723fda50



To za urzędowania Rostowskiego w resorcie finansów dochody podatkowe, zwłaszcza z VAT, zaczęły spadać, a fikcyjne, fałszywe faktury gwałtownie rosnąć

Trzecia prawda Rostowskiego

Fot. Shutterstock



JANUSZ SZEWCZAK

Za młodu palił w Anglii trawkę, na starość wziął się do polskich finansów. Zapowiadał, że deficyt sektora finansów publicznych za rządów PiS będzie wynosić ponad 4 proc. PKB, a wyniósł 1,5 proc. PKB w 2017 r., program 500+ nazywa „500–". Groził, że inwestorzy zagraniczni uciekną z Polski w obawie o Trybunał Konstytucyjny, choć zainwestowali 11 mld dolarów. Mówił, że „pieniędzy nie ma i nie będzie" na realizację programu wyborczego rządu. Były minister finansów Jan Vincent-Rostowski znowu wciska ciemnotę, że to rząd PO-PSL i on osobiście uszczelnili system podatkowy, w tym VAT, podjęli walkę z nielegalnym hazardem i chwali się, że był „niezmiernie skuteczny do końca". Ile trzeba mieć w sobie pychy i zakłamania, żeby tak jak były wicepremier kłamliwie atakować, krytykować i pouczać polski rząd, gdy samemu powinno się odpowiadać nie tylko przed komisją śledczą, co już wkrótce nastąpi, lecz i przed Trybunałem Stanu.

To przecież Rostowski jest znany jako mistrz kreatywnej księgowości. To specjalista od realnego powiększania polskiego długu i od sztucznego zaniżania jego wielkości, choćby poprzez udzielanie tzw. pożyczek dla FUS, które były de facto dotacjami na dziesiątki miliardów złotych, a których nie zaliczano do długu skarbu państwa poprzez wykorzystywanie tzw. swapów walutowych do manipulowania wielkością długu zwłaszcza pod koniec roku czy też poprzez zadłużanie się w Krajowym Funduszu Drogowym, również na dziesiątki miliardów, których też nie zaliczano do długu publicznego. To również minister, który wielokrotnie mylił się w sprawie wskaźników gospodarczych i musiał nowelizować własny budżet.

Ten „Sztukmistrz z Londynu" zadłużył Polskę na blisko 400 mld zł, czyli na niewiele mniej niż wszyscy poprzedni ministrowie finansów przez 28 lat – praktycznie dobijając do kwoty 1 bln zł długu publicznego, wliczając w to 150 mld zł skoku na OFE. To Rostowski, członek polskiego rządu, brał udział w tajnych spotkaniach Grupy Bilderberg i był powiązany ze środowiskiem George'a Sorosa, wroga państw narodowych, megaspekulanta. To właśnie były wicepremier żądał, by rząd PiS przepraszał na kolanach niemiecką kanclerz Angelę Merkel. To finansowy „Huragan Vincent" zadłużał nas na potęgę w walutach obcych, emitując na gigantyczną skalę euroobligacje, obligacje w dolarach, frankach, a nawet w jenach. Dług zagraniczny pod koniec rządów PO-PSL wzrósł do blisko 340 mld dol. i dopiero rząd PiS pomalutku go obniża. To właśnie ten minister finansów nie podjął skutecznej kontrakcji przeciwko działaniom spekulacyjnym prowadzonym przez bank Goldman Sachs na polskim złotym oraz w kwestii oszukańczych i toksycznych tzw. opcji walutowych dla przedsiębiorstw (20–40 mld zł), nie mówiąc już o tzw. kredytach frankowych na prawie 110 mld zł czy polisolokatach na blisko 50 mld zł, które naraziły Polaków na ogromne straty i koszty finansowe.

eprasa.pl 24723fda50

Rostowskiemu nie podoba się obecny stan finansów publicznych, kiedy deficyt sektora finansów publicznych wynosi zaledwie 1,5 proc. PKB, choć on sam miał deficyty na poziomie ponad 5 proc., a nawet ponad 7 proc. PKB i wtedy było cudnie, była „zielona wyspa" i trawa malowana na zielono. Czyżby nasz magik od finansów cierpiał na „pomroczność fiskalną"? To za jego urzędowania od 2010 r. wstrzymano wszystkie podwyżki dla pracowników sfery budżetowej, a dla nauczycieli od 2012 r. Dziś w budżecie jest blisko 70 mld zł na cele prospołeczne i kilka miliardów złotych na bezpośrednie podwyżki dla nauczycieli, pielęgniarek, wojska, policji, na najniższe emerytury i płacę minimalną, na wyprawki szkolne dla dzieci, poszerzoną listę darmowych leków dla osób powyżej 75. roku życia czy niższy CIT dla małych firm.

Rostowski, dziś doradca ekonomiczny rządu Rosji, znów zaklina rzeczywistość. A jest on wraz ze Zbigniewem Chlebowskim z PO, ówczesnym szefem sejmowej komisji finansów publicznych, współodpowiedzialny za opóźnienie wprowadzenia w Polsce dyrektywy unijnej MIFID, co spowodowało olbrzymie koszty i straty dla wielu uczestników rynku finansowego, ale i wiele ludzkich dramatów. To za jego urzędowania w resorcie finansów dochody podatkowe, zwłaszcza z VAT, zaczęły spadać, a fikcyjne, fałszywe faktury gwałtownie rosnąć. Faktem jest niesłychany wręcz rabunek dochodów podatkowych polskiego państwa właśnie, i to na ogromną skalę, liczoną na blisko 260 mld zł plus 160 mld zł z tytułu wyłudzeń podatku akcyzowego, przestępstw celnych i niepłaconego CIT oraz podatku od hazardu. To były nie tyle już tzw. karuzele VAT-owskie, ile całe lunaparki i disnaylandy oszustw i wyłudzeń.

Sam jako minister finansów Rostowski był zadłużony w zagranicznych bankach, a o jego poziomie etycznym najlepiej świadczą nagrane na taśmach rozmowy z ówczesnym szefem MSZ Radosławem Sikorskim i wymiana pikantnych kawałów, a także pomysły na własne kariery w UE. Rostowski był jednym z najgorszych ministrów finansów ostatnich dwóch dekad: niekompetentny, agresywny politycznie, słabo zorientowany w polskiej rzeczywistości makroekonomicznej, arogancki i zadufany w sobie. Nic też dziwnego, że nawet rząd PO-PSL i premier Ewa Kopacz odwołali go w końcu z pełnionych funkcji, tyle że zdecydowanie za późno. Swoją drogą ciekawe, czy równie dowcipnie i z podobnym samouwielbieniem wypadnie podczas przesłuchań przed komisją śledczą do sprawy wyłudzeń VAT?

Gdyby przyjąć optykę i rozumowanie Rostowskiego i jego politycznych przyjaciół z PO, to z mafią reprywatyzacyjną najskuteczniej walczyła prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Walz, Rostowski z Kapicą najlepiej uszczelniali VAT, a Bury z PSL i Gawłowski z PO najlepiej przeciwdziałali korupcji. Jak będzie trzeba, Platforma zacznie przekonywać Polaków, że Ziemia jest płaska, bo to przecież tylko kwestia innej interpretacji faktów i wrażliwości społecznej. Jak widać, nad Wisłą młyny sprawiedliwości mielą powoli, ale wreszcie ruszyły. Były minister Rostowski może więc dowolnie zaklinać rzeczywistość i przywoływać Tischnerowską trzecią prawdę, ale miejmy nadzieję, że nie uniknie sprawiedliwości.

Na półkach w Orlenie bardziej polsko

„Nasza spółka nie tylko może generować zyski, lecz jest tak duża, że powinna też ożywiać inne gałęzie naszej gospodarki" – powiedział na antenie telewizji wPolsce.pl Daniel Obajtek, prezes zarządu Polskiego Koncernu Naftowego SA

Jako przykład wskazał również działania w obszarze detalicznym. „Staramy się, by jak najwięcej produktów polskich było na naszych stacjach, to przecież ogromna sieć: 1 700 stacji na terenie Polski, a także duże sieci w Niemczech, Czechach, na Litwie. To w sumie ponad 2 700 punktów sprzedaży. Tymczasem na stacjach w Polsce do tej pory było tylko 20 proc. polskich produktów. Dążymy, by ten wskaźnik osiągnął 50 proc." – stwierdził prezes Orlenu.

Zmiany obejmą także stacje zagraniczne, na których dotychczas polskich produktów właściwie nie było. „Nie chodzi o to, by zmieniać nawyki klientów, ale by w tych obszarach, gdzie możemy, zaoferować również dobre polskie towary, zrobić to z korzyścią dla klientów" – mówił prezes Obajtek.

Na półkach stacji Orlenowskich mają się też pojawić produkty regionalne, a także – w Polsce – patriotyczne, podkreślające, że Orlen to polski narodowy koncern.

Spółka przygotowuje się do przejęcia Lotosu, zgodnie z podpisanym listem intencyjnym. „Idziemy konsekwentnie w tym kierunku, chcemy być większym, bardziej odpornym na wahania makroekonomiczne koncernem. Takie połączenie wzmocni Orlen, ale i Lotos. Obie firmy zyskają. Jesteśmy w stanie zamknąć ten proces do końca czerwca 2019 r., choć tu dużo zależy od Komisji Europejskiej" – ocenił w telewizji wPolsce.pl prezes PKN Orlen.

Wywiad z prezesem Danielem Obajtkiem opublikujemy w kolejnym wydaniu tygodnika „Sieci".



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 24723fda50



Przekazać biznes następnemu pokoleniu

Po raz pierwszy od dziesięcioleci założyciele polskich firm mogą w zaplanowany sposób przekazać swój dorobek dzieciom. W praktyce sukcesja okazuje się jednak dużym wyzwaniem, a od jej powodzenia zależy dalszy rozwój polskiej gospodarki

Młody człowiek zdobywa wykształcenie, z biegiem czasu przejmuje odpowiedzialność za kolejne pola działalności firmy. W końcu zostaje nowym właścicielem. To jednak tylko teoria. W Polsce wciąż brakuje tradycji oraz dobrych praktyk z zakresu sukcesji. W dużej mierze winę za ten stan rzeczy ponosi historia. II wojna światowa, a później lata komunizmu zdewastowały polską przedsiębiorczość. Od lat 90. XX w. szybko nadrabiamy stracony czas. Nasi biznesmeni przez niemal trzy ostatnie dekady spokojnie rozwijają swoje interesy. Teraz, pierwszy raz od dziesięcioleci, mogą w zaplanowany sposób przekazać swój dorobek następnemu pokoleniu.

FIRMY SIĘ STARZEJĄ

Według szacunków firmy doradczej PwC do 2021 r. aż 40 proc. firm rodzinnych na świecie zostanie przekazanych następnemu pokoleniu. W Polsce drobni przedsiębiorcy również powinni zacząć myśleć o sukcesji. Z raportu Akademii Umiejętności Eurocash oraz Polskiej Izby Handlu wynika, że 33 proc. właścicieli sklepów detalicznych w Polsce ma 41–50 lat („Profil polskiego przedsiębiorcy – właściciel sklepu detalicznego" 2017). Z danych PARP wynika z kolei, że odsetek firm rodzinnych liczących ponad 20 lat wzrósł z 20 proc. w 2010 r. do 43 proc. w 2015 r. Argument demograficzny jest oczywisty, ale sama sukcesja już nie. Okazuje się bowiem, że na świecie pierwsze rodzinne przekazanie sterów w firmie udaje się w mniej niż 30 proc. przypadków. Nie wiadomo, jak powiedzie się w Polsce, skoro w 2010 r. niemal 70 proc. przedsiębiorców nie miało planów sukcesji.

Notowany na warszawskiej GPW Eurocash nie przypadkiem zajmuje się tą kwestią. Od lat pomaga polskim przedsiębiorcom zrzeszonym w sieciach partnerskich i franczyzowych, takich jak Lewiatan, Groszek, Gama, abc czy Delikatesy Centrum. I widzi, że twórcy oraz właściciele firm rodzinnych, którzy rozwijali interesy od początku lat 90., zbliżają się powoli do wieku emerytalnego. Jeżeli do sukcesji nie dojdzie lub okaże się ona nieudana, negatywnie wpłynie to nie tylko na stan spółki, która obsługuje 26 proc. rynku spożywczego, lecz na stan całej polskiej gospodarki.

MAŁY TEŻ SIĘ LICZY

Mikro, małe i średnie przedsiębiorstwa odpowiadają za połowę wartości PKB generowanego przez firmy. Z szacun-

eprasa.pl 24723fda50


Fot. Shutterstock | 39/0418/F

ków Konfederacji Lewiatan wynika, że firmy rodzinne o tej skali działania generują 18 proc. PKB. Gdyby spełnił się czarny scenariusz i w 70 proc. z nich sukcesja zakończyłaby się niepowodzeniem, a w efekcie zniknęłyby z rynku, straty byłyby liczone w setkach miliardów złotych.

Jeżeli chodzi o sukcesję, sytuacja prezesa przedsiębiorstwa o zasięgu międzynarodowym wygląda zupełnie inaczej niż właściciela osiedlowego warzywniaka. Rodzinni giganci, tacy jak Inglot, Mokate czy Blachy Pruszyński, dysponują sztabem specjalistów zarządzających przekazywaniem władzy w firmie. Bariera sukcesji jest trudniejsza do pokonania dla małego biznesu. Z badań Eurocash i Polskiej Izby Handlu wynika, że 27 proc. właścicieli sklepów za największe wyzwanie przy sukcesji uważa przekazanie wiedzy o prowadzeniu działalności, 20 proc. obawia się kosztów, kolejne 20 proc. braku doświadczenia, jeśli chodzi o sukcesję.

Drobni właściciele sklepów są jednak zaradni i umieją dopiąć swego. Wbrew popularnemu stereotypowi nie są też bezbronni. – W roku 1995 w Polsce działało 12 z 15 światowych graczy z branży spożywczej. Do dzisiaj przetrwało tylko kilka sieci. Polski handel potrafi umiejętnie wykorzystywać swoje atuty. Sklepy małoformatowe przetrwały w dużej mierze dzięki świetnym lokalizacjom oraz franczyzie, która polskim przedsiębiorcom umożliwia m.in. dostęp do nowoczesnych narzędzi marketingowych. Chociaż sklepów rynku niezależnego z roku na rok ubywa, te, które zostają, sprzedają więcej – mówi Jacek Owczarek, członek zarządu Grupy Eurocash.

Zaradność i kreatywność, o których mówi Owczarek, potwierdzają się w badaniach. Fundacja Firmy Rodzinne od czterech lat pyta Polaków o opinie na temat firm rodzinnych. Najczęściej kojarzone z nimi cechy to zaradność, kreatywność oraz uczciwość.

RZĄD DOSTRZEGA I DOCENIA

– Doceniamy pracę MŚP i mamy świadomość, że chociaż te firmy nie są ogromne, to ich udział w rynku jest dominujący, a przez to bardzo ważny dla funkcjonowania całej gospodarki – mówi Wojciech Murdzek z PiS. Przewodniczy on sejmowej komisji nadzwyczajnej ds. deregulacji, w której 12 kwietnia odbyło się pierwsze czytanie projektu ustawy o zarządzie sukcesyjnym.

– Do tej pory, jeżeli przedsiębiorca nie pomyślał o sukcesji wcześniej, w przypadku jego nagłej śmierci firma przestawała istnieć – referuje założenia ustawy Murdzek. – Znikały cały dorobek założyciela oraz uprawnienia i pozwolenia, którymi dysponowała firma. Likwidowane były miejsca pracy. Ustawa eliminuje tego rodzaju sytuacje. Apeluję jednak do przedsiębiorców, aby zawczasu przygotowywali firmę na sukcesję.

Ustawa cieszy się także względami sejmowej opozycji. – W komisji deregulacyjnej nie wdajemy się w przepychanki słowne, tylko pracujemy nad rozwiązaniami, które są popierane przez polityków wszystkich partii. Tak było również w przypadku ustawy sukcesyjnej – podkreśla Wojciech Murdzek. – Opozycja zadeklarowała, że podczas głosowania w Sejmie poprze projekt. Mógłby on wejść w życie już jesienią.

FIRMY WZIĘŁY SPRAWY W SWOJE RĘCE

Zanim problem sukcesji dotarł na Wiejską w Warszawie, zajęli się nim sami zainteresowani. Fundacja Firmy Rodzinne we współpracy z firmą doradczą Grant Thornton opracowała cykl publikacji edukacyjnych na temat sukcesji. Inicjatywa Firm Rodzinnych była partnerem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu przy projekcie studiów podyplomowych dotyczących sukcesji. Również Akademia Umiejętności Eurocash ma charakter edukacyjny. To projekt skierowany do niezależnych przedsiębiorców prowadzących sklepy detaliczne oraz do ich pracowników. Akademia Umiejętności Eurocash dostarcza im specjalistycznej wiedzy, a także wsparcia prawników w zakresie sukcesji.

PRZEKONAĆ MŁODYCH

Działania strony rządowej oraz społecznej zmierzające w jednym kierunku napawają optymizmem. W kwestii sukcesji w firmach rodzinnych chodzi przecież o dalszy dynamiczny wzrost polskiego PKB. Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że powodzenie sukcesji zależy nie tylko od intencji i wiedzy właściciela, lecz również od chęci sukcesora do przejęcia firmy. Badania pokazują, że na świecie tylko niespełna 8 proc. dzieci przedsiębiorców zamierza przejąć firmy rodziców (Global University Entrepreneurial Spirit Students' Survey). Świadczy to o głębokim problemie sukcesyjnym. Jak zachęcić młodych do przejmowania firm rodzinnych? Eurocash stawia na innowacyjne formaty sklepów (drogerie, sklepy monopolowe) oparte na nowoczesnych technologiach. Zachętą może być również budowanie i rozwój firmy nie tylko na bazie jednego sklepu, lecz kilku placówek (tzw. przedsiębiorstwa detaliczne). Te same mechanizmy – innowacyjność i wzrost skali biznesu – wydają się atrakcyjną strategią również w przypadku innych branż. Razem z wiedzą na temat sukcesji stanowią solidne fundamenty wsparcia dla polskich przedsiębiorców. Teraz musi na nich powstać właściwa budowla.

(red)

eprasa.pl 24723fda50

Tajemnica zielonego ptaka

Gdy pierwszy raz zobaczyłem ten obraz, zrozumiałem, że kryje tajemnicę



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Nie znamy autora tego obrazu, bo średniowieczni malarze nie malowali po to, żeby zapewnić sławę swojemu nazwisku. Wiemy jedynie, że arcydzieło zostało namalowane w Krakowie, w drugiej połowie XV w. Obraz jest wyjątkowo piękny, a do naszych czasów dotrwał cudem. „Madonna z poziomką" opowiada nie tylko o wierze naszych przodków, lecz również o ich znajomości stworzenia.

Nie wiadomo, co się działo z obrazem przez pierwsze 200 lat. Mało dzieł sztuki może się z nim równać pod względem kunsztu artystycznego. Obraz jest jednak wyjątkowy z innego względu. Patrząc na twarz Matki Bożej, widzimy twarz delikatną, subtelną i przede wszystkim – zadziwiająco żywą. Ktokolwiek namalował obraz, był jednym z największych artystów swoich czasów. Urzekające piękno nie uchroniło dzieła – trzy wieki po namalowaniu – przed zaginięciem... pod warstwami farby.

W XVII w. obraz trafił do kościoła farnego w Żywcu (dziś jest eksponatem oddziału Muzeum Narodowego w Żywcu właśnie). Po 100 latach ozdabiania żywieckiego kościoła, w epoce barokowych pomysłów na „poprawianie" średniowiecznych arcydzieł, obraz przycięto piłą do drewna (!) i przemalowano... Ze średniowiecznego arcydzieła pozostało niewiele.

SZCZĘŚLIWY TRAF

Utracilibyśmy być może na zawsze to wyjątkowe dzieło, gdyby przy okazji prac konserwatorskich w 1980 r. nie odkryto, że pod sześcioma warstwami farby znajduje się prawdziwa perła. Dzięki żmudnej pracy Matka Boża i Dzieciątko Jezus odzyskali swoją postać. Maria znowu, jak wieki temu, w dłoni trzyma poziomkę – kwitnącą i owocującą jednocześnie (co rzeczywiście zdarza się w naturze) – symbol dziewictwa oraz rajskiego pokarmu. Na dłoni małego Jezusa siedzi ptak.

I właśnie ten ptak zwrócił moją uwagę. Według współczesnych opisów obrazu ten ptak to szczygieł. Jako przyrodnik poświęcający znaczną część czasu obserwacjom ptaków wiem, jak wygląda szczygieł. Zupełnie inaczej niż ptak na obrazie. Szczygieł jest bardzo charakterystyczny. Kto raz go zobaczy, ten go nie zapomni: żółte pasy na skrzydłach, czerwień, czerń i biel głowy... Jak podają atlasy ornitologiczne: „zestaw kolorów na głowie uniemożliwia pomylenie z innym gatunkiem".

Ptak na obrazie jest natomiast zielony. Cały zielony. Szczygieł ma wiele kolorów, ale nie ma wśród nich ani odrobiny zielonego. Czy malarz, człowiek z natury wyjątkowo bacznie obserwujący otaczający go świat, mógł namalować zielonego szczygła? Kształt liścia poziomki w dłoni Matki Bożej jest tak wiernie oddany, że pozwala oznaczyć gatunek jako poziomka pospolita, różniąca się od występującej również w Polsce poziomki twardawej. Jeżeli w przypadku poziomki szczegóły budowy liścia zostały oddane wiernie jak w atlasie botanicznym, czy ptak miałby być wytworem wyobraźni? Nie sądzę – z pewnością jest to konkretny gatunek ptaka, pozostaje tylko oznaczyć go i ustalić, dlaczego to on znalazł się na obrazie.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Czy jesteśmy w stanie cofnąć się w czasie kilkaset lat i zapytać artystę, dlaczego ptak jest zielony i jaki to gatunek? Przebyć tę otchłań czasu, wojny, zabory, upadki królestw, powstania i rozwiązać zagadkę sprzed wieków? Przy pogłębionej analizie przyrodniczej – tak.

Współczesne opisy podające, że ptak na obrazie to szczygieł, kierują się następującym uzasadnieniem: „szczygieł wije gniazda wśród cierni, symbolizuje więc przyszłą mękę Chrystusa". Tak naprawdę gniazda szczygłów znajdują się wysoko w koronach drzew, nie w ciernistych krzewach. Można się również spotkać z poruszaniem wątku częstej obecności szczygłów na kolczastych ostach, których nasionami się żywią... już bliżej. Należy jednak ponowić pytanie, dlaczego wobec tego ptak na obrazie w ogóle, nawet w przybliżeniu, szczygła nie przypomina?

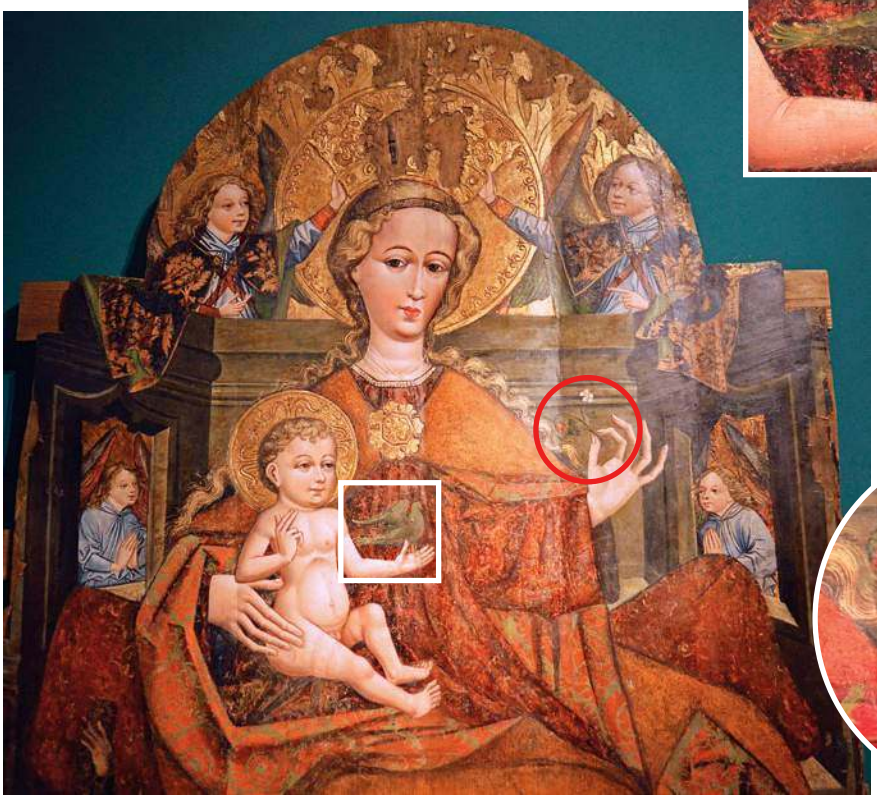
ODPOWIEDŹ JEST ZASKAKUJĄCA

Ponieważ artysta nie malował szczygła, tylko dzwońca. Upierzenie dzwońca jest zielone – tak jak ptaka na obrazie. Ptak z obrazu pasuje na dzwońca również wielkością (dzwoniec jest większy od drobnego szczygła) i mocniejszą, właściwą dzwońcowi sylwetką.

Skąd więc w ogóle mowa o szczygle i dlaczego zastąpił go dzwoniec?

Sądzę, że przyczyna zamieszania leży w języku łacińskim. Szczygieł po łacinie to *Carduelis carduelis*. Dzwoniec to *Carduelis chloris*. Oba spokrewnione ptaki należą do tego samego rodzaju

eprasa.pl 24723fda50





Czy ptak z obrazu to: **szczygieł** *Carduelis carduelis*, jak chcą historycy sztuki (poniżej po lewej)… …czy raczej **dzwoniec** *Carduelis chloris? (po prawej)*







Poziomka pospolita *Fragaria vesca* namalowana jak w atlasie botanicznym

Carduelis. W dawnych czasach, kiedy powstawał obraz, nie było jeszcze dwuczłonowych łacińskich nazw gatunkowych. Z wprowadzeniem i upowszechnieniem takiego systemu trzeba było zaczekać kilka wieków na Linneusza. Stosowano natomiast, oprócz nazw w językach danego kraju, nazwy łacińskie jednoczłonowe – szczególnie w literaturze i często, zależnie od autora, pod tą samą nazwą kryło się kilka różnych spokrewnionych gatunków.

Bardzo prawdopodobne wydaje się to, że przygotowując się do malowania, artysta przeczytał lub usłyszał o ptaku zwanym *carduelis*, żywiącym się nasionami ostu (carduus, czyli oset), który to ptak, według Izydora z Sewilli, ma symbolizować mękę Chrystusa. W oryginale chodziło o szczygła. Nasz artysta mógł nie wiedzieć jednak, jakiemu gatunkowi odpowiada nazwa *carduelis* i postanowił znaleźć kogoś, kto zna się na ptakach, kto powie, co to za ptak, a może i da jednego jako model. Czy w ten sposób trafił do łapiących ptaki w sidła ptaszników?

Szczygły od dawien dawna, ze względu na swój głos i piękne upierzenie, były chwytane oraz trzymane w klatkach. Podobnie zresztą dzwońce. Malarz na ptakach się nie znał. Na targu rozpytywał więc o ptaka zwanego *carduelis*. Sęk w tym, że – tak jak wspomniałem – rodzaj *carduelis* obejmuje również dzwońca. Być może trafił na ptasznika, który pod tą nazwą znał dzwońca, a nie szczygła.

Artysta dobrał ptaka błędnie, potrafił go natomiast oddać tak wiernie, że dziś możliwe jest oznaczenie gatunku. W ten sposób zamiast szczygła *Carduelis carduelis* zupełnie przypadkowo został namalowany dzwoniec *Carduelis chloris* (chloris = zielony), którego możemy podziwiać po wiekach na przepięknym dziele.

To oczywiście hipoteza, niewątpliwie jednak ptak na obrazie to nie szczygieł. Wielkość, sylwetka i barwa upierzenia wskazują na jego bliskiego krewnego – dzwońca. Tym bardziej że w polskiej ornitofaunie ptaków o zielonym upierzeniu jest niewiele: dzięcioł zielony i zielonosiwy, czyżyk… – żaden z nich nie pasuje sylwetką ani wielkością do ptaka ze średniowiecznego obrazu.

PRZEKAZ Z PRZESZŁOŚCI CZEKA NA ODCZYTANIE

Dawne dzieła sztuki kryją w sobie wiele informacji. Również tych, które dotyczą otaczającego nas świata przyrody. Tropienie przyrodniczych zagadek zawartych w obrazach, rzeźbach, arrasach itp. to zadanie fascynujące. Niekiedy pojawiły się tam bez celowego zamysłu artysty, czasem w sposób przemyślany. Zawsze jednak są dla nas bezcenną wiadomością: o nieznanym wcześniej nauce gatunku, jak zdarzyło się w przypadku długoszyjej gazeli gerenuk, którą odkryto na… malowidłach w egipskiej piramidzie, albo o rzadkiej, nawet dziś mało znanej, dzikiej świni babirussie z Malajów, uwiecznionej na renesansowej kamienicy krakowskiej (jak wiadomość o niej trafiła do renesansowego Krakowa?).

Można też wyobrazić sobie anonimowego, średniowiecznego mistrza pędzla, jak 500 lat temu spaceruje między kramami po krakowskim Rynku, wypatrując ptaka, który zostałby modelem do jego arcydzieła, i zamiast szczygła wybiera zielonego dzwońca.

eprasa.pl 24723fda50

MAIA SOBCZAK AUTORKA BLOGA QMAM KASZE



Prawdziwy sztos!

Od kilku lat uprawia „kreatywną kuchnię w rytmie #mynowaste". Zapewnia: „Znasz ją z pewnością, bo tak gotowały nasze uśmiechnięte babcie i gospodarne mamy – tak też gotuję i ja, od zawsze. Kiszę, podsmażam, smaruję, faszeruję i robię nieziemsko chrupiące desery, lepiące się kusząco od dobrych syropów i końcówek owoców. Te owoce, łodygi, liście i zioła – których zazwyczaj się pozbywasz – chętnie zaprzyjaźnią się w jednym słoiku, a po tygodniu zachwycą cię na nowo w swojej kompletnie innej odsłonie".

Nie bez powodu swojej książce „Qmam kasze" (wyd. Marginesy) dała podtytuł „Do ostatniego okruszka". Trend no waste, czyli ideę niemarnowania jedzenia, gotowania z tego, co zostanie nam z poprzednich posiłków, Maia Sobczak przenosi w inne sfery. Zapraszając czytelników do swojej kuchni, wprowadza ich tak naprawdę do swojego życia i domu. Do rodzinnych wspomnień i współczesnych refleksji, które (przy całym zawartym w książce bogactwie: zdarzeń, przemyśleń, przepisów, inspiracji...) prowadzą do konkluzji, że mniej często znaczy więcej. Nie ma też lepiej, jak być otwartym i kreatywnym.

Przy takim podejściu nawet burger okaże się odkryciem. Trzeba tylko kilka dni wcześniej pokroić liście kalafiora, wrzucić je do wyparzonego słoika razem z nagniecionymi ząbkami czosnku i uprażonymi nasionami kuminu, zalać osoloną wodą, a po tygodniu mamy znakomity dodatek nie tylko do burgerów, lecz również bajgli, różnych wersji klusków (zaostrzają smak) i zup.

Burgerom przyda się też panierka z osuszonego chleba połączonego z suszonymi pomidorami (bez zalewy) i ziołami prowansalskimi. Podzielone na mniejsze kawałki kromki, rozsypane na blasze i wstawione na chwilę do piekarnika podpiekają się i bardziej wysuszają. Po ostygnięciu wystarczy je zmiksować i już jest gotowa „panierka działająca cuda".

Innym superdodatkiem jest sos BBQ. Przygotowany z garści suszonych śliwek, płaskiej łyżeczki soli wędzonej, dwóch łyżek tahini, łyżki musztardy, łyżeczki miodu, świeżo mielonego czarnego pieprzu, łyżki sosu sojowego i łyżki octu domowego lub wyciśniętego soku z cytryny oraz ok. ¼ szklanki wody. Zmiksowany na gładko, i to jeszcze z burgerem, daje spektakularny efekt.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Zmysłowy burger

Składniki: duża marchewka, 2 grubsze plastry dyni, 3 małe, poszatkowane szalotki lub końcówki grubego szczypioru (nigdy ich nie wyrzucam), 3 plasterki świeżego korzenia imbiru lub ½ łyżeczki sproszkowanego, gałązka rozmarynu (jest mało znanym afrodyzjakiem), 2 łyżki masła klarowanego lub oleju kokosowego, 5 łyżek ugotowanego ryżu z poprzedniego dnia, świeżo mielony czarny pieprz, 2 łyżki sosu sojowego, papryczka chili, poszatkowany ząbek czosnku, ½ łyżeczki pudru grzybowego, bułka do podsmażenia, nie pierwszej świeżości tarty chleb do obtoczenia.

Dodatki: jogurt kokosowy z czosnkiem niedźwiedzim, ogórek, rzodkiewka, cebula, sałata, rukola, pomidor, marchewki karmelizowane.

Przygotowanie: Marchewkę myję, obieram i kroję na mniejsze części. Z dyni usuwam skórkę i kroję warzywo w kostkę. Na patelni rozgrzewam gałązkę rozmarynu, masło klarowane, imbir, dynię, marchewkę i chili. Przesmażam towarzystwo na dużym ogniu, podlewam łyżką wody lub wywaru z zupy i duszę pod przykryciem, aż warzywa zmiękną. Odławiam rozmaryn i imbir, a w miarę miękkie warzywa przekładam do miski i rozgniatam widelcem. Następnie dodaję łyżkę masła klarowanego, ryż, przyprawy, poszatkowaną szalotkę i łyżkę tartego chleba. Całość mieszam, próbuję i ewentualnie dosmaczam pieprzem czy solą. Formuję w dłoniach kotlety, obtaczam w tartym chlebie i smażę na rozgrzanej patelni z dodatkiem masła klarowanego lub oleju. Bułkę kroję na pół, podsmażam ją na tej samej patelni, żeby ją odświeżyć. Chrupiącą smaruję śliwkowym sosem BBQ, kładę kawałki awokado, sałatę, plasterki rzodkiewki, usmażony kotlet i plasterki świeżego ogórka. Zakrywam wierzchnią częścią bułki i serwuję na ciepło. Tu świetną robotę robią śliwkowy sos BBQ i panierka z chleba z ziołami prowansalskimi – prawdziwy sztos!

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 24723fda50



SŁODKO-SŁONY

W cieście francuskim

Fot. Shutterstock

ANNA MONICKA

Najsmaczniejsze dania – moim zdaniem przynajmniej – są proste. Niewiele przypraw, a jeśli już, to takie, które podkreślają naturalny smak potrawy. Takim właśnie idealnym tłem zarówno dla mięs, jak i ryby czy warzyw, a nawet słodkości jest ciasto francuskie. Warto kupić kilka arkuszy i trzymać zawsze w zamrażarce. Gdy wpadną niezapowiedziani goście, a w sezonie grillowym, który właśnie odpalił, zdarza się to częściej niż zimą, można ich zaskoczyć czymś niezwykłym, a przy tym szalenie prostym i szybkim w wykonaniu.

Na przykład roladą z mielonego mięsa. Delikatną indyczynę przesmażamy z cebulką, czosnkiem i kolorowymi paprykami, wystudzoną masę nakładamy na posmarowany oliwą kartonik z ciasta, zwijamy i pieczemy pół godziny w mocno nagrzanym piekarniku. Z lampką białego wina smakuje świetnie. Podobnie jak tarta ze szpinakiem i kozim serem. Wyklejamy ciastem francuskim okrągłą lub prostokątną posmarowaną masłem foremkę i zapiekamy kilkanaście minut (żeby się nie powyginało, przykrywamy folią aluminiową i obciążamy fasolą) układamy przesmażone z czosnkiem liście młodego szpinaku, posypujemy serem (zamiast koziego może być pleśniowy lub camembert) i zapiekamy w solidnie nagrzanym piekarniku.

Warzywnemu farszowi na tartę warto poświęcić trochę czasu – od niego zależy dobre wrażenie, a nie każdy lubi szpinak. Doskonałym pomysłem są więc podduszone pory, cebulka, ćwiartki brukselek, pomidory z anchois, cukinia, pokrojone szparagi z pomidorkami koktajlowymi i cytryną – warto się pobawić smakami i wybrać to, co nam najbardziej odpowiada.

Z tego ciasta można też zrobić zapiekane kieszonki, nadziane na przykład łososiem polanym pesto pietruszkowym. Dzwonka ryby układamy na krawędzi arkusików ciasta, polewamy pietruszką zmiksowaną z oliwą, sokiem cytrynowym, migdałami, solą i pieprzem, nakrywamy resztą ciasta i zaklejamy. Potrawa może mieć dowolny kształt – kwadratu, prostokąta, pieroga. Boki będą ładnie wyglądać, gdy podociskamy je widelcem. Wierzch smarujemy rozkłóconym żółtkiem i pieczemy w dobrze nagrzanym piekarniku.

WINNICA MAZURKA

A właśnie, że tak!

ROBERT MAZUREK

Pierwotnie tytuł mojej relacji z Grecji miał brzmieć „Nie tylko retsina", a dalej miało lecieć jakoś tak, że dzisiaj żaden szanujący się Grek nie skala się retsiną, zostawiając te sikacze turystom i mocno starszym dziadkom i babkom, którzy wspominają tak własną młodość. I to – co do diagnozy społecznej – prawda. Zanim zacznę jednak postmodernistyczną dekonstrukcję mojego tekstu, przypomnijmy, czymże owa retsina jest. Ano greckie to wino białe, czasem różowe, swój smak zawdzięcza dodatkowi sosnowej żywicy. Skąd ona? Najpewniej amfory, w których wino przetrzymywano, pieczętowano żywicą. Inna teoria mówi, że dodawano ją do łatwo psujących się win, by móc je przechowywać. Dość powiedzieć, że już Pliniusz Starszy uważał to za paskudztwo, a Rzymianie uznali, że cwani Grecy celowo popsuli wino, by nie wpadło w rzymskie ręce. I gardła.

I do wczoraj retsina była obciachem. Nowoczesne greckie winiarstwo omijało ją szerokim łukiem, może tylko Gaia próbowała ze swoim Ritinitis Nobilis. No i stało się, nagle Grecy uparli się, by udowodnić, że ponad dwa tysiące lat tradycji zobowiązują. Pozostaje czekać, aż ktoś to sprowadzi do Polski, lub raczyć się na miejscu (ok. 10 euro butelka).

Wybrałem trzy retsiny, każda z innej mańki. Pierwszy raz w życiu degustowałem retsiny... musujące! Tak, tak, Kechris twierdzi, że to oni zaczęli, ale mają już naśladowców i moim zdaniem to będzie – przynajmniej wśród turystów – hit. Pije się to z niekłamaną przyjemnością. Papagiannakos w Attyce (niedaleko lotniska w Atenach) robi retsinę o niespotykanym połączeniu kwiatowych bukietów z pięknym owocowym posmakiem. Świetne! I jeszcze retsina różowa, z ewidentnymi truskawkami w ustach od Kechrisa. Pijcie to szybko, póki nie stało się modne, będziecie bardziej hipsterscy od hipsterów.



Kechris Afros Retsina



Papagiannakos Retsina



Kechris Retsina Rose

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 24723fda50



Alternatywa dla papierosów

W Polsce obowiązuje zakaz przekazywania informacji o tych produktach

Co roku w wyniku chorób związanych z paleniem papierosów umiera 60 tys. osób. To miasto wielkości Bełchatowa czy Białej Podlaskiej. A gdyby do palaczy dotarła informacja, że jest alternatywa – nawet dla tych, którym nie uda się rzucić palenia? Rozpoczyna się debata dotycząca obowiązującego w Polsce zakazu przekazywania informacji na temat wyników badań naukowych świadczących o niższej szkodliwości produktów, które podgrzewają tytoń, i tzw. e-papierosów.

Według raportu Warsaw Enterprise Institute Polacy wciąż nie wiedzą o mniej szkodliwych alternatywach dla palaczy. Nadal bowiem obowiązuje przepis, na mocy którego nie można przekazywać im informacji m.in. o wynikach badań naukowych dotyczących produktów podgrzewających tytoń i e-papierosów. Biorąc pod uwagę, że produkty te zawierają zdecydowanie mniej substancji szkodliwych niż papierosy, może się to przełożyć na pogorszenie zdrowia palaczy.

Ekspercki raport wykazuje także zagrożenia ekonomiczne wynikające z coraz mniej dopasowanego do nowych realiów prawa, które ogranicza możliwość rzetelnego informowania o innowacyjnych produktach, co może zahamować w Polsce ich rozwój.

Ostatnie lata w przemyśle tytoniowym to rozwój badań naukowych i nowych technologii. Umożliwił on wprowadzanie na rynek produktów przeznaczonych dla osób uzależnionych od tytoniu. Produkty te są zupełnie inne niż tradycyjne papierosy. Mowa o tzw. papierosach elektronicznych oraz produktach podgrzewających tytoń, tzw. HNB – heat-not-burn, THP – tobacco heating product. Zdaniem wielu ekspertów mają one znaczący potencjał w zakresie redukcji szkód wywoływanych przez dym, na jaki narażeni są konsumenci tradycyjnych wyrobów tytoniowych.

Niezależnie od aspektów zdrowotnych, które przekonują już brytyjskie i amerykańskie władze do nowego spojrzenia na innowacyjne produkty tytoniowe i nikotynowe, pozostaje kwestia ekonomiczna. Firmy tytoniowe w Polsce, jako jeden z największych w Europie producentów, w sposób naturalny mają szansę stanowić ważne zaplecze badawcze i produkcyjne dla wyrobów nowej generacji. Branża tytoniowa zapewnia ok. 8 proc. krajowych wpływów podatkowych w Polsce (ok. 23 mld zł rocznie) oraz zatrudnia ponad 60 tys. osób. Wpływy z eksportu tradycyjnych wyrobów tytoniowych produkowanych w naszym kraju to ponad 8 mld zł. Ale w dłuższej perspektywie popyt na tradycyjne papierosy będzie malał.

Rozwiązaniem jest efektywne wykorzystanie potencjału naszego przemysłu tytoniowego w produkcji i rozwijanie nowych, innowacyjnych oraz bezpieczniejszych produktów. Stopniowo będą one podbijać światowe rynki.

Jak dowodzą autorzy raportu Warsaw Enterprise Institute, niestety zarówno istniejące polskie prawo, jak i oficjalne stanowisko prezentowane przez Ministerstwo Zdrowia nie tylko nie pozwalają promować nowych i znacząco mniej szkodliwych produktów, lecz mają dokładnie odwrotny skutek. Ograniczają dostęp do mniej szkodliwych produktów i nie pozwalają poinformować o nich prawie 8 mln osób palących dziś tradycyjne papierosy.

Zdaniem autorów raportu konieczne są zmiany w prawie i przepisy, które skupią się na ochronie zdrowia publicznego oraz uwzględnią swobodę prowadzenia działalności gospodarczej, która przynajmniej w zakresie informowania o wyrobach podgrzewających tytoń jest ograniczana jak dla zwykłych papierosów. Prawo w tym zakresie zmienia się już w wielu zachodnich krajach – zezwalających na informowanie o bezpieczniejszych „sposobach" na palenie.

„Mając na względzie zdrowie publiczne obywateli poprzez ograniczanie szkodliwości powodowanej przez nowe produkty dostarczające nikotynę, w świetle badań naukowych, należy uznać je za skuteczny mechanizm redukcji szkód dla osób uzależnionych od nikotyny oraz aktywnie wspierać przez polski rząd badania naukowe dotyczące wad i zalet tego typu produktów. Konieczne są rozwiązania regulacyjne, które umożliwiłyby producentom i sprzedawcom informowanie osób palących (konsumentów tradycyjnych papierosów), które nie potrafią zerwać z nałogiem, o korzyściach zdrowotnych, jakie wynikają z używania produktów o potencjalnie mniejszej szkodliwości" – czytamy w raporcie WEI.

Max

Czytaj też: www.wgospodarce.pl/informacje/41660-czy-podgrzewany-tyton-zastapi-papierosy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 24723fda50

Ukraińskie aberracje

PIOTR SKWIECIŃSKI

Polska pisowska przeżywa taki okres jak Ukraina za Janukowycza – rządzą nią bandyci albo idioci i przez to sama zredukowała swoje znaczenie, stała się tylko „przestrzenią między Ukrainą a Niemcami". A zarazem ta pogardliwie postrzegana „przestrzeń" planuje zbliżenie z Rosją – po to, żeby kosztem Ukrainy rewindykować swoje dawne ziemie wschodnie. Takie rewelacje na temat naszego kraju można przeczytać w publikacjach wcale nie jakichś zakamieniałych ukraińskich szowinistów, tylko intelektualistów o liberalnej tożsamości.

Kiedy czytamy lub słyszymy coś takiego, zastanawiamy się, jak mogą się rodzić takie aberracje. Jak można na przykład zakładać, że Polska może, tak jak Rosja, mieć zakusy na zabór ukraińskiego terytorium, skoro w odróżnieniu od Moskwy Warszawa nie ma na Ukrainie ludzkiego zasobu, do którego mogłaby się odwołać? Długo można dekonstruować absurdy, które w wielkiej ilości spływają spod piór kijowskich intelektualistów. Kiedy czytamy wyniki socjologicznych badań nad stanem świadomości ukraińskich elit, z których wynika nie tylko, że w kategorii państw wrogów Ukrainy w opinii tychże elit Polska „awansowała" do pierwszej piątki, lecz również, iż na drugim miejscu w tej konkurencji, zaraz po Rosji, znalazły się... Węgry, staje przed naszymi oczyma wizja kraju uważającego się za z jakichś powodów otoczonego przez nieprzerwany łańcuch wrogów. Czyli poddającego się, co tu ukrywać, urojeniom.



Na Wołyniu i w Galicji Polska była okupantem? Ależ oni w to szczerze wierzą...

Jeśli ktoś chce zrozumieć, skąd się to bierze, to pomocny w tej mierze jest artykuł znawcy Ukrainy Łukasza Adamskiego, zamieszczony w „Polskim Przeglądzie Dyplomatycznym". Tekst cenny, bo nieograniczający się do poznawczych klisz obecnych w polskim myśleniu o Ukrainie.

Adamski zwraca uwagę na mało znany fakt – wielu obecnych szermierzy ukraińskości, w tym intelektualistów, to ludzie wychowani w kulturze rosyjskiej czy wręcz w rosyjskości jako takiej. Na pewnym etapie życia, już dorośli, pod wpływem tych czy innych przemyśleń lub emocji podjęli oni dramatyczną decyzję o zmianie przynależności narodowej. O wyborze opcji ukraińskiej. Są w tej decyzji konsekwentni, ale – to już ja, nie Adamski – zmagają się z nią i zmagać się będą całe życie, bo to przecież psychologicznie bardzo trudna sprawa. I muszą nieustannie przekonywać samych siebie o słuszności swojego dokonanego niegdyś wyboru. Co czyni ich bardzo podatnymi na nacjonalizm – bo jest im znacznie trudniej w jakichkolwiek okolicznościach przyjąć do wiadomości to, że jacykolwiek obcy mogą mieć wobec Ukrainy słuszne pretensje.

Ponadto wiedza historyczna jest na Ukrainie przeciętnie znacznie niższa niż w Polsce. Z naturalnych przyczyn; na przestrzeni dziejów warunki mieliśmy po prostu znacznie lepsze. W efekcie jednak polscy i ukraińscy intelektualiści różnią się znacząco pod względem historycznej wiedzy i samą historię traktują inaczej.

Dla Ukraińców historyk ma być sługą narodu. Ma więc realizować jego interesy w przestrzeni swojej aktywności zawodowej czy raczej misyjnej. Poszukiwanie prawdy w tej optyce nieuchronnie schodzi na dalszy plan. Zresztą to nie jest wielki dylemat, bo skoro prawda jest w oczywisty sposób tożsama z interesem Ukrainy...

Sam naród zaś – i to już kwestia wiedzy, nie tylko ideologii – nie jest, wbrew oczywistym faktom, uważany za konstrukt historyczny, którego kiedyś nie było i kiedyś zaistniał. Ukraińcy utożsamiają go po prostu ze wspólnotą etniczną czy wręcz językową, nie dostrzegając, że w sensie świadomości, w sensie stworzenia płaszczyzny podstawowej, najważniejszej tożsamości i lojalności swych członków, jest on bytem odmiennym i wyższym od poprzedzających go etnosów. W efekcie szczerze wyznają przekonanie o ciągłości ukraińskiej wspólnoty narodowej – co najmniej od średniowiecza. Stąd równie szczerze potrafią wierzyć w okupacyjny charakter polskiej obecności na ziemiach dzisiejszej Ukrainy. Potrafią wręcz używać pojęcia okupacji, po prostu nie wiedząc, że jest to pojęcie sprecyzowane w prawie międzynarodowym i że nie każde rządy jednego narodu czy państwa na ziemiach zamieszkanych w większości przez inny naród są okupacją (nawet jeśli mówimy o czasach, kiedy narody już istniały). To po prostu kwestia braku wiedzy i aparatu pojęciowego, co wymusza ahistoryczne traktowanie dawnych epok – tak, jakby były to czasy obecne.

A stwierdzenie oczywistego faktu, że Polacy jako naród ukształtowali się na długo przed Ukraińcami, jest przez nich odbierane jako polska kalka rosyjskich koncepcji imperialnych.

Krótko więc mówiąc – gdy Polacy dyskutują z Ukraińcami, wydaje im się, że mają za partnerów ludzi współczesnych. A to nieprawda. To tak jakby rozmawiać z kimś za pomocą machiny czasów wyciągniętej z głębokiego XIX w., jeśli nie z czasów dawniejszych.

Trudno w takiej sytuacji o optymizm inny niż bardzo, bardzo długodystansowy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 24723fda50

Czy Trumpa uda się „zagryźć na śmierć”?



Amerykański i europejski establishment uważający się za elitę upoważnioną do dyrygowania milionami obywateli na obu kontynentach szczypie, poszturchuje, opluwa prezydenta USA Donalda Trumpa w nadziei, że uda się go „zagryźć na śmierć”. Jeżeli nie fizyczną, to przynajmniej polityczną. A na razie wizerunkową. Nic dziwnego, że historyczny sukces Trumpa w rozwiązaniu konfliktu świata zachodniego z Koreą Północną, który zakończył się porozumieniem dyktatora Kim Dzong Una i prezydenta Korei Południowej, zapowiadającego całkowitą denuklearyzację Półwyspu Koreańskiego, nie wywołał pozytywnych reakcji różnych mediów. Jego miejsce zajęły „sensacje” z intymnego życia prezydenta. Na szczęście świat docenił ten negocjacyjny sukces Trumpa, a prezydent Korei Południowej Mun Dze In oświadczył, że za ten polityczny sukces Trump powinien otrzymać Pokojową Nagrodę Nobla. Jest to mocno już skompromitowana nagroda, jeśli przypomnimy, że otrzymał ją Barack Obama, i to pół roku po zaprzysiężeniu. Czy zdołał w tak krótkim czasie dokonać wielkich rzeczy w imię pokoju? Został udekorowany za to, że „chciał dobrze”. Może i chciał, ale poza resetem z Putinem, co skutkowało rezygnacją z zainstalowania tarczy antyrakietowej w Polsce, niczym się nie wyróżnił. Nie wiem, czy jego następca miałby szanse na tego Nobla, wszak nie jest dostatecznie poprawny politycznie i wcale nie chce dobrze dla liberalnego lewactwa, czego nie ukrywa. Zwłaszcza na Twitterze, który jest ulubionym środkiem komunikacji Trumpa.

Co zrobić, żeby przyćmić sukcesy jego polityki zagranicznej? Trzeba napuścić na niego gwiazdki porno, z którymi ponoć romansował, będąc w związku małżeńskim z Melanią. Jedna z nich wystąpiła przeciwko niemu do sądu o zniesławienie. Za nią pójdą inne. Rzecz się działa kilkanaście lat temu i Trump nie tylko nie był prezydentem, lecz nawet się na niego nie zapowiadał, więc nie nadawał się na polityczno-finansową cytrynę do wyciśnięcia przez cwane, nieco już podstarzałe „aktorki”. A Trump ma to w nosie, wszak rządzi najpotężniejszym i najbogatszym krajem świata. Dzięki znakomitemu doradztwu i w zgodzie z własnymi, konserwatywnymi poglądami nawiązał ścisłą współpracę wojskową z Polską, która jest dziś najważniejszym partnerem USA we wschodniej flance NATO. Polityce Trumpa przyświeca patriotyczne hasło „America First”. Rzecz niesłychana i nie do zaakceptowania przez „liberalnych demokratów”, ale nad wyraz skuteczna. Podpisanie porozumienia między przywódcami obu Korei Amerykanie przyjęli z ogromnym entuzjazmem i uznaniem dla swego prezydenta.

Ostatnio Biały Dom odwiedziły dwie osobistości życia europejskiego. Prezydent Francji Emmanuel Macron wraz z małżonką Brigitte i kanclerz RFN Angela Merkel bez małżonka. Macronów Trump fetował przez trzy dni, manifestując sympatię dla francuskich dostojników, a nawet strzepnął łupież z marynarki pana na Pałacu Elizejskim, bo zależy mu na dobrym wyglądzie gościa. Merkel zabawiła w Białym Domu tylko jeden dzień, na dodatek musiała wysłuchiwać zachwytów prezydenta USA nad Polską, która według niego jest wspaniałym krajem, bo łoży na rzecz NATO więcej, niż powinna. A Niemcy nie i pora, żeby się poprawiły. Poza tym strony amerykańska i niemiecka nie rozwiązały żadnego z problemów – ani dotyczących sankcji nałożonych przez USA na firmy zachodnie uczestniczące w budowie Nord Stream 2, ani zapowiadanych przez USA ceł na stal i aluminium, ani tym bardziej kwestii masowej imigracji muzułmanów do Europy.

Jednym słowem: Amerykę i zintegrowaną Europę coraz więcej dzieli, niż łączy. W tle rosnące znaczenie Polski na arenie międzynarodowej. Zarówno w Unii Europejskiej, z czym nie jest w stanie się pogodzić Tusk ani totalna opozycja, jak i w Ameryce oraz na pozostałych kontynentach. Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak prowadził intensywne rozmowy ze swoim odpowiednikiem i z doradcami prezydenta Trumpa. W Waszyngtonie doszło do symbolicznego wydarzenia. Sekretarz obrony USA James Norman Mattis zgotował Błaszczakowi w Pentagonie uroczyste powitanie z honorami wojskowymi i odegraniem obu hymnów narodowych. A polskim dziennikarzom Mattis powiedział: „Mamy dobre relacje? Pytam was, bo ja wiem, co myślę. Dla nas to wygląda świetnie”.

I co można przeciwstawić wydarzeniom na linii Warszawa-Waszyngton? Jakąś gwiazdę porno? Jakąś goliznę! Źródłem sensacji stały się zrobione z ukrycia fotki nagiego senatora PiS Jana Marii Jackowskiego, odpoczywającego na jakimś odludziu. Jakie tam odludzie! III RP to jest dopiero odludzie, po prostu brukowiec.

eprasa.pl 24723fda50

Unia dwóch jakości

DARIUSZ KARŁOWICZ

Nad Europą krąży podobno widmo Unii dwóch prędkości, a tymczasem, jak twierdzi pani komisarz Věra Jourová, od dawna mamy już Europę dwóch jakości. Zdaniem organizacji konsumenckich liczne produkty międzynarodowych korporacji przeznaczone na rynki nowych członków UE są dużo gorszej jakości (a przy tym nierzadko droższe) od tych, które w podobnych opakowaniach można znaleźć na półkach supermarketów choćby w Niemczech czy Austrii. W paluszkach rybnych jest mniej ryby, w warzywnych potrawkach dla niemowląt mniej warzyw, a w napojach cukier zastępują niezdrowe słodziki. Podobnie rzeczy się mają z odzieżą, elektroniką, produktami czystości. Nie podejmuję się referowania szczegółów (łatwo można je znaleźć w internecie), ale wiem, że i bez badań laboratoryjnych sprawa od dawna uchodzi za oczywistość. Sklepy, które kuszą klientów „prawdziwą niemiecką chemią", najlepiej świadczą o tym, że wszyscy wiedzą, jak jest.

Skandal jest gruby, a sprawa, co tu wiele gadać, bardzo nieprzyjemna. Jeśli te zarzuty są prawdziwe, a zjawisko rzeczywiście jest masowe, to oprócz chciwości i cwaniactwa mamy tu do czynienia ze strategią podwójnych standardów, wyróżniającą grupę gorszych klientów za pomocą kryteriów narodowych. W tym kontekście szczególnie bezczelnie brzmią wyjaśnienia firm, które twierdzą, że różnice stosowanych receptur wynikają z lokalnych gustów. Czy mamy to rozumieć tak, że mniej ryby w rybie, gorsze jedzenie dla niemowląt i niezdrowy słodzik to gust Wschodu? Tacy jesteśmy? Polak lubi brudniejszą bieliznę, Czechowi nie zależy na zdrowiu dziecka, a Słowak woli gorszy płyn do mycia naczyń?

Intrygujące wydaje się to, że nikt nie ma dziś szczególnych wątpliwości, iż producentów trzeba zmusić do uczciwości, stosując rozwiązania prawne. Wiara w skuteczność niewidzialnej ręki rynku zmalała, więc rządy dopominają się od Unii jasnych przepisów. Oto koniec liberalnych złudzeń. Rynek bez państwa to zbyt mało, aby obronić konsumenta przed pazernością wielkiego biznesu. To duża zmiana. W idealnym neoliberalnym świecie wszystko miało się poukładać zupełnie samo. Ale w idealnym świecie nie żyjemy. Po prawie 30 latach doświadczeń z kapitalizmem wiemy już, że asymetria między klientami a producentami jest tak wielka, iż bez pomocy państwa klient po prostu nie ma szans. Sprawa jest oczywiście kilkupiętrowa. Część problemu dotyczy mediów, które zarabiając na reklamach, niechętnie nagłaśniają podobne afery. W polskich, czeskich czy słowackich warunkach dochodzi do tego słabość organizacji konsumenckich. Samo porównywanie produktów wymaga zaangażowania wielkich środków: laboratoriów, odpowiedniej metodologii i budżetów na komunikację. Po jednej stronie samotny klient w polskim czy czeskim sklepie, po drugiej – korporacja z budżetami na reklamę i PR, z armią prawników oraz życzliwością uzależnionych finansowo mediów.



Jeszcze ciekawsze są widoczne w tej historii zmiany kulturowe. Z wyznawców Zachodu przekształcamy się w ludzi Zachodu. Czasem ma to dobre strony, czasem złe, ale faktem jest, że doświadczenie komunizmu odchodzi w niepamięć, a z nim w przeszłość odchodzi również swoista tożsamość ludzi mieszkających na wschód od żelaznej kurtyny.

W czasach PRL, kiedy na szafach jako ozdoby stały puszki po piwie, a do słomianych mat przyczepiano opakowania po zagranicznych papierosach, dzisiejsze problemy wydałyby się fochami. Nikt się nie zastanawiał nad jakością, bo już samo opakowanie było czymś fantastycznym. No, ale to już historia. To samo widać zresztą w europejskiej polityce. Bo przecież podwójne standardy nie ograniczają się wyłącznie do supermarketów. Na początku wystarczały choćby pozory, ale rozanielone miny polskich polityków, których zachwycało, że ktoś ich w ogóle przyjął, to już przeszłość. Podejście wyrażone sławnym zwrotem, że nie wolno oczekiwać wiele, będąc biedną panną bez posagu, nie znajduje dziś zrozumienia ani aprobaty. Nie wystarczy kolorowa puszka, podobnie jak nie wystarczy poklepywanie po plecach. I to się nie podoba ani tym, którzy dosypują słodziku, ani tym, którzy zakładali – jak ujął to Jacques Chirac – że powinniśmy skorzystać z okazji, aby siedzieć cicho.

Dlatego kiedy słyszę o Europie dwóch prędkości, zastanawiam się, czy jest to groźba stworzenia nowego modelu UE, czy może raczej próba legalizacji tego, co dotąd było normą. Obywatele tzw. nowych krajów UE nie godzą się na erzace znanych marek, bo przestają aprobować status Europejczyków drugiej kategorii. Dla obu stron jest to zupełnie nowa sytuacja. Choć chęć utrzymania korzystnego status quo ma wielu bardzo wpływowych zwolenników, to zmiany wydają się nieuchronne. Trudno zatem wykluczyć, że to, co oglądamy, nie jest wcale początkiem Europy dwóch prędkości, ale początkiem jej końca.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Przymiarka do konstytucji



Lubimy się chwalić konstytucją z 3 maja z 1791 r. Jesteśmy dumni, że ta ustawa rządowa była pierwszym tego typu w Europie i drugim po Stanach Zjednoczonych aktem prawnym tak nowatorsko jak na ówczesne czasy regulującym stosunki dynastyczne, społeczne i prawne w państwie. Dużo w tym przesady, ale w tamtych latach chcieliśmy jak najszybciej zreformować upadające państwo. Jedyne, co mogłoby pozostać z tej konstytucji do naszych czasów, to sformułowanie o religii rzymskokatolickiej uznanej za „państwową i panującą", ale też, co typowe dla ustroju Polski, gwarancji wolności wyznania innych religii. W tej materii pasowałaby nam też konstytucja kwietniowa z 1935 r. potwierdzająca wolność wyznania i niezależność Kościoła. Ponadto nadając większe uprawnienia prezydentowi, uczciwie stwierdzała: „Na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa".

Nie miałbym nic przeciwko takiemu zapisowi w nowej konstytucji, o której mamy decydować w referendum. Więcej, chciałbym, aby został podkreślony chrześcijański charakter państwa polskiego, bo to chrześcijański duch kształtował przez tysiąc lat losy naszego narodu. Doceniono to w konstytucji odrodzonej Rzeczypospolitej z 27 marca 1921 r., która zaczynała się od słów: „W imię Boga Wszechmogącego". Twórcy konstytucji sprzed stu lat dziękowali Opatrzności za wyzwolenie z wieloletniej niewoli. Równocześnie wzorem dawnych zapisów konstytucyjnych przyznawano, że „Kościół rzymskokatolicki rządzi się własnymi prawami". Instytucjonalne oddzielenie Kościoła katolickiego od państwa jest szczególną cechą naszej cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej.

Nie wiemy, jak potoczą się losy referendum i samej nowej konstytucji, ale skoro je zapowiedziano, trzeba czym prędzej stawiać pytania o przyszłe uregulowania. Oto moja lakoniczna przymiarka.

Obserwując stan duchowy upadającej Europy Zachodniej, uznałbym za najważniejsze wpisanie do nowej konstytucji prawa do życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Jeżeli dziś sądy angielskie potrafią odbierać prawa rodzicielskie i decydować o śmierci chorego dziecka, powinniśmy się zabezpieczyć na przyszłość. Wraz z tym zapisem powinien się pojawić inny, wprost zakazujący aborcji, eutanazji i eksperymentów eugenicznych. Koniecznie utrzymałbym obecny artykuł 18 konstytucji definiujący małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, ale uzupełniłbym go o precyzyjną definicję rodziny jako związku jednego mężczyzny z jedną kobietą, powołanego do wychowania własnych dzieci. Nie oznacza to pominięcia tzw. rodzin zastępczych, ale uniemożliwia posługiwanie się argumentem rodziny przez dwóch gejów czy dwie lesbijki wychowujących cudze lub własne dzieci. Tym bardziej że rodzina znajduje się w państwie pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej.

Do spraw o szczególnym walorze dla państwa polskiego, obok wizerunku orła białego godła, barw i hymnu, dodałbym rolę polskiego pieniądza, złotego. Wzorem konstytucji Węgier z 2011 r. należałoby wpisać do naszej ustawy zasadniczej złotego jako oficjalną walutę narodową. Nie wystarczy stwierdzenie, że centralnym bankiem państwa uprawnionym do wyłącznej emisji pieniądza jest NBP, że to NBP realizuje politykę pieniężną i odpowiada za wartość polskiego pieniądza. To zbyt mało jak na obecne czasy, tym bardziej że osobnego uregulowania, bardziej precyzyjnego wymagają nasze relacje z Unią Europejską. Tu także potrzebne jest jednoznaczne konstytucyjne zapewnienie, że akty prawne UE mogą być aktami prawa polskiego, ale tylko po jednoznacznym zatwierdzeniu ich przez polski parlament. Jednym słowem prymat prawa krajowego nad unijnym. Zapisanie złotego do konstytucji zamknie próby zastąpienia naszej waluty nominałami euro i zwiększy gwarancje naszej narodowej suwerenności.

Na wszelki wypadek zapisałbym też w konstytucji, że państwo polskie jest państwem unitarnym, wewnętrznie prawnie jednolitym, w związku z tym nie jest otwarte na różne formy masowej emigracji ludzi innych kultur. Tym przepisem stalibyśmy się odporni na żądania masowej relokacji uchodźców, tym samym na próby zmiany wewnętrznego charakteru prawa polskiego. Państwa otwarte na szeroką emigrację już mają problemy z narzuconym im nowym modelem życia przybyszów. Krótko mówiąc, państwo, w którym obowiązuje małżeństwo monogamiczne, nie może się stać państwem z poligamicznymi małżeństwami – albo jedno, albo drugie. To samo dotyczy definicji osoby pełnoletniej i przepisów regulujących zdolność do zawierania małżeństwa. Ale to już są szczegóły, a konstytucja winna być aktem dość ogólnym, niemniej jednak aż się prosi zapis o zakazie finansowania organizacji pozarządowych czy społecznych z zagranicznych ośrodków, jeżeli ich polityka pozostaje w sprzeczności z polityką państwa unitarnego. Niby taki przepis już jest, ale warto się zabezpieczyć, skoro już teraz na forum UE jesteśmy poddawani różnym próbom doginania naszego prawa do uzurpatorskich oczekiwań tamtejszej biurokracji.

eprasa.pl 24723fda50

Czego nauczył mnie Alfie



Witold Gadowski

Humanizm jest sposobem na myślenie, w którym miejsce Pana Boga zajmuje „dobro człowieka". Ku czemu prowadzi taki sposób pojmowania świata, pokazał nam malutki człowiek, który nie wypowiedział ani jednego słowa, nie uczynił żadnego znaczącego gestu, a jednak sprawił, że przez chwilę skupiliśmy się na tym, co najważniejsze, na wartości ludzkiego życia, na jego ostatecznym sensie.

Alfie Evans istniał i okazało się, że przez sam fakt swojego bycia na ziemi rozpalił emocje milionów ludzi.

Jedni z pogardą spoglądali na osoby jednoczące się wokół tego maleńkiego i wątłego istnienia, inni wyciągali medyczne analizy i udowadniali, że jego życie nie ma żadnej przyszłości, że – z punktu widzenia dzisiejszej medycyny – przedłużanie jego istnienia nie ma sensu. Byli też tacy, którzy otwarcie mówili o tym, że dziecko należy pozbawić życia z powodów humanitarnych, aby nie przedłużać jego cierpienia. Z tego punktu widzenia śmierć jawiła się więc jako prawdziwe wybawienie. Wielu z nas poczuło zamęt i rozpacz. Przecież wszelkie racjonalne argumenty przemawiały za tymi, którzy chcieli zaprzestania „uporczywej terapii", chcieli śmierci tego chłopca. Czy zatem istnienie Alfiego Evansa było zwykłą pomyłką, pozbawioną sensu wegetacją? Tak mogą twierdzić jedynie ci, dla których człowiek – jako pełnoprawne zjawisko – musi spełniać kilka precyzyjnie określonych warunków. Istnienie, które norm nie spełnia, nie jest ważne, jest odpadem. Pojawił się też argument, że zainteresowanie Alfiem było nadmierne, niesprawiedliwe, bo przecież codziennie w Afryce czy gdziekolwiek ginie wiele bezbronnych, niewinnych dzieci, którymi nikt się nie zajmuje. Jeżeli jednak przyjmiemy, że nasze borykanie się z rzeczywistością ma jakiś sens, to musimy uznać, iż nic nie dzieje się przez pomyłkę. To może właśnie pojawienie się Alfiego, skupienie się na nim zainteresowania milionów ludzi było potrzebne, miało sens.

Ten chłopczyk swoim cichym, pełnym cierpienia istnieniem postawił nam przed oczami najważniejszy problem naszej zmieniającej się cywilizacji: jak rozumieć ludzkie życie i czy człowiek ma prawo decydować o odejściu innego człowieka? Spór o życie Alfiego Evansa wyszedł daleko poza ramy medyczne, nabrał cech sporu o istotę egzystencji, o godność człowieka.

Najważniejsza dyskusja rozgorzała jednak wobec stosunku prawa stanowionego do prawa naturalnego. Swoim istnieniem Alfie sprawił, że na moment przystanęliśmy, kierując pełne pytań spojrzenia w stronę nieskończoności. W takiej perspektywie wszelkie argumenty deprecjonujące misję Alfiego są jedynie smutnym zawodzeniem tych, którzy stracili już nadzieję na to, że przecież każde życie jest prawdziwym cudem.

Śmierć wrogom Ojczyzny!



Lech Makowiecki

Powyższa dewiza Narodowych Sił Zbrojnych piętnowana jest przez rodzimych „pacyfistów" jako... „mowa nienawiści" (!?). Piosenka, którą nagrałem z myślą o chłopakach z Wojsk Obrony Terytorialnej (których patronami są Żołnierze Wyklęci, a symbolem naszywka z szarym wilkiem), wzbudziła przerażenie u pewnej pani redaktor, zwłaszcza fragmenty:

[...] Granice Ojczyzny znaczymy wrogów krwią,
więc żyj z nami w zgodzie lub wynoś się stąd!
[...] Gdy dzicz rwie smycz, przewala się przez próg
Gdy życie twych bliskich na szali złoży wróg –
Stań znów, bez słów... Nie skamlaj, nie roń łzy
Lecz rzuć się do gardła i wbij mu w gardło kły!

Za mocne? Nadwrażliwym lemingom wyjaśniam: wojsko szkoli się właśnie po to, by zabijało wrogów ojczyzny, czyli tych drani, którzy napadają na nasz kraj i nas mordują. By obronę uczynić skuteczną, żołnierzom rozdaje się bagnety, karabiny, wyposaża w armaty, czołgi, samoloty, okręty, rakiety itp. śmiercionośne narzędzia. I wpaja patriotyzm, waleczność i poświęcenie.

Stare przysłowie – za mundurem panny sznurem – wyrażało najwyższy szacunek i podziw dla tych, którzy gotowi byli oddać życie za Polskę. Bo to jest największa z możliwych ofiar!

Ponad 70 lat bez wojen dramatycznie zmieniło priorytety – dziś ceni się bogatych cwaniaków, skandalizujących celebrytów, zaradnych polityków, asertywnych egoistów, metroseksualne indywidua...

Ale to już przeszłość. Płonie Bliski Wschód, islamski terroryzm i rosyjskie wojny hybrydowe osaczają nas coraz bardziej. Za chwilę życie powie Polakom: sprawdzam! W takiej chwili tylko ktoś nieodpowiedzialny rozdawałby żołnierzom kredki i baloniki, a chłopców uczył podstaw manikiuru zamiast surwiwalu. Tylko czy w tym zniewieściałym świecie zdążymy się przygotować (mentalnie, militarnie) do obrony? Czy też przypadnie nam straszny los ofiar...

PS Jeśli nie „Śmierć wrogom Ojczyzny", to co? Nasze kobiety, domy, naszą wolność?

eprasa.pl 24723fda50

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Egalitaryzm nasz codzienny



Aleksander Nalaskowski

Nic tak w Polsce nie kwitnie, jak równość. To tylko pozorny paradoks i pozorna ślepota autora felietonu. A więc postaram się pogląd uzasadnić.

Zacznijmy od tego, że wybory są równe dla wszystkich. Każdy po osiągnięciu stosownego wieku ma najpierw czynne, a potem bierne prawo wyborcze. Niestety, każdy. Bo dotyczy to także posłów Nowoczesnej czy PO, którzy są żywym dowodem na to, że wystarczy mieć wiek i polskie obywatelstwo, aby znaleźć się w politycznej elicie. Ale i tutaj jest aspekt równościowy, bo płacimy za to wszyscy. Na diety i delegacje Petru, na brednie Lubnauer, na partnerskie wojaże Rabieja, a nawet na głupawy uśmiech Grabca, „oracje" Borusewicza i na sprzątaczki w Sejmie zrzucamy się wszyscy, bez względu na opcję polityczną. Równość!

Ale to nie wszystko. Bo oto Polacy dostali 500+, a teraz dostaną wyprawkę, wyższe renty socjalne i w ogóle cuda, wianki, wodotryski. I kto dostanie? Wszyscy! Nawet ci, co krzyczą, że nie ma na to pieniędzy, że chcieli tylko letniej wody w kranie na sopockim molo. Wszyscy dostaną. A co ciekawsze – wezmą. Równość w równości! Jakoś nie słyszałem, żeby nie wzięli albo się brzydzili. Bo przecież jest demokracja. Jak wszyscy, to wszyscy. A ja bym tym, co zagłosują przeciw, nie dał. I już. Nie chcą, gardzą, nie dostaną.

A podatki niższe dla małych i średnich przedsiębiorców? Każdemu obniżą. I ubekowi prowadzącemu wytwórnię pasz dla zwierząt, i drukarzowi, co się fachu uczył w podziemiu też. Wszystkim obniżą! Wystarczy być małym lub średnim. Kwitnąca równość.

A kto może nawrzucać Jarosławowi Kaczyńskiemu, że kurdupel, Napoleon z Żoliborza i faszysta? Każdy, kto chce. Wszyscy! Wszyscy pozostaną bezkarni. Nawet Kaczyński może sobie naubliżać i też nic mu się nie stanie. Także szympansowaty Rutnicki może i też nie zabraknie mu z tego tytułu bananów. Wszak to absolutna równość. Czyż nie?! A jak z tej równości korzystają! A swoją drogą to ciekawe zjawisko fizyczne. Rutnicki – taki ogromny, a przymulony i niewidoczny. Kaczyński taki drobny, a figlarny, że hej! I kto mi powie, że gabaryty są najważniejsze.

W walce politycznej każdy może wykorzystywać każdego. To też równość wszak. Oto Scheuring-Wielgus przyssała się do niepełnosprawnych. Próbowała być obrończynią przed hejterami, nie wyszło, próbowała być czarną kobietą, ale wyszła z niej blondynka i „precz z dyktaturą kobiet", to teraz ujeżdża problem niepełnosprawnych. A ma dla nich tyle zrozumienia i autentyczności, co intelektu. Ale jak każdy może, to każdy. Za chwilę Petru wystąpi w obronie porzuconych żon z dziećmi.

Równość oznacza też równość żądań. Broniarz zareagował natychmiast i zwołał ad hoc zebranie dyżurnych z ZNP pod MEN. Ale przyznam, że nie rozumiałem. Bo widziałem sprzeczność. Krzyczeli, że mają dość, a także, że chcą więcej. To w końcu dosyć czy jeszcze?! Bo to jakaś schizofrenia dwubiegunowa.

O paradach równości tu nie wspominam, bo są zbyt oczywiste. Tak oczywiste, że bez nich byłoby nam trudno o tej równości nie myśleć. Niestety, tutaj jesteśmy dalecy od ideału. Wciąż jest zbyt dużo kobiet na porodówkach i oddziałach położniczych. Może by jakiś parytet? Bo tak pozostać nie może, woła o pomstę do nieba!

W walce politycznej każdy może wykorzystywać każdego. To też równość

Lokalna popołudniówka zamieściła na swojej stronie fotoreportaż z protestu pięknych inaczej niewiast pod kurią biskupią. Niewiast było sześć. Tak, pół tuzina. Ale zdjęć było 17. Każda z kobiet z profilu, en face, w parze, w trójce, od spodu, od góry. No i niesprawiedliwa ilość przeszła w jakościową równość. I to jest parytet! A jaki lans.

Europa ma na punkcie równości fioła. Niekiedy nawet ogromnego. Otóż kilkoro młodych ludzi ubiega się o europejski grant na stworzenie własnej ścieżki nauczycieli przedszkolnych i wczesnoszkolnych. Niezorientowanym dodam, że idzie tu o edukację dzieci w wieku od 3 do 10 lat. Jednym z zagadnień w ogromnym biurokratycznym kwestionariuszu jest zestaw pytań, czy te studia będą traktowały kandydatów równo. No i czy kobiety i mężczyzn jednakowo? Jasne, że jednakowo. Czy rasy też jednakowo? Oczywiście. Ale czy niepełnosprawnych też? No i tu kobitki się wyłożyły. Bo jak człowiek na wózku, człowiek chromy, o kulach, niesprawny fizycznie może radzić sobie z ruchliwymi dziećmi, chodzić z nimi na spacery, wysadzać w toalecie, podciągać rajstopki, karmić łyżką, uprawiać sport, mieć oczy dookoła głowy i refleks (gdy maluch robi coś niebezpiecznego)? Głupie? Głupie. Ale jeśli nie będzie tej równości, to grant przepadnie. No i będzie równo pozamiatane.

Pamiętam takiego sztygara ze Śląska. Mawiał, że „równo to trzeba ino polywać gorzołkę".

28/0418/F

eprasa.pl 24723fda50

PRZEZ ŚWIETLIK

Wyspa grozy



Wiktor Świetlik

Kiedyś namiętnie czytywałem książki różnych dżentelmenów promujących wolny rynek, prawo człowieka do decydowania o sobie, swojej rodzinie i tym podobnych rzeczach. Choć byli to nieraz Austriacy, Amerykanie, polskiego pochodzenia Żydzi czy rosyjscy emigranci, to ojczyzną takiego myślenia, mekką, w którą miłośnicy wolności patrzyli, była zawsze Wielka Brytania. Zdystansowana od rozmaitych ideologii. Łącznie z paneuropejską wiarą w to, że urzędnicy z okrągłych oszklonych budynków w Brukseli czy Strasburgu wiedzą od ludzi więcej. Wydawało się też, że to właśnie Brytyjczycy rozumieją najlepiej, iż doświadczenie, tradycja, zdrowy, codzienny rozsądek lepiej służą naszemu życiu niż intelektualne abstrakcje wymyślone przez tego czy owego francuskiego filozofa albo niemieckie szaleństwa, choćby i opisane najbardziej prawniczym lub poetyckim językiem.

Wiarę we wszechwładną prywatną inicjatywę straciłem za sprawą popisów krajowych i globalnych banksterów w 2008 r., a także pod wpływem takich osób jak profesor Witold Kieżun, to jednak podejście Brytyjczyków, szczególnie do tradycji, pewien dystans, ironia wydawały mi się czymś w miarę trwałym, przynajmniej istniejącym. Przecież nawet konstytucja angielska to nie jakiś papierek napisany przez kilku nawiedzonych mędrców i uchwalony przez nic nierozumiejący parlament jak w innych krajach, ale zdrowy rozsądek, tysiącletnia tradycja prawna. Żyć, nie umierać. Wygląda na to, że była to czysta pomyłka, mit, w który wierzą naiwne dzieci z Polski, a nawet największe i najgłupsze absurdy brukselskie okazują się tylko tragikomedią przy tragedii fanatyzmu, jaką potrafią zaprezentować szacowne wyspiarskie służby czy sądy.

Co pewien czas wraca sytuacja, w której ktoś z Polski nie może odbyć spotkania i ma nawet problemy z wjazdem na Wyspy, bo jakaś lewicowa polityczka diagnozuje go jako islamofoba, mizogina albo nawet faszystę. Rozumiem, że można się nie zgadzać z częścią wypowiedzi Rafała Ziemkiewicza, czasem zresztą prosi się on o to, ale robienie z niego przez służby Jej Królewskiej Mości niebezpiecznego dla świata typa, potraktowanie go gorzej niż jakiegoś niebezpiecznego salafickiego mułły albo niemieckiego neonazisty, było czymś, co powinno się spotkać z bardziej zdecydowanym odzewem, także naszej dyplomacji.

Tym razem okazało się jednak, że i ten popis to była betka przy tym, co ojczyzna wolności zaprezentowała nam ostatnio w przypadku dwuletniego Alfiego Evansa, którego sąd po prostu zdecydował uśmiercić. „Liberalizm doszedł do momentu, gdy rozumiany jest jako prawo państwa do decydowania o uśmierceniu dziecka wbrew woli rodziców" – chyba nie ma mądrzejszego komentarza do tego, co się stało w Wielkiej Brytanii, niż ten krótki tweet piarowca Marcina Rosołowskiego. Pal diabli liberalizm, od dawna jest martwy, pewnie nigdy go w ogóle nie było. Gorsze jest to, co dzieje się z krajem, w którym mieszka tylu naszych rodaków, do którego mam ogromny sentyment, bo niegdyś rok tam spędziłem, lubię też bywać, i w który miłośnicy wolności i zasady, że każdy odpowiada sam za siebie i swoją rodzinę, więc ma prawo o nich decydować, wpatrywali się jak w obraz. Dziś to raczej jakaś piekielna wizja rodem ze Zdzisława Beksińskiego albo Hieronima Boscha.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

10.
JUBILEUSZOWA EDYCJA

EUROPEJSKI KONGRES GOSPODARCZY

European Economic Congress

14-16 maja 2018 Katowice
Spodek i Międzynarodowe Centrum Kongresowe

@EECKatowice /EECKatowice /EECPoland

#eec2018
#ekg2018

GŁÓWNE NURTY TEMATYCZNE:

Nasza nowa Europa

Rewolucja technologiczna

Digitalizacja – w kierunku nowej gospodarki

Energia dla klimatu

Energetyka w Europie. Dylematy i wyzwania

Inwestycje

Przyszłość wolnego handlu w Europie i na świecie

Przyszłość miast i metropolii w Europie

PEŁNY PROGRAM NA:
www.eecpoland.eu

ROBERT MAZUREK

Hipster niezłomny

Modne targowisko naturalnej żywności w centrum Warszawy. Do sprzedawcy miodu podchodzi klientka: „Przepraszam, ale czy ten miód jest z jakiejś znanej pasieki?” – dopytuje zaniepokojona.

Sprzedawca zbaraniał, choć do różnych pytań był przyzwyczajony. Dotychczas palmę pierwszeństwa dzierżyło natarczywe nagabywanie w lutym – podkreślmy: w lutym – czy ten miód jest aby na pewno tegoroczny. Tak, szanowna pani, z przebiśniegów, już zdążyliśmy się razem z pszczołami obrobić.

Gdyby Jaki miał trochę oleum w głowie, odpowiedziałby, że Zygmunt III Waza też urodził się poza Warszawą i był słoikiem

Tym razem jednak zbaraniał. I tu moją tezę, że hipsterstwo zdobywa szczyty, wyśmiał mój guru w tej dziedzinie (wygląda tak zjawiskowo, że tylko cudem ludzie, ubolewając nad losem bezdomnych, nie dają mu nowych kartonów). Jego zdaniem prawdziwy hipster dopytywałby nerwowo, czy aby na pewno pasieka jest nieznana i wtedy by kupił. A tak – zawyrokował mój guru – to nie hipsteriada, to zwykły snobizm.

Nie, dziś nie będzie o snobach. Będzie o warszawiakach, a nie zawsze są to wyrazy równoznaczne. Owszem, pamiętam stary dowcip: Na wczasach w Zakopanem przychodzi baba do lekarza i zaczyna: „Panie doktorze, bo ja jestem z Warszawy i...”. „Tak, wiem, to nieuleczalne”. Złośliwy ten suchar nie jest może autentyczny, lecz świetnie oddaje nastawienie reszty świata do Warszawy. Ale o tym za chwilę.



Chciałem o tym pisać już dawno, kiedy usłyszałem historyjkę o miodzie, ale temat nieoczekiwanie zrobił się polityczny, bo poseł z Krakowa zaatakował ministra z Opola, że ten urodził się poza stolicą. Gdyby Jaki miał trochę oleum w głowie, odpowiedziałby, że Zygmunt III Waza też urodził się poza Warszawą i był słoikiem, więc należałoby go z kolumny strącić i Rafała tam umocować. No, ale to gdyby Jaki miał oleum.

Kpina Trzaskowskiego pokazuje coś, co mnie nigdy w Warszawie nie przestało zadziwiać. Jedyne to bowiem znane mnie miasto, gdzie kryterium tego, czy jesteś jego prawdziwym mieszkańcem, jest z urodzenia. Ba, twój dziad musi być tu urodzony i to – najważniejsze – przed wojną. Po wojnie się nie liczy. Nie chodzi tu o moją osobę, urodzony na Warmii, wychowany na Pomorzu jestem przybłędą i nie pomoże, że dziecięciem będąc, mieszkałem na Woli i mama mnie śpiewała: „Ja jestem chłopak z Woli, a Wola fest dzielnica”. Nie pomoże, bom ze wsi, przepraszam.

W połowie lat 90. pomieszkiwałem za to przez kilka miesięcy w Edynburgu. Pomny warszawskich doświadczeń nie ośmielałem się przedstawiać jako edynburczyk, dopóki nierozumiejący niczego, zirytowany Szkot nie powiedział mnie: „Hej, ale mieszkasz w Edynburgu, więc jesteś edynburczykiem, o co ci chodzi?”. Hm, edynburczykiem może i tak, ale nie warszawiakiem.

Wszystko to jest o tyle zabawne, że Warszawa jak każda stolica przyjmuje i od zawsze przyjmowała ludzi z całego kraju. Zjeżdżali tu dla pieniędzy, sławy, z miłości – ot, normalne ludzkie losy. Ba, Warszawa nie ma – zwłaszcza teraz – tak inkluzywnej tożsamości jak Kraków, tu tylko Piotr Zaremba mówi gwarą (OK, to nie gwara, to praskie naleciałości). Zasadniczo jest jak Nowy Jork, w którym każdy jest skądinąd. Ale nie, coś każe nieustannie sprawdzać rodowody warszawiaków.

I tu dochodzimy do serwowanego już dziś suchara. Bo przy całej swej nieszczęsnej ekskluzywności Warszawa jest miastem, w którym każdy Polak ma wuja. No, chyba że ciotkę, ale wszyscy ci wujowie (i ciotki) niebywale wręcz aspirują. Muszą więc być bardziej warszawscy niż Kolumna Zygmunta i Łazienki razem wzięte. Stąd to komiczne podkreślanie pochodzenia i stąd owe kpiny.

A aspiracje? One akurat są stałym elementem naszej tożsamości. Tak jak inżynier Karwowski wieszał na ścianie portret szlacheckiego przodka, tak teraz każdy dziadek był powstańcem warszawskim, babcia sprawiedliwą wśród narodów świata, stryj szałaput skończył jako żołnierz wyklęty, a wnuk – dziennikarz niepokorny.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

32/0418/F

CO MNIE WZRUSZA

Witaj, majowa jutrzenko



Katarzyna Łaniewska

Ciekawa jestem, jak w tym szczególnym dla Polaków roku przebiegnie rocznica trzeciomajowej konstytucji z 1791 r.

Myślę, że flagi narodowe – czerwone jak puchar wina, a białe jak śnieżna lawina – będą wisiały nie tylko na gmachach publicznych i urzędach państwowych, lecz na każdym prywatnym domu. A przede wszystkim, że te barwy, szczególnie tego dnia, wszyscy Polacy będą nosić w sercach. Pamiętam pierwsze obchody 3 Maja w – jak nam się wydawało – wolnej Polsce, po zwycięstwie „Solidarności". Wszędzie estrady na wolnym powietrzu. Trzymam w ręku mały zeszyt w czerwonej oprawce – Konstytucja 3 maja, wydawca: „Solidarność". Trzymam ją jak książeczkę do nabożeństwa. I mocnym, stremowanym głosem zaczęłam odczytywać pierwszy fragment konstytucji: „W imię Boga, w Trójcy Świętej jedynego. Stanisław August, z Bożej łaski i woli Narodu Król Polski [...]". Potem pieśni z tamtego czasu, ale i poezja, która mieściła w sobie mądrość zawartą w konstytucji, pokazaną przez najwspanialszych poetów. Dzisiaj czytamy konstytucję, owszem. Słuchamy i śpiewamy pieśni. Ale poezja została gdzieś w bibliotekach. Może jest w pamięci i sercach starego pokolenia. Szkoda, bo mamy kogo edukować. Prośbą do Boga, wierszem, bp Ignacy Krasicki pisał tak:

Wyższym nad nieba wzniosły majestatem
Boże, co raczysz zawiadywać światem
I dobrodziejstwy, czem jesteś, objawić,
Pozwól się sławić!
Lud Twój, lud braci znękan niegdyś marnie,
Wesół do Twego Kościoła się garnie.
Przyjm na ofiarę, Opatrzności święta,
Stargane pęta.
Daj użyć coś dał, w pokoju i zgodzie:
Daj ducha rady i męstwa w narodzie,
Podległość żądną, w swobodzie wstrzymałość,
W działaniu trwałość.
Niech łaski Twojej będzie uczestnikiem
Król, radny, rycerz, mieszczanin z rolnikiem.
Dotąd, gdy większą szczęśliwiąc swobodą.

REKLAMA



25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Już teraz złóż wniosek!
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)
kasastefczyka.pl

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Wyprodukowano dnia 23.04.2018 r.

eprasa.pl 24723fda50



TRENDY I OWĘDY

Taka gmina

Steven Spielberg suponował, że będzie w Polsce aresztowany. Na razie został wyśmiany



Ryszard Makowski

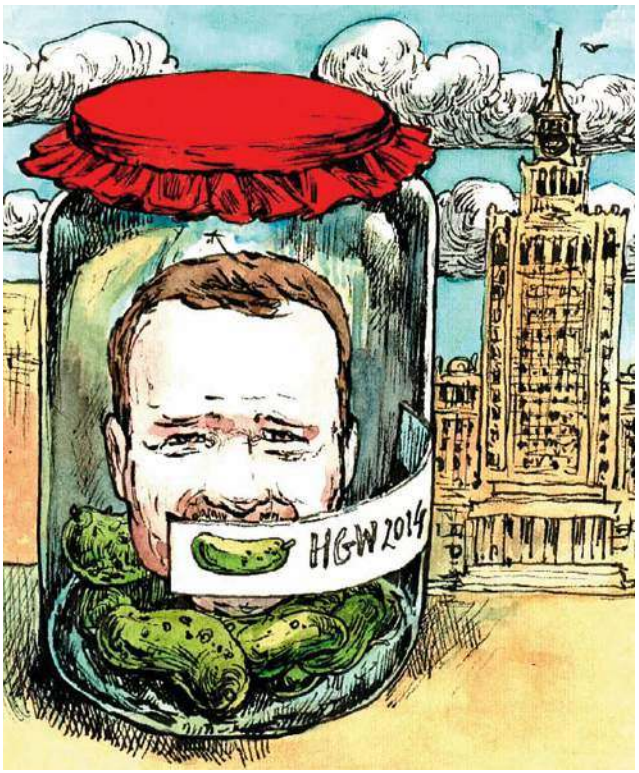
Według relacji reżysera podczas kręcenia u nas zdjęć do „Listy Schindlera" pewna Polka, widząc aktora w mundurze SS, zakrzyknęła w euforii, jak bardzo podoba jej się ten mundur i jak życzyłaby sobie, „żeby [Niemcy] tu wrócili i znów nas chronili". Ciekawe, po jakiemu się wywnętrzyła, że reżyser tak dobrze to zapamiętał.

Generalnie wypowiedź Stevena Spielberga krzepi. Zdziera z nas kompleksy, że nie tylko nasi utalentowani artyści, wypowiadając się prywatnie, klepią smętne bzdurki. Choć z drugiej strony czy ci ludzie słynni ze swego dzieła mogą być aż tak nierozgarnięci? Raczej nie. Dają sygnał swoim, że są przydatni. W branży filmowej zdominowanej nie przez Eskimosów to wzmacnia też ich pozycję. W finałowym odcinku siódmego sezonu „Homeland" ustępująca prezydent Elizabeth Keane zalicza Polskę do krajów, w których demokracja umiera. Przypadek? To definitywnie rozwiewa mrzonki, że z pomocą Hollywood nakręcimy filmy sławiące dobre imię Polski na lądach i oceanach.

Niestety są i inne bolesne dla nas sytuacje. Burmistrz Jersey City Steven Fulop postanowił przenieść z Exchange Place do magazynu pomnik Katyński. Powód? W tym miejscu ma być kulturalny park. Ta sprawa jest jednak prosta. W Katyniu, Charkowie i Miednoje zginęły setki polskich oficerów pochodzenia żydowskiego. Wystarczy roztrąbić, że ten burmistrz to okropny antysemita, i może nie pomóc mu nawet to, że jest Żydem.

eprasa.pl 24723fda50

***Zawistowski prezentuje:* Słoik**



Wycinki z przeszłości

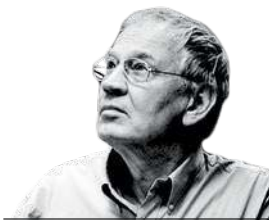
Przewodnik Katolicki" – „Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich pod redakcją księdza Józefa Kłosa" z 6 maja 1934 r. skupiał się na nabożeństwach majowych. Czytamy: „Chwalcie łąki umajone! Z iluż ust popłynie ta prosta pieśń w hołdzie Marjii w tym miesiącu maju Jej czci poświęconym. Popłynie z wonią kwiatów, któremi maj tak przecudownie okrywa naszą ziemię. Z kwiatami ziemi zaniesiemy Marji te kwiaty, co z miłości ku niej zakwitną w sercach naszych. Będą to najmilsze Jej kwiaty!". A dalej: „Pomódlmy się każdego dnia o powrót zbłąkanych wiernych i kapłanów (mariawici, kościół narodowy). Oni najbardziej potrzebują naszej pomocy. Starajmy się w maju tego roku jubileuszowego o poniechanie waśni między jednostkami i rodzinami. Nie ustawajmy w gorącem polecaniu Marjii tych wszystkich, którzy wezwania do Stołu Pańskiego jeszcze tego roku nie usłuchali lub od lat całych stronią od Sakramentów świętych. Może dla niejednego wyprosimy zbawienie, a przez miłosierdzie nasze nad grzesznikami sami miłosierdzia jej dostąpimy. Zwiędną kwiaty, któremi ozdabiamy Jej ołtarze, ale nie znikną zasługi, które nabożeństwem majowem sobie zaskarbimy".



Wielka to radość, że do dziś majowe nabożeństwa to żywy i ważny element naszej wiary.

(mk)

Pokusy wiosenne



Leszek Długosz

Wyjrzałem jak zwykle o tej porze
A tu już – bez taki pod oknem
Boże, a tu już świat cały w bzach?
– Zielona szamotanina
Prawie bójka zaokienna
Na przełaj, na wyścigi
Naturalnie, jak to w tym towarzystwie
– „Kiście przez liście"
Od stóp do głów
Wyrywa to się, kwitnie
Narwaniec ten zielono-fioletowy
Świat podbija
Bezczelny Zagarniacz
Tyle że w tym roku jeszcze bardziej
Zuchwały (zna moją słabość)
W twarz gałęziami prycha
Wdzięki swe w oczy mi wprost wpycha
Wilhelm ten... Zdobywca Majowy
Serce moje z łatwością zagarnia.

A były, szły zamiary inne. Spoko-liryczne
– Cośmy się z tą magnolią obok
Nie namawiali? Nie naprzymilali?
Pocałunków, pieszczot, ileśmy sobie nie
Naobiecywali?
I co?
Głowę ledwo odwróciłem?
Odfrunęła? Było?
Porzuciła płatki i mnie
Zalotnica, Niewdzięcznica

Ten Lilak Pospoliciak
Teraz się napala
Chce mnie rzucić na kolana?
O kolego, z dala!
Znam ja takich miłośników – zachwytników
Błyśnie, świśnie i po nim
– Szukaj potem z wiatrem po ogrodach
Przy drogach
W refrenach piosenek
Jarzębina? Cichuteńka obok czeka
Wdzięki skromne poleca
Wiem, nie ta uroda – szepcze – ale zobaczysz
Przyjdzie jesień? Spodobam się, oj, spodobam.
– Pomyśl o dłuższej inwestycji uczuciowej.

O Wiosno, miarkuj pokusy Twoje
Zaokienne zaloty miłosne
Nieposkromione
Nieodmiennie
Wiesz... z góry zwycięskie?
– Posiwiałemu w oknie sercu
Porywy dziś pisane z innej
Nie z Twej strony
– Ciemne i gorzkie
Nieustępliwie ziemskie...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 24723fda50

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Nieumiejętność dialogu

Wygląda na to, że nasz felieton „Wybaczającego nie będzie" najwyraźniej zdestabilizował emocje dwóch profesorów (zarazem publicystów). Z felietonami tak bywa. Rzeczy zawiłe ujmuje się skrótowo i gdy padną na grunt niesprzyjający, rodzą nieporozumienia...

Nieporozumienia dobrze jest wyjaśniać. Ale jak to zrobić, gdy druga strona – mówiąc kolokwialnie – w ogóle nie odbiera pewnych fal? Po prostu ma inaczej skonstruowane radio. Panowie słowa o rekonstytucji narodu odbierają głównie (jedynie?) w postaci szumu drażniącego uszy. Choćbyśmy się dwoili i troili, próbowali rzeczowo wskazywać źródła nieporozumień – niewielkie szanse odbioru. Czy pozostają już tylko emocjonalna przepychanka i zawody w tworzeniu coraz złośliwszych figur retorycznych?

DOWÓD?

Pierwszą ze wspomnianych osób poruszonych naszym felietonem jest prof. Antoni Dudek.

Chyba całkiem poważnie na Facebooku zakomunikował, że A. Zybertowicz dostarczył „przeciwnikom PiS znakomitego dowodu na temat złowrogich knowań tej formacji". Uzasadnia tak: „Jak wiadomo, od trzech lat politycy PiS nieustannie zmagają się z oskarżeniami o dążenie do dyktatury i skłonności faszystowskie. Wielokrotnie krytycznie oceniałem te zarzuty, nie spodziewając się, że potwierdzi je tak zadeklarowany zwolennik PiS jak prof. AZ. Tymczasem, w świetle powyższych [Dudek cytuje nasz felieton] wywodów, trudno nie uznać, że skoro PiS jest:

– jedyną partią, dla której naród polski jest ważny;

– jedyną partią zdolną do ocalenia „»depozytu naszych przodków« [...], to oczywistą i logiczną konsekwencją powinno się stać wpisanie do konstytucji RP następująco brzmiącego artykułu: »Prawo i Sprawiedliwość, jako jedyna partia polityczna w Polsce w pełni reprezentująca interes narodowy, pełni przewodnią rolę w społeczeństwie na drodze do rekonstytucji narodu«".

Kłopot z debatą publiczną (nie tylko w Polsce) polega na tym, że mało kto rzeczywiście poważnie traktuje wypowiedzi jako część dialogu

Antoni Dudek chyba naprawdę wierzy, że należy ostrzegać przed „dyktaturą PiS-u i skłonnościami faszystowskimi tej formacji". Czy uspokoiłby się trochę, przypomniawszy sobie nie tak dawne słowa prof. Piotra Glińskiego, że środowisku dobrej zmiany chodzi o patriotyzm kulturowy?

Niechaj prof. Dudek zawiesi na chwilę jednostronność swej interpretacji i rozważy: czy jakieś inne ugrupowanie polityczne w Polsce spełnia jednocześnie dwa warunki – jest przekonane o potrzebie wzmacniania w Europie (w pewnych przypadkach właśnie rekonstytucji) państw narodowych i zarazem posiada pewne możliwości sprawcze, by to robić?



Nie widzimy przy tym żadnego powodu, by w jakimkolwiek sensie PiS miało mieć faktyczny czy prawnie zapisany monopol na taką pozycję w systemie politycznym – po prostu stwierdzamy, artykułujemy (co dostrzegli niektórzy komentatorzy wpisu A. Dudka na FB) pewną faktyczność społeczną.

BZDURA

Drugi profesor to były publicysta „Wyborczej", Adam Leszczyński. Na nasz felieton zareagował w ramach „kontroli" dyskursu publicznego na portalu OKO.press.

Leszczyński próbuje wykpić niżej podpisanych, ale przede wszystkim sam siebie utwierdza, że przecież to on ma właściwy światopogląd.

Tylko jeden z punktów wywodu Leszczyńskiego: „Nikt nie ma wizji świata bez religii; religie we współczesnym świecie mają się świetnie, także w Europie, gdzie nikt nie próbuje ich zwalczać [...]". Czego trzeba nie czytać, z kim nie rozmawiać, by nie słyszeć o nurcie wojujących ateistów, którzy otwarcie głoszą swą wiarę w to, że świat bez religii będzie lepszy? Jakiego radia nie/słucha Leszczyński?

Kłopot z debatą publiczną (nie tylko w Polsce) polega na tym, że mało kto rzeczywiście poważnie traktuje wypowiedzi jako część dialogu, złożonego społecznego procesu – pełnego zygzaków, prób i błędów – także samouświadamiania.

Zamiast tego stosowane są – nie zawsze z premedytacją, często z zastanego nawyku pewnej stylizacji swych wypowiedzi – techniki narracyjne, które niszczą rzeczową rozmowę. Emocje, insynuacje, nadinterpretacje, sztuczki retoryczne, próby ośmieszenia. W efekcie zbiorowość (już strach pisać „wspólnota") traci zdolność do zrozumienia swego losu, zakrętów, jakie przynosi współczesny czas.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 42/0418/F

Egmont.pl 24723fda50

KONKURS
NAJLEPSZY BANK
2018

Do udziału zapraszamy:

Banki **Komercyjne** i Banki **Spółdzielcze**



Wyłonimy także:

Bankowego Menedżera Roku 2017

Zgłoszenia przyjmujemy do:
11.05.2018 r.

Szczegóły: **gb.pl/konkursy**

NAJLEPSZY BANK 2018 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

MENEDŻER ROKU 2017 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

ORGANIZATOR: GAZETA BANKOWA NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

PARTNER MERYTORYCZNY: BDO

eprasa.pl 24723fda50

POLSKA
WIELKI PROJEKT

WARTOŚCI

17-20 MAJA 2018

17-18 maja 2018 r. Teatr Wielki Opera Narodowa w Warszawie, Sale Redutowe, pl. Teatralny 1

19-20 maja 2018 r. Zamek Królewski w Warszawie, Arkady Kubickiego

Wśród panelistów:

- Cernea
- Sulyok
- Stawrowski
- Legutko
- Blond
- Łuczewski
- Engels
- Szczerski
- Sosnowski
- Piotrowski
- Krasnodębski

oraz gość specjalny!

Stulecie Odzyskania Niepodległości 1918·2018

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w roku 100-lecia
Odzyskania Niepodległości 1918-2018

Organizator

Współorganizatorzy

Partnerzy

Fundacja

Patronat medialny

eprasa.pl 24723fda50